

Urodzeni w 1918 r. – stulatkowie
opowiadają o swoim życiu



TYGODNIK LISICKIEGO

DO
NR 45/297 5-11 LISTOPADA 2018 CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
RZECZY

**SZUKAJ
EGZEMPLARZA
Z FILMEM
FABULARNYM
„WYKLĘTY”**



Kto fałszuje u Kukiza
Łysiak składa hołd

POLSKA – NIEPODLEGŁA W UNII EUROPEJSKIEJ?



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 84 tys. egzemplarzy

eprasa.pl d118

Energia dla domu

Masz gaz od PGNiG? Miej i prąd!

Z ceną prądu
zamrożoną
na rok



Skontaktuj się z nami:



Zadzwoń do nas
801 800 234*
* Oplata zgodna
z taryfą operatora

BOK

Odwiedź najbliższe
**Biuro Obsługi
Klienta PGNiG**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pytania o niepodległość i wyobrażenia

Z jednej strony nie ma lepszego czasu, żeby debatować nad znaczeniem i granicami niepodległości Polski niż właśnie teraz, w setną rocznicę jej odzyskania. Z drugiej strony ostatnie wybory pokazały, jakie konsekwencje polityczne ma opowieść o wyprowadzaniu Polski z UE – to dzięki niej opozycji udało się zmobilizować elektorat wielkich miast i wygrać tam wybory. Szantaż polexitem, a do tego właściwie sprowadza się antypisowska strategia, okazał się nad wyraz skuteczny. Ten szantaż nie byłby tak skuteczny, gdyby nie zachowanie samej Unii i jej przedstawicieli, którzy coraz bezwzględniej ingerują w sprawę Polski. Doskonałym przykładem tego szokującego wręcz przekroczenia granic była wypowiedź

w proces wyjścia”. Niewiele różnią się te słowa od tych, które można usłyszeć wśród publicystów, prawników i polityków opozycji. Ba, w ogóle się nie różnią i gdyby trzymać się reguł i norm, w imieniu których tak często chce występować Unia, należałoby uznać, że są ich rażącym przekroczeniem. Tak czy inaczej strofowanie rządu państwa członkowskiego to nie jest postawa bezstronnego sędziego.

Można się na to zżymać i można przeciw temu protestować. Tylko co z tego? Właśnie, co z tego? Co z tego, jeśli tak zdecydowana większość polskiego społeczeństwa i, co za tym idzie, elit politycznych, życia poza Unią sobie nie wyobraża? Przy takim podejściu rzeczywiście pola do manewru być nie może. Zamiast się zatem stawiać, należałoby położyć uszy po sobie. Zamiast podskakiwać, należałoby po cichutku wykonywać rozkazy mądrzejszych i silniejszych. Tylko czy naprawdę nie ma innej alternatywy?

Tutaj właśnie powinno się pojawić podstawowe pytanie o niepodległość Polski i jej stosunek do Unii. Która wartość jest ważniejsza? Czy ostateczną formą, którą nadaje sobie naród polski, jest jego państwo czy też polskie państwo jest formą przejściową i tymczasową, która przez Unię zostanie wchłonięta? Czy państwo narodowe się zużyło? Czy polski patriotyzm musi być zawsze tożsamy z przywiązaniem do Unii? Kolejne pytania nasuwają się same. Co zrobić w sytuacji konfliktu? Czy gdyby dla tożsamości kulturowej i narodowej Polaków pozostawanie w Unii było zagrożeniem, nie warto by się zastanawiać nad scenariuszem jej opuszczenia? Dlaczego rozważanie takiego projektu, jako jednego z możliwych, miałoby być myślozbrodnią?

Jeśli myśl o polexicie jest herezją, dziwactwem i niebezpiecznym majaczeniem, a nie jednym z dopuszczalnych scenariuszy przyszłości, polska państwowość traci rację bycia. Ci, dla których polexit jest tak strasznym i niewyobrażalnym złem, mentalnie już polskiej państwowości się wyrzekli. Sami zrezygnowali z podmiotowej zdolności samookreślenia swojego polskiego losu. Uznali, że o wspólnym polskim losie ma decydować ktoś inny. Wprost oczywiście tego jeszcze nie powiedzą. Przeciwnie, nawet ci, którzy coraz głośniejszemu odwołują się do Unii, powołują się na pobudki patriotyczne. Ta retoryka nie zmienia jednak sytuacji. Nie unieważnia podstawowego pytania o to, która wartość jest ostateczna.

Można, co zrozumiałe, przed takim stawianiem sprawy – stawianiem na ostrzu noża – uciekać. To zrozumiałe. Można mówić, że przecież Unia też ulega zmianie i że takiego konfliktu między interesem państwa i projektem Unii być nie musi. Owszem, nie musi. Co jednak w sytuacji, kiedy on występuje? Co w sytuacji, kiedy np. ceną pozostania w Unii będzie akceptacja coraz bardziej dominującej tam lewicowej, postępowej ideologii? Nie można sobie tego wyobrazić? Ależ można! Co w sytuacji, kiedy ceną za trwanie w Unii będzie rezygnacja z ważnych elementów polskiej narodowej tożsamości?

To trudne pytania i jeszcze trudniejsze będą na nie odpowiedzi. Jedno jednak nie może budzić wątpliwości: kto poważnie traktuje polską niepodległość, ten nie może od nich uciekać. Musi być sobie w stanie wyobrazić życie Polski poza Unią, nawet jeśli teraz nie jest to korzystne. ©

RYSUNEK TYGODNIA



przewodniczącego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej Koena Laenartsa, który stwierdził, komentując zachowanie rządu po ogłoszeniu wyroku TSUE, że „państwo, które nie jest gotowe do dalszego podporządkowywania się orzeczeniom TSUE, wpisuje się w proces podobny do brexitowego,



TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA

LISTOPADOWY PARADOKS

Niepodległość po stu latach

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KWESTIA WOLI I INTERESÓW

26 MACIEJ PIECZYŃSKI

RÓWIEŚNICY NIEPODLEGŁEJ

30 WALDEMAR ŁYSIAK

HOŁD ROCZNICOWY

KRAJ

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI

KTO FAŁSZUJE U KUKIZA

Waśnie i podziały w Kukiz'15

42 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM

PIS MOCNIEJSZY W REGIONACH

KULTURA

44 WIESŁAW CHEŁMIŃIAK

PRZEDSTAWIENIE NIE TRWA

„Bohemian Rhapsody” – polukrowany film o supergrupie

46 PIOTR GOCIEK

WRÓG WEWNĘTRZNY

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 MIKOŁAJ IWANOW

KORNEL NIE JEST PUTINOFIEM

Marszałek senior a Rosja

58 ŁUKASZ WARZECHA

O CO POWALCZĄ?

HISTORIA

60 PIOTR SEMKA Z MONACHIUM

ŚMIERĆ W TRIEŚCIE

Johann Joachim Winckelmann – artystyczny celebryta XVIII-wiecznej Europy

64 ŁUKASZ CZARNECKI

NIEZNANA REWOLUCJA

DODATEK SPECJALNY



69 POLSKIE WYNAŁAZKI I HITY
EKSPORTOWE

ŚWIAT



90 JACEK

PRZYBYLSKI

POŻEGNANIE Z MERKEL

Niemcy i UE czekają poważne zmiany

93 OLIVIER BAULT

POLOWANIE NA OPOZYCJĘ

98 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ŁYSO W BURCE

EKONOMIA

100 STEFAN SĘKOWSKI

NIEMIECKI SPOSÓB

Polska między Berlinem a Pekinem

O ZDROWIU

106 ROZMOWA Z WICEMINISTREM ZDROWIA

MARCINEM CZECEM

LECZYĆ TANIEJ I SKUTECZNIEJ

Refundacje nowych terapii

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (68), KOWALCZUK (96), GABRYEL, RYBIŃSKI (102), KOMUDA (108), TYRMAND (112), JĄSTRZĘBOWSKI (113), KATARYNA (114), ŁYSIAK (115)

Różowe wstążki



Z dr n. med. Agnieszka Jagiello-Gruszczyńska z Kliniki Nowotworów Piersi i Chirurgii Rekonstrukcyjnej w Centrum Onkologii w Warszawie rozmawia Katarzyna Pinkosz

Gonimy Zachód: liczba zachorowań na nowotwory piersi rośnie i będzie rosła. Według prognoz zachoruje na nie co 11. Polka. Co można zrobić, by zmniejszyć ryzyko tych nowotworów?

Rzeczywiście, pewne czynniki demograficzno-społeczne powodują, że nie tylko w Polsce, ale również w innych krajach wzrasta liczba kobiet, które zachorują na nowotwór piersi. Te czynniki ryzyka to m.in. wczesna pierwsza miesiączka, późne macierzyństwo lub bezdzietność, krótki okres karmienia piersią oraz stres.

Warto więc prowadzić politykę demograficzną, zachęcać do tego, by mieć dzieci i karmić je piersią...

Oczywiście, chociaż to indywidualna decyzja każdej kobiety. Są jednak pewne czynniki ryzyka, które można zminimalizować. Otyłość, zwłaszcza brzuszna, zwiększa ryzyko zachorowania na nowotwór piersi. Warto więc prowadzić zdrowy styl życia, więcej się ruszać, nie tyć.

Co otyłość ma do raka piersi?

W tkance tłuszczowej powstają estrogeny, a udowodniono, że im jest ich więcej, tym większe ryzyko zachorowania, zwłaszcza po menopauzie. Niekorzystne jest też nadużywanie alkoholu. Estrogeny są metabolizowane w wątrobie. Jeśli przestaje ona dobrze pracować – np. z powodu nieodpowiedniej diety albo nadużywania alkoholu – to estrogenów jest we krwi więcej i rośnie ryzyko raka piersi. Systematyczne picie alkoholu, nawet w niewielkich ilościach, jest niekorzystne.

Różowa wstążka to symbol nadziei, że nowotwór piersi można wyleczyć. Czy to prawda, że wczesne wykrycie daje szansę na tak samo długie życie, jakbyśmy nie zachorowali?

Tak. Jesteśmy w stanie całkowicie wyleczyć nowotwór wykryty we wczesnym stadium. W przypadku młodych kobiet ważne jest samobadanie piersi. Powinna je wykonywać każda kobieta po 16. roku życia raz w miesiącu, najlepiej zaraz po miesiączce, bo wtedy struktura piersi jest najłatwiejsza do zbadania.

Kobiety często nie chcą się badać, bo uważają, że mają w piersiach dużo guzków.

Wiele kobiet wyczuwa guzki, gdyż piersi bardzo często mają budowę zrazikową. Jednak badając się regularnie, można ocenić, czy coś się zmieniło, a jeśli tak – iść do lekarza i rozpocząć diagnostykę. Trzeba poznać własne piersi.

Kobiety jednak często wolą wykonać USG niż badać sobie piersi.

Jeśli kobieta podczas samobadania piersi zauważy coś niepokojącego, lekarz może skierować ją na USG. To badanie pomocnicze, które pozwoli ocenić, czy guzek w piersiach to łagodna torbiel. Jeśli obraz nie jest jednoznaczny, trzeba wykonać mammografię albo biopsję guzka. Nie warto się jej obawiać. Nie jest to metoda mocno inwazyjna, za to daje pewność, że guzek nie jest zmianą nowotworową.

Kiedy konieczna jest mammografia?

Wszystkie kobiety po 50. roku życia powinny wykonywać mammografię co



najmniej raz na dwa lata – tak jak to jest w programie skriningowym raka piersi – aż do 69. roku życia. Nie jest potrzebne skierowanie. Jeśli jednak w okresie między badaniami pojawi się niepokojąca zmiana, mammografię trzeba wykonać wcześniej: lekarz wypisze na nią skierowanie. Po 69. roku życia ryzyko zachorowania jest mniejsze, dlatego nie ma już programu skriningowego. Jednak lekarz zawsze może skierować na mammografię.

10 proc. nowotworów piersi jest uwarunkowana genetycznie. Które kobiety powinny zbadać sobie geny?

Jeśli w rodzinie były zachorowania na nowotwór piersi lub jajnika, to jest ryzyko, że kobieta ma mutację w genie BRCA1 albo BRCA2. Warto wtedy porozmawiać z lekarzem pierwszego kontaktu lub ginekologiem, który może napisać skierowanie do poradni genetycznej. Dla osób z wysokim ryzykiem nowotworu uwarunkowanego dziedzicznie badanie jest bezpłatne. Jeżeli zostanie potwierdzona mutacja w genach BRCA1, BRCA2, kobieta pozostaje pod opieką poradni genetycznej. Badania są wtedy częstsze, zaczyna się je wcześniej, dodatkowo wykonuje się rezonans magnetyczny piersi. Ważne jest też wykonywanie co pół roku badania ginekologicznego transwaginalnego oraz markerów nowotworu jajnika.

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list zwracający uwagę na często powielany błąd, który i nam za innymi źródłami zdarzyło się powtórzyć.

„Laluś”, nie „Lalek”

Szanowna Redakcjo, dziękując za zapowiedź (i zamieszczenie) filmu „Wykłęty” w bieżącym numerze tygodnika (44/296, 29 X–4 XI 2018) na s. 9 „Przetrwanie w niehumanitarnych czasach” pragnę zwrócić uwagę na jedną nieścisłość w tekście.

Ostatni Niezłomny Żołnierz Wykłęty sierż. (ppor.) Józef Franczak pseudonim – no właśnie nie Lalek, lecz LALUŚ.

Poczawszy bodajże od uchwały Sejmu RP sprzed kilku lat oddającej mu cześć, powielane zwłaszcza w naszym środowisku, jest błędne określenie „Lalek”. (Niestety również wiele ulic i innych obiektów użyteczności publicznej na szczęście upamiętniających jego imię powiela jednak ten błąd). Stąd pozwałam sobie na kilka zdań wyjaśnienia. Z moich dociekań wynika, że jest to niestety określenie stosowane przez jego oprawców. Otóż powszechnie wiadomo, że ubecy raportowali o wynikach swoich

Franczak (mianowany niedawno – pośmiertnie – do stopnia podporucznika) nosił pseudonim konspiracyjny Lалуś. Jako pseudonim przyjęło się określenie jego kolegów z konspiracji, którzy widzieli, że sierż. Franczak wyjątkowo dbał o swój wygląd, zwłaszcza o fryzurę. Należy podkreślić, że to absolutnie nie miało pejoratywnego znaczenia, a wręcz podszyte było nutką sympatii (co członkowie oddziału przekazywali m.in. jego żonie). Kwestię tę wyjaśnia również jego syn, Marek Franczak, w jednym z rozdziałów swojej książki zatytułowanej „Mój ojciec – sierżant »Laluś«”.

Nie był to więc żaden „Lalek”. W dzisiejszej polszczyźnie być może określenie „Laluś” podszyte jest nutką ironii, jednak taki był jego pseudonim i ostatni Niezłomny Żołnierz Wykłęty posługiwał się nim z dumą.

Sprawa wcale nie jest błaha, ponieważ – jak zaznaczyłem – jest to najprawdopodobniej uproszczone określenie polskich ubeków, więc ze wszelkiego miar nie powinniśmy się nim posługiwać (a przez to nieświadomie propagować). Lubelski oddział IPN również zaczął stosować już tylko określenie „Laluś”.

Proszę się więc nie dziwić, że wręcz z uporem maniaka (może wartym lepszej sprawy) walczę o miano „Lalusia”, ale traktuję to jako upominanie się o godność tych, dzięki którym nie tylko zachowaliśmy polskość, lecz także możemy być – i jesteśmy dumni – z ojczyzny! Im wcześniej się zareaguje, tym większa szansa, że nie będzie powielany błąd – określanie bohaterów pogardliwym mianem „przytłaczanym” im przez oprawców.

Mam nadzieję, że Redakcja nie odbierze tego listu jako „czepiania się”. Uważam, że zwłaszcza w czasie, kiedy walczymy o prawdę historyczną, warto i w tej kwestii być precyzyjnym.

Korzystając z okazji, dziękuję Państwu za ogromny wysiłek, trud ponoszony dla propagowania historii najnowszej. Również w kwestii dbania o dobre imię Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – chociażby w formie nagrody Strażnik Pamięci.

**Z wyrazami szacunku i uznania
Jan Fedirko (Fundacja Niepodległości,
29.10.2018)**

DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cencikiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela), Krzysztof Czański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toralski, Matthew Tyrmand, Szezech Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Hartzuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadarowski, Anna Sobieska-Wójcisz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto**
Okładka: **Wikipedia, Fotolia, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batony Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu wydania z filmem 296430
Nakład 84 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



działań enkawudzistów, a jak wiemy – Moskale mają trudności z „pszepszakami” (również w sferze językowej). Nie mogąc wymówić „-uś”, zaczęli pisać i używać określenia „Lalek”. Prawdziwy pseudonim konspiracyjny brzmiał natomiast „Laluś”. Potwierdził to Marek Franczak – z którym znam się osobiście – publicznie 26 marca 2015 r. podczas pochówku zdekapitowanej (i zbyszczeszczanej) głowy (czaszki) ojca na cmentarzu w Piaskach. Sierżant Józef



Jerzy Dudek

Jerzy Dudek

**Automatyczna dusza,
koperta z Super Titanium™**

**Ti-IP SUPER
TITANIUM**

citizen.pl



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W cudzych okularach

Zbyt rzadko staramy się spojrzeć na ważne wydarzenia historyczne oczami naszych przeciwników. Weźmy setną rocznicę walk o Lwów, które zaczęły się od zajęcia miasta przez oddziały ukraińskie w nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r. Z tej okazji przebrnąłem przez wiele ukraińskich artykułów o tamtych wydarzeniach. I była to często zaskakująca lektura. W polskiej legendzie Lwowa 1918 r. Ukraińcy występują jako siła dogadana z perfidnymi Austriakami. Strona wykorzystująca znaczącą przewagę zbrojną przeciw nielicznym dorosłym licealistom i wreszcie najmłodszemu – słynnym „Orlętom”.

Ukraińcy widzą wiele rzeczy inaczej. Odrzucają tezę o współpracy w zajęciu miasta z Austriakami. Podkreślają też, że cywilni politycy ukraińscy byli bierni i wciąż czekali, co powie Wiedeń. Zamachu musiała w tej sytuacji dokonać tzw. egzekutywa bojowa na czele z kpt. Dmytro Witowskim. Był to jednak dowódca niskiej rangi niepotrafiący dowodzić operacjami na szerszą

skalę. Jego ok. 1,5 tys. Ukraińców pod bronią z różnych jednostek austriackich stanowili żołnierze o bardzo różnej jakości bojowej. Naprawdę wartościową jednostką bojową był Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych, jednak stacjonował on na Bukowinie. Trzeba było czterech dni, by dotarł do Lwowa. I to było o cztery dni za późno. W tym czasie Ukraińcy nie byli w stanie przeszkodzić naszej młodzieży w utworzeniu paru ognisk oporu.

Witowski został zastąpiony przez bardziej doświadczonego płk. Hryhorię Kossaka, który jednak nie zdołał już poczynić większych postępów.

Wkońcu wobec nadchodzącej odsieczy polskiej od strony Przemysła oddziały ukraińskie się wycofały. I tu znów znajdujemy opinie o bierności sił ukraińskich, m.in. zaniechania wysadzenia mostów na linii Kraków – Lwów. Politycznie Ukraińcy byli jeszcze słabsi – w czasie wojny postawili wyłącznie na Wiedeń – i nie mieli prawie nikogo, kto by miał dojście do liderów Francji, Wielkiej Brytanii czy USA.

My mieliśmy w rękach lepszą talię kart – od wodza wojskowego Piłsudskiego, poprzez zaprzyjaźnionego z Białym Domem Paderewskiego, do dobrze notowanego w Entencie Dmowskiego. Mieliśmy też we Lwowie ludność cywilną z jej wręcz genialnym zmysłem samoorganizacji powstańczej.

Dłatego ukraińskie wspomnienia o „Listopadowym czynie”, bo tak nazywa się u naszych sąsiadów tamte wydarzenia, są raczej gorzkie. Owszem, czci się ogłoszenie we Lwowie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL), ale same walki kojarzą się ze znikaniem ukraińskich żołnierzy we wrogim mieście.

W 1918 r. okazaliśmy się bardziej zdeterminowani, bardziej świadomi i lepiej zorganizowani niż Ukraińcy. A ich liderzy, klepiąc biedę w latach 20. i 30. w Wiedniu, Pradze czy Użgorodzie, czuć będą po półtora roku przegranej walki z Polakami przygniatające upokorzenie. Z tego stanu umysłów wybuchnie potem nacjonalizm OUN. Z wiadomym skutkiem dla nich i dla nas. ©©

OSTATNI KLAPS NA PLANIE „KLECHY”

W październiku zakończyły się zdjęcia do filmu „Klecha” w reżyserii Jacka Gwizdały. Opowiada on historię brutalnych działań powstałej w 1973 r. tzw. Grupy D – ścisłe tajnego oddziału specjalnego do walki z Kościołem w MSW. Scenariusz filmu oparty jest na prawdziwej historii ks. Romana Kotlarza zabitego przez komunistów w 1976 r. W filmie występują m.in.: Piotr Fronczewski, Mirosław Baka, Artur Żmijewski, Danuta Stenka, Janusz Chabior, Maria Gładkowska i Robert Goner. Premiera filmu planowana jest na marzec. (jap) ©©



RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.



ORLEN



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Psychoprofesor

Stanisław Lem, jak opisywał to w „Wysokim Zamku”, produkował w dzieciństwie legitymacje nieistniejących urzędów – dajmy na to, wielkiego hofrada tajnej kancelarii przy regencji Obojga Dalmacji – oprawiając je w skórki, złocąc i opatrując w stosowne pieczęcie. Wielu moich znajomych w tym wieku rysowało mapy fantastycznych

Obawiam się jednak, że to nieco inne sytuacje niż przypadek prof. Wojciecha Sadurskiego, który w pocie czoła wyprodukował Obywatelski Akt Oskarżenia przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu, prezydentowi, byłej premier i obecnemu premierowi oraz innym ważnym osobom w państwie, przygotował statut swojego „obywatelskiego trybunału”, przed którym zamierza pozwanych osądzić, i ogłosił do niego nabór. Nastoletni Lem nie uważał, że naprawdę jest hofradem Obojga Dalmacji ani żaden z uczestników fandomu SF nie uważa się na poważnie za Dartha Vadera. Natomiast panu Sadurskiemu najwyraźniej się wydaje, że jego „obywatelski” wyrok będzie miał moc prawną, i gdy do władzy wróci – uchwaj, Boże – jedynie słuszna platforma, nie trzeba już będzie zwoływać Trybunału Stanu, który uważa Sadurski za ciało nieskuteczne i z góry przewiduje, że tam by

wyroku na Kaczyńskiego, Szydło i innych uzyskać się nie udało. Tak, tym właśnie motywuje swą akcję i ogłoszony nabór.

Gdyby traktować to poważnie, to oto mamy „czarno jak na białym”: jeden z czołowych autorytetów obrońców konstytucji otwarcie i chyba nawet tego nie zauważając – konstytucję odrzuca, z argumentem, że jej zapisy przeszkadzałyby w walce z Kaczyńskim. „Nie ma konstytucji dla wrogów konstytucji”, by sparafrazować klasyka.

Dopisałbym to do listy dowodów obłudy totalnej opozycji (obok takich kwiatków jak pogróżki Schetyny, że „zapisuje nazwiska sędziów”, którzy wydali niekorzystny dla PO wyrok etc.), gdybym nie wiedział, że pan profesor, tak jak wielu innych sfrustrowanych dziś intelektualistów lewicy i PO po prostu... no, powiedzmy mową komputerowców: wyszedł z czasu rzeczywistego. ©

Gdy do władzy wróci – uchwaj, Boże – jedynie słuszna platforma, nie trzeba już będzie zwoływać Trybunału Stanu

królestw, spisywało ich kroniki, drzewa genealogiczne rodów tam panujących. Niektórym coś z tego zostało i do dziś na parę dni w roku wcielają się na konwentach w czarodziejów, rycerzy albo szturmowców z „Gwiezdnych wojen”.



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

A to państwo z czego?

Dokładnie sześć lat temu Grzegorz Hajdarowicz przy aplauzie części dzisiejszych obrońców „wolnych mediów” przeprowadził polityczną czystkę w redakcjach dwóch posiadanych gazet: tygodniku „Uważam Rze” i „Rzeczpospolitej”. Jako że właścicielem spółki wydającej tytuły ów przedsiębiorca stał się w bulwersujących okolicznościach, już po objęciu władzy rząd PiS w 2016 r. przeprowadził audyt całej transakcji i zawiadomił prokuraturę o domniemanych nieprawidłowościach przy prywatyzacji. I co się stało przez te lata? Mija dwa i pół roku od wszczęcia śledztwa,

dobiega końca pierwsza kadencja rządów PiS, a szanse na poznanie kulis tej „prywatyzacji” są nikłe.

Podobnie jest z szansami na wyjaśnienie okoliczności, w których Donald Tusk przekazał pochoinnie śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej stronie rosyjskiej. Rok temu kierownictwo prokuratury krajowej informowało o nowych dowodach (jeden z nich ujawniliśmy) w sprawie „zdrady dyplomatycznej”, zapowiadało przełom na grudzień 2017 r. I co? I nic. W kwestii wyników śledztwa – oficjalna głucha cisza.

O to, co wynika z badań szczątków ofiar katastrofy smoleńskiej

– które śledczy zlecali zachodnim laboratoriom – już nawet nie warto pytać, bo i w tej sprawie nabrano wody w usta.

Za chwilę minie też dwa i pół roku od wszczęcia śledztwa w sprawie inwigilacji dziennikarzy przez służby specjalne w latach 2007–2014. Nie ulega wątpliwości, że takie sytuacje miały miejsce – zwłaszcza wobec ludzi dawnej „Rz” – sprawdzano billingi, podsłuchiowano, niektórych śledzono. To jedna ze spraw, które miały być niezwłocznie (!) wyjaśnione. Po 30 miesiącach nadal nikomu nie postawiono zarzutów. Ot, po prostu sprawne państwo. ©

Trump kontra imigranci



Donald Trump zapowiedział, że mocą dekretu uchyli prawo do obywatelstwa USA z racji urodzenia na amerykańskiej ziemi. Prezydent chce w ten sposób zniechęcić nielegalnych imigrantów do przyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Mimo to, gdy zamykailiśmy to wydanie „Do Rzeczy”, pochód ok. 4 tys. osób z krajów Ameryki Łacińskiej, kontynuował marsz w kierunku USA. Trump ostrzegł więc, że może wysłać na granicę nawet 15 tys. żołnierzy.

Strach przed niekontrolowaną imigracją jest jednym z głównych tematów kampanii przed wyborami środka kadencji, które odbędą się 6 listopada. Rosnące w ostatnich tygodniach notowania Trumpa – który cieszy się już większą popularnością niż Obama w tym samym momencie kadencji – mogą sprawić, że Partii Demokratycznej jednak nie uda się odzyskać większości ani w Izbie Reprezentantów, ani w Senacie. (jap) ©

DO USA POLACY POLECĄ BEZ WIZ?

– Jestem gotowa do końca przyszłego roku zakończyć sprawę wiz. I tak długo, jak po obu stronach będzie taka wola, to zrobimy to. Jest to dla mnie priorytet, chociaż wiem, że może wychodzę przed szereg – oznajmiła ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher w rozmowie z TVN24. Obecnie do USA bez wizy podróżują obywatele 38 państw, w tym 23 z UE. Poza Polakami wiz potrzebują tylko Rumuni, Bułgarzy, Cypryjczycy i Chorwaci. (jap) ©

ANNA AZARI MA OPUŚCIĆ POLSKĘ

Anna Azari, ambasador Izraela w Warszawie, wróci do Izraela. „Alexander Ben-Zvi, zastępca dyrektora generalnego w izraelskim MSZ, został mianowany nowym ambasadorem Izraela w Polsce” – ogłosił na Twitterze ambasador Polski w Izraelu Marek Magierowski. Ben-Zvi, zastępca dyrektora generalnego w izraelskim MSZ, do 2015 r. był ambasadorem na Słowacji. (jap) ©

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 19 października 2018 roku zmarł w Otwocku



płk Edmund Brzozowski

urodzony 5 stycznia 1919 roku w Jekaterynospławiu.

W styczniu 1940 roku aresztowany przez NKWD, następnie więziony w Brześciu oraz Homlu i deportowany do obozu pracy w Republice Komi.

Od września 1941 roku żołnierz Armii Polskiej w ZSRR. W kwietniu 1942 roku ewakuowany na Bliski Wschód.

Od grudnia 1942 do marca 1943 roku słuchacz dywizyjnego kursu podchorążych rezerwy 3. Dywizji Strzelców Karpackich.

Od grudnia 1943 roku uczestnik kampanii włoskiej.

W bitwie pod Monte Cassino dowodził 3. plutonem 3. kompanii 1. batalionu 1. Brygady Strzelców Karpackich.

Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii, w 2006 roku powrócił do Polski.

Prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie „Karpaczczy”.
Uchonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Komandorskim Orderu

Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino oraz innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym. Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ryzykowna gra

Wokół zapytania, jakie w sprawie dopuszczalności pytań pre-judycjalnych polskich sądów do TSUE skierował do Trybunału Konstytucyjnego Zbigniew Ziobro, trwa dziwna gra. MSZ przesłało do TK pismo, z którego wynika, że w świetle europejskiego ustawodawstwa wniosek Ziobry jest bezzasadny. Kiedy o piśmie zrobiło się głośno, minister Czaputowicz pospieszył z zapewnieniem, że to tylko zreferowanie sytuacji prawnej, a nie zajęcie stanowiska. A poza tym on wniosek Ziobry popiera. O co tu chodzi?

Tam, gdzie politycy PiS marzą o chwalebnych ofensywach, MSZ beznamiętnie przypomina, że się nie da, bo krępuje nas prawo unijne

Warto przypomnieć, że gdy powstawał projekt nieszczęsnej noweli ustawy o IPN, z którego przyszło się rakiem wycofywać, to właśnie MSZ, jeszcze na długo zanim wybuchła afery, przygotowało krytyczne wobec niego opinie. Te opinie w gruncie rzeczy też nie były stanowiskiem MSZ, ale wskazaniem, że wobec istniejących rozwiązań prawnych zmiana ustawy jest złym pomysłem.

MSZ, a w szczególności jego departament odpowiadający za UE, pełni zwykle funkcję mitygującą. Tam, gdzie ministrowie czy politycy PiS marzą o chwalebnych ofensywach, które rzucą Unię na kolana, a nam z kolei pozwolą z kolan (po raz kolejny) wstać, MSZ beznamiętnie przypomina, że się nie da, bo krępuje nas prawo unijne, na które sami

się zgodziliśmy. Formalnie rzecz biorąc, jest to jedynie przedstawienie sytuacji, bez konkluzji.

Politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele wiedzą, że danie jakiegokolwiek pretekstu do podejrzeń, iż polexit wchodzi w grę, uderzy w nich potężnie. Mogłoby to osłabić poparcie nawet w twardym elektoracie PiS. We wniosku Ziobry oczywiście chodzi nie o występowanie z UE, ale liczą się wrażenia i hasła.

Najbezpieczniej dla partii Kaczyńskiego byłoby zatem, gdyby TK uznał, że w ogóle nie jest władny zajmować się sprawą, i opinia MSZ daje mu podstawy do takiego właśnie stwierdzenia. Można założyć, że prezes Przyłębska takiej podkładki potrzebuje, jeśli poza Trybunałem Konstytucyjnym, ale w porozumieniu z nim, zapadła polityczna decyzja, że wniosek Ziobry ma być utracony. To zaś bardzo możliwe, jeżeli PiS faktycznie chce zamknięcia awantury o sądy przed wyborami w 2019 r. Jest jednak również możliwe, że stanowisko MSZ nie było uzgadnianie z kierownictwem partii, a szybkie pokajanie się Czaputowicza wskazuje, że żadnego wycofywania się nie będzie.

Najciekawsze jest pytanie, w co gra Zbigniew Ziobro. Jego wniosek do TK prawdopodobnie kosztował PiS kilka procent głosów, zwłaszcza w miastach, i był niespodziewanym uderzeniem w Mateusza Morawieckiego. Czy to próba sił z premierem? Czy może Ziobro gra już tylko na siebie w przewidywaniu, że dni na stanowisku szefa resortu sprawiedliwości są policzone? Tak czy owak, to gra bardzo ryzykowna dla całej formacji. ©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Utracenie kontroli nad kontem

Piątki, piąteczki, piątunia. Jakbyśmy je nazywali, weekendowe wieczory połączone z dostępem do smartfona i alkoholu potrafią zrujnować nie tylko wiele związków, lecz także kariery polityczne. Ostatnio boleśnie przekonał się o tym Paweł Kukiz, komentujący wyznaczenie Marka Jakubiaka, żałującego odejścia z ruchu posła Kuleszy. Jego „synka sejmowego”, który „nie nadawał się na wegetację”.

„Marek! Idź za nimi, skoro im dobrze życzysz!

Masz browary i układy w wojsku. Całe 30 tysięcy na kampanię w Warszawie wydałeś (czyli dwa razy mniej niż ja na ciebie w parlamentarnych) :-)

Powodzenia i Czuwaj. Żołnierzu Kuleszy i Andruszkiewicza :-)

– odpisał mu lider Kukiz'15. Po chwili dodając: „Synek, znaczy jednego masz z Kornelem a drugiego z Korwinem. Pytanie – ty rodzisz czy zapładniasz te piękne istoty :-)”

Pisownia oryginalna. Dalsze dywagacje niestety nie nadają się do cytowania.

Gdy emocje już opadły, przyszedł czas na wnioski.

„W związku z sytuacją, że utraciłem kontrolę nad swoim kontem na tweeterze zmuszony jestem konto zlikwidować, co uczynię jutro o 8mej rano” – zapowiedział muzyk i polityk. „Pan Paweł to dopiero jest hakerem! Potrafi kasować konta nad którymi nie ma kontroli” – zauważył jednak branżowy portal Niebezpiecznik. „Wszyscy zwykli ludzie w piątkowe wieczory się bawią/alkoholizują, tylko hakerzy akurat przejmują wtedy konta” – pochylił się natomiast nad trudnym losem hakerów Krzysztof Stanowski. Również dziennikarka Dominika Długosz coś przy tej okazji zauważyła. „Paweł Kukiz, który nie potrafi upilnować własnego konta na tt ma certyfikat dostępu do informacji niejawnych”.

Ta historia jednak tutaj się nie kończy, bo przy okazji niedzieli, przyszedł czas na refleksję numer dwa. Wygłoszoną niestety już na Facebooku. „Wczoraj przypomniałem sobie, że to jednak piątkowa noc przejęła i mnie i moje konto na tweeterze...”) Kogo nigdy w życiu taki „piątek” nie przejął – niech pierwszy rzuci kamieniem!” – przyznał się Kukiz. „Paweł, jesteśmy tylko ludźmi. Za ten tekst dziękuję patrząc w przyszłość z większą nadzieją” – zakopał topór wojenny Marek Jakubiak. Żartom nie było końca. ©

Graj w Zakłady Specjalne LOTTO

i weź udział w konkursie „Złóż życzenia Polsce”

Do 10 listopada br. trwa sprzedaż gry liczbowej LOTTO – Zakłady Specjalne. To wyjątkowa gra, która została zorganizowana na wyjątkową okazję – 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Część stawek wpłaconych za udział w grze zostanie przekazana na cel dobroczynny, jakim jest Program Stypendialny „100 na 100” im. Haliny Konopackiej i Ignacego Matuszewskiego, którego organizatorami są Fundacja LOTTO oraz Totalizator Sportowy

W grze występują trzy stopnie wygranych, za trafienie trzech, czterech lub pięciu liczb. Zasady gry są proste, należy skreślić 5 z 45 liczb. Można zagrać na chybił trafił lub wytypować własne liczby za pomocą blankietu. Pojedynczy zakład kosztuje jedynie 5 zł. Uroczyste losowanie wyników odbędzie się 10 listopada o godz. 21.40 w Studiu LOTTO.

W 2018 r. mija 100 lat od odzyskania przez Polskę niepodległości. Totalizator Sportowy aktywnie uczestniczy w wielu wydarzeniach związanych z obchodami jubileuszu. Dodatkowo proponuje własne inicjatywy, m.in. wspiera Program Stypendialny „100 na 100” Fundacji LOTTO. Stu wyróżniających się studentów otrzyma roczne stypendium w wysokości 15 tys. zł. Łącznie na stypendia Spółka przeznaczy 1,5 mln zł. Stypendium będzie wypłacane co miesiąc, od stycznia do grudnia 2019 r. w kwocie 1250 zł. Program skierowany jest do studentów, którzy oprócz dobrych wyników w nauce osiągają sukcesy w innych dziedzinach oraz są aktywni społecznie.

Patronami Programu są Halina Konopacka, zdobywczyni pierwszego złotego medalu olimpijskiego dla Polski w rzucie dyskiem i pierwszego medalu dla kobiety w historii świata, oraz Ignacy Matuszewski, żołnierz, polityk, dyplomata i publicysta, działacz Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

W czasie II wojny światowej małżeństwo uratowało i wywiozło za granicę 75 ton polskiego złota.

Jest o co walczyć, wartość stypendium będzie można przeznaczyć na pogłębianie wiedzy i swoich zainteresowań – np. na kursy, podręczniki, sprzęt komputerowy czy oprogramowanie, opłaty rekrutacyjne, uczestnictwo w konferencjach itd. 30 proc. kwoty zaś będzie można wydać na inne dowolne potrzeby, np. wyjście do teatru, kina czy kawiarni. Wnioski są dostępne na stronie: www.fundacjalotto.pl/100stypendiow/. Nabór trwa do Święta Niepodległości, czyli 11 listopada br.

Jednak to nie wszystko: Totalizator Sportowy ogłasza konkurs dla swoich graczy pn. „Złóż życzenia Polsce!”. Rok jubileuszu odzyskania niepodległości jest doskonałą okazją do złożenia życzeń Ojczyźnie. Aby wziąć udział w konkursie, należy zagrać w grę liczbową Zakłady Specjalne i zachować kupon, poprawnie wypełnić formularz



zgłoszeniowy, w którym znajduje się miejsce na pracę konkursową. Forma życzeń jest dowolna, mogą to być tekst do 500 znaków, zdjęcie lub materiał wideo. Organizator nagrodzi najbardziej kreatywne zgłoszenia. Do wygrania są wartościowe nagrody: skuter Romet 727 Premium, rocznik 2018, trzy głośniki Marshall Kilburn oraz pięć kart podarunkowych eBilet.pl o wartości 500 zł. Zgłoszenia można przysyłać do 9 listopada br. Konkurs kierowany jest do pełnoletnich graczy. Regulamin oraz formularz zgłoszeniowy znajdują się na stronie: <https://zlozzyczenia.lotto.pl/>.



FOT. PAMEL GROMADA

NAJLEPSZA PRZYJACIÓŁKA

Kinga Rusin i Piotr Kraśko, którzy w duecie prowadzą poranny program śniadaniowy „Dzień dobry TVN”, udzielili wspólnego wywiadu magazynowi „Flesz”, w którym opowiadają o swojej wieloletniej przyjaźni. Rusin twierdzi, że Kraśko był łamaczem damskich serc. – Piotrek przechodził korytarzem i łamał serca wszystkim kobietom. Miał zawsze dużo wielbicieli, był kochliwy i romantyczny. Nie ma lepszej osoby, która uciełniałaby powiedzenie: „Cicha woda brzegi rwie” – stwierdziła. Jak to leciało? Panie Boże strzeż nas od przyjaciół, z wrogami poradźmy sobie sami. A od najlepszych przyjaciółek zwłaszcza.

MAŹ SVOJEJ ŻONY

Przed Rafałem Szatanem, mężem Barbary Kurdej-Szatan, otwierają się drzwi wielkiej kariery. Po wspólnym występie z żoną podczas festiwalu w Opolu dostał propozycję udziału w show Polsatu „Twoja twarz brzmi znajomo”, gdzie ponoć całkiem nieźle sobie radzi. Teraz gruchnęła wieść, że może wystąpić w kolejnym programie – „Tańcu z gwiazdami”. Jako gwiazda – żeby była jasność. Mówi się, że to mogłaby być jego trampolina do show-biznesu. – Sporo mówi się o Rafałe w kontekście nowego sezonu „Tańca”. To byłoby dość spektakularne i dotąd niepraktykowane, że ktoś przeskakuje z programu do programu – mówi „Faktowi” osoba z produkcji programu. Jest tylko jeden szkopał. Skoro Szatan ma być gwiazdą, to jak go przedstawić w tym „Tańcu z gwiazdami”? Przed państwem Rafał Szatan, mąż swojej żony?

ZAWSZE RAZEM?

Natalia Siwiec narzeka na to, że jej partner i ojciec jej dziecka jest o nią zazdrosny. Do tego stopnia, że nie może nigdzie sama wychodzić, zawsze tylko z nim. – Mam 35 lat, a nigdy nie byłam na żadnym dziewczynskim wypadzie – wyznaje Siwiec w rozmowie z „Faktem”. – Zawsze, jak wychodzę, to jest ze mną Mariusz. Koleżanki śmieją się ze mnie, że nie potrafię nigdzie wyjść sama, tylko z nim – mówi. Siwiec przyznaje, że w obawie przed pretensjami partnera woli nawet nie zaczynać z nim tego tematu. – Myślę, że średnio podobałby mu się fakt, gdybym wyszła bez niego – ujawnia. – Kiedy mam dziewczynskie wyjście, to wygląda tak, że jest pięć dziewczyn i Mariusz. Już się przyzwyczaiłam. Może to i dobrze, bo Mariusz wnosi dużo pozytywnej energii do tych spotkań – dodaje.

Skoro jest na każdym spotkaniu, to koleżanki nigdy nie będą miały okazji wytłumaczyć Natalii, że to nie jest normalne. Sprytny ten Mariusz.

NIEMOWLĘ W ROLI DIWY

Aktorka Weronika Rosati postanowiła opowiedzieć o swoim macierzyństwie i swojej niespełna rocznej córce Elisabeth. Mówi o troskach i obawach towarzyszących jej w pierwszych dniach z noworodkiem. Opisuje także charakter swojej córki. – Ona jest bardzo kobieca, jest też elegantką. Potrafi się awanturować, że w śpioszkaach wynoszę ją z domu, a jak ma na sobie sukienkę, to jest przeszcześliwa. Czapkę zdziera z siebie z impetem, ale kapelusz jest OK. Jak słyszy muzykę, to śpiewa. Lubi też zdjęcia. Świetnie pozuje, jak ma ochotę oczywiście. Jak jej się nie chce, wtedy odwraca głowę ostentacyjnie. Prawdziwa diwa – mówi Weronika o – przypomnijmy – niespełna rocznym niemowlęciu! – Eli jest też kokieterijna. Czasem aż mi głupio, bo bardzo reaguje na przystojnych facetów, a jak facet jest w garniturze, to już wzroku od niego oderwać nie może i trzepocze rzęsami. Często wymusza kontakt z takimi przystojniakami np. w windzie – mówi Weronika. A my zastanawiamy się, czy mówi jeszcze o córce, czy już o sobie.



FOT. PIOTR MATUSEWICZ / EAST NEWS

PANIE MARKU!

Cóż za strata! Z serialu „M jak miłość” odchodzi aktor od lat wcielający się w rolę Marka Mostowiaka – Kacper Kuszewski. Na ekranie będzie obecny tylko do połowy listopada. – Nie zmieniłem decyzji. Sprawa jest zamknięta, to koniec – mówi „Faktowi”. I dodaje, że nie żałuje. – Nie odczuwam tego odejścia ani w kalendarzu, ani na koncie bankowym. Moje życie od dawna toczyło się poza serialem. Wiem, że takie stwierdzenie dziwi widzów, którzy kojarzą mnie głównie z telewizji. Serial to część mojej działalności artystycznej – podkreśla. Chociaż przyznaje, że rola w „M jak miłość” zapewniła mu finansową stabilizację. Mówi, że o rezygnacji zdecydował fakt, że ludzie za bardzo zaczęli go utożsamiać z postacią, w którą się wcielił w serialu. – Gdy ludzie na ulicy zaczęli do mnie mówić „panie Marku”, to zapaliła się w głowie czerwona lampka – tłumaczy. Następna zapali się, gdy ludzie na ulicy całkiem przestaną go zaczepiać. Lepszy „pan Marek” niż nic. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, tak w ogóle to postanowiliśmy generalnie w korpo przeprowadzić akcję „Tęczowy Piątek”, iżby kolega gej wiedział, że może się wokół nas czuć swobodnie. To znaczy – on to dobrze wie, ale jednak chcieliśmy mu o tym przypomnieć.

W tym celu chcieliśmy zaprosić do korpo edukatorów seksualnych, iżby nieco otworzyli Nowego z Tarnowa na coś, co dla niego zapewne byłoby nowością, a co na zachodzie Europy jest normalne, znane i popularne już od dawna.

Niestety, Nowy nie wykazał się ani empatią, ani tolerancją – na edukatorów się nie zgodził, a złośliwie zamiast akcji „Tęczowy Piątek” zorganizował nam „Postny Piątek” i kontrolę kanapek. Jako iż w piątki ironicznie jemy mięso, kanapki zostały nam skonfiskowane, a my wyszliśmy na niewęgepozytywnych :{

iżby z godła zrezygnować w imię nowoczesnego, świeckiego i przyjaznego państwa.

Tak się jednak oczywiście nie stanie i naszym godłem dalej będzie orzeł biały w koronie, do której pewnie dołożą zaraz krzyż. Lekceważąc zupełnie półksiężyc, menorę oraz durszlak latającego potwora spaghetti. Tymczasem godło nie powinno nikogo wykluczać. Takie Niemcy już od jakiegoś czasu mają orła pigmentalnie uposażonego, iżby pokazać, że każdy osobouchodźca i każda osobouchodźczyni są u nich mile widziani. A w tym kraju wciąż szowinizm, rasizm i klerykalizm.

Udało się wam Halloween? Nasze było OSOM – uszyliśmy własnoręcznie handmade-fairtrade’owe kostiumy, a następnie wsiedliśmy na holenderki i popędziliśmy

w stronę podkrakowskich małych ośrodków, gdzie chodziliśmy od domu do domu i krzyczeliśmy: „Jarmuż albo psikus!”.

A psikusów to mogliśmy zrobić im sporo, np. poinformować odpowiednie unijne instytucje o nieszanowaniu unijnych regulacji w gospodarstwach, o przetwarzaniu jabłek o nieodpowiedniej średnicy, indoktrynacji dzieci za pomocą tradycyjnego katolickiego wychowania lub nawet o używaniu pojazdów z silnikiem Diesla.

Of kors nasze kostiumy były dostosowane do lęków tradycyjnego mieszkańca podkarpacia. Dyni się taki nie przestraszy, tylko ją zeżre, a więc my przebieraliśmy się za Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, uszczelkę pod głowicą, Partię Zielonych, wstrzymanie „500+” i wegańskie mielone z soczewicy xD ☺☺



Podobno rząd zamierza znowelizować godło tego kraju. Of kors szykuje się nam kolejny projekt, który ma na celu skłócić społeczeństwo oraz służyć afirmacji tylko jednej, ka(t/cz) ofashystoffskiej opcji politycznej.

Otóż według nas w ogóle nie powinno być obecnie czegoś takiego jak godło, iż jest to historia. A po co nam historia, skoro mamy teraz? Postulowalibyśmy więc,

REKLAMA

Zoltán Fejérvári
W kręgu wielkiego romantyzmu
1.12.2018
Filharmonia Narodowa

eufonie
I Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej
bilety.eufonie.pl

ORGANIZATOR



Ministerstwo
Kultury
 i Dziedzictwa
 Narodowego

niezodolęsa

MECENAS



Zfrontu negocjacji samorządowych. Sprawa poważna jak propozycja, którą PiS złożył Władkowi Kosiniakowi-Kamyszowi. Była prosta: „Wiemy, że nie możecie publicznie wejść z nami w koalicję krajową, ale pozwólcie, żeby w wojewódzkich sejm-

zabiera bezpartyjny Patryk Jaki i opowiada o procentach, tysiącach głosów i skali sukcesu w porównaniu. Po mniej więcej trzech minutach Kaczor Dyktator przerywa Patrykowi. „To wszystko jest bardzo ciekawe, może mógłby pan to opowiedzieć w jakiejś gazecie albo

się sukcesem frekwencyjnym. Żadnych wicepremierów, ledwie trzech czy czterech ministrów, puste łóżko dla VIP-ów i pustki wokół prezydenta Andrzeja Sebastiana. Im dłużej patrzyliśmy na osamotnionego PAD-a, tym lepiej widzieliśmy: miało być o niepodległości, a wyszła metafora prezydentury.

Zły Donald obiecał Władkowi Kosiniakowi-Kamyszowi, że ten zostanie premierem koalicyjnego rządu. A teraz najlepsze: Władek uwierzył

mikach radni Peezeli sami decydowali, z kim chcą. W zamian obiecujemy, że nie będzie wycinania ludowców ze stanowisk we wszystkich odbitych przez PiS województwach”. Kosiniak odrzucił tę ofertę ze wzgardą. Którą to opowieść publikujemy ku nauce peezelowskich dołów.

Żli ludzie mówią, że Władek Kosiniak-Kamysz jest taki twardy z winy złego Donalda z Brukseli (dobry Donald, jak wiadomo, urzęduje w Waszyngtonie). Otóż zły Donald obiecał Władkowi, że jak naprawdę nie pęknie i nie będzie w samorządzie kumał się z PiS, to w nowym Sejmie naprawdę zostanie premierem koalicyjnego rządu. A teraz najlepsze: Władek w to uwierzył.

Zkolei od ważnych peezelowców (zresztą któż tam nie jest ważny) usłyszeliśmy kontrrefleksję. „Dwa miesiące przed wyborami byliśmy gotowi na koalicję z PiS, ale po tym, co działo się w ostatnich tygodniach kampanii, wszystko się zmieniło. Nie zgadzamy się, żeby nam pluto w twarz”. Ciekawa rzecz, zły Donald pluł często, ale w koalicji z Peło jakoś to Peezelowi nie przeszkadzało.

Czas rozliczeń. Opowieść wiewiórki z Nowogrodzkiej. Trwa słynne czterogodzinne posiedzenie po pierwszej turze wyborów samorządowych. Głos

telewizji, ale teraz mamy tu ważniejsze rzeczy do omówienia”. Kurtyna.

Kto czyta, nie błądzi i w dodatku może odkryć, że bezpartyjny Patryk posłusznie poszedł i opowiedział. Nie w gazecie czy telewizji, ale w portalu naszych braci mniejszych. Niestety, prócz snucia opowieści o procentach i tysiącach głosów oraz skali sukcesu zaczął także czochrać Parucha Profesora oraz spina Bielana Adama. Na miejscu Patryka nie ruszilibyśmy Bielana. Bezimiennymi politycznymi grobami jego przeciwników usiana jest Rzeczpospolita. Parucha Profesora też byśmy nie ruszali, bo Kaczor Dyktator niezmiennie go lubi.

Wybory to już przeszłość, teraz liczy się niepodległość. Znacząca setna rocznica odzyskania. Liczyliśmy uważnie w Teatrze Wielkim, ale uroczysty koncert z prawykonaniem „Te Deum Polonia” nie okazał

Ważna wiadomość dla miłośników wyżerki. W tym roku niepodległościowe uczty zamiast w pałacu na Krakowskim Przedmieściu odbędą się na Zamku Królewskim. Andrzej Sebastian gościć ma wyjątkowo krótko, gdyż plan jest taki, żeby jeszcze tego samego dnia świętował stulecie odzyskania niepodległości gdzieś w interiorze, ze zwykłymi Polakami. Jesteśmy za. My też przedkładamy niepodległość nad wyżerkę. Na zamek idziemy tylko po to, by drwić z elit.

Nie wszyscy organizują imprezy związane ze Świętem Niepodległości, inni celebrują coś zupełnie innego. Jesteśmy wzruszeni. Polskie Amnesty International organizuje na przykład inicjatywę „Pobiegnij dla praw człowieka w Polsce”. Chcemy partycypować! Na początek rozszerzymy nazwę. „Pobiegnij dla praw człowieka w Polsce na skargę do TSUE”. Tak lepiej. Trasy nie zmieniamy. Półmaraton. Coś w sam raz, dla ludzi półpoważnych. W sumie lepszy byłby ćwierćmaraton. To nawet dobrze brzmi: ćwierćmaraton dla ćwierćinteligentów.

Sprawy zagraniczne. Zgodnie z naszymi wcześniejszymi zapowiedziami gdy tylko niejaki Ojciec Święty, czyli dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz, objął stanowisko, natychmiast rozpoczęła się rzeź komuszych pomiotów. Na

dzień dobry, jednym pociągnięciem pióra, Papierz odwołał z placówek wszystkich, którzy w oświadczeniach lustracyjnych przyznali się do służby lub kapowania dla esbecji. Można? Można!

Papierz nie jest osamotniony w swym krwawym dziele. „Czarny maharadża” to przydomek, którego dorobił się nowy szef kadr MSZ, niejaki



dwaj panowie

Na miejscu Patryka nie ruszilibyśmy Bielana. Bezimiennymi grobami jego politycznych przeciwników usiana jest Rzeczpospolita

Artur Lompart. Facet spędził sześć lat na placówce w Indiach, a czarno dlatego, że ubiera się na czarno i czarne są jego myśli oraz czyny. Innymi słowy to kumpel Papierza jeszcze z czasów „Pulsu dnia”. Ma to do siebie, że jest typem kadrowca określanym jako homofob. Nader często jego kolejni podwładni słyszą frazę: „Ja się z wami Kowalski pier...ić nie będę”. Zazwyczaj słyszą ją tylko raz.

W Grodnie rozchorował się niejaki konsul Leszek Wanat.

Choroba nie choroba konsulatu musi działać i wydawać paszporty i wize. Podczas niedyspozycji konsula postanowiono otworzyć jego szafę, by wyjąć z niej paszporty przeznaczone do wydania. Jakież było zdumienie, gdy w tej samej szafie odkryto w gotówce 60 tys. zł i 40 tys. euro. Konsul tłumaczy, że nie miał zaufania do białoruskich

banków, trzymał więc oszczędności w szafie. Dobra, dobra.

Jeszcze większe poruszenie zapanowało w redakcji „Gazety Wrocławskiej”. Otóż okazało się, że pewna dziennikarka, prywatnie koleżanka (tak to określimy

z ostrożności procesowej) tzw. żywej legendy, czyli Józefa Piniora, miała mu przynieść z redakcji informacje dotyczące pewnego gangusa o wdzięcznym pseudonimie Sołtys. Otóż Pinior zabiegał o ułaskawienie gangusa u prezydenta Bronisława I Wąsatego, bo ów bandzior w wielkiej konspiracji miał ponoć pomagać podziemnej Solidarności.

Konspiracja była jednak tak wielka, że oprócz

Piniora nikt o tym nie wiedział. Trwa spór o to, jak cenne były zabiegi Piniora. To znaczy jak wynagradzane. Czekając na proces, przypominamy, że i na to, co robiła koleżanka żywej legendy, jest paragraf w Prawie prasowym. Stanowi on, że wynoszenie takich informacji z redakcji to jednak przestępstwo. ©©



REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ PAKIET 3 KSIĄZEK :

KS. P. GLAS „DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
T. TERLIKOWSKI „WENANTY KATARZYŃCIE”
P. LISICKI „EPOKA ANTYCHRYSTA”
+ SŁUCHAWKI STARS

Cena: 139 zł
Oszczędność: 178 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Listopadowy paradoks

FOT. KACPER PEŁEŃ / REPORTER

Z okazji stulecia zmartwychwstania Polski hucznie świętujemy odzyskanie niepodległości. Wspominamy ludzi, których wysiłek – wojskowy i obywatelski – doprowadził do tego, że znów mogliśmy stanowić o sobie. Mój dziadek opowiadał mi, jak jeszcze za czasów pruskiej władzy nad Powiślem w jego domu rodzice powtarzali: „Będzie jeszcze Polska, będzie”. Właśnie z powodu tej determinacji nasz kraj odzyskał podmiotowość. Marzenia, by nie zginać karku przed obcą symboliką. Nie przysięgać obcym władcom, nie śpiewać nie swoich hymnów, nie uczyć się w szkołach z cudzych podręczników, nie jeździć z najważniejszymi sprawami do Berlina, Petersburga czy Wiednia zamiast do Warszawy.

Moje pokolenie poznało brak niepodległości w innym, mniej wyzywającym wydaniu. Jednak czasami obca dominacja wzywała z za narodowej fasady. Musieliśmy oglądać, jak najdroższy polski symbol – Krzyż Wielki Virtuti Militari – Edward Gierek wręcza Leonidowi Breżniewowi, człowiekowi, który stał na czele państwa mającego na sumieniu dziesiątki tysięcy



Piotr Semka

Polacy przyzwyczajeni do niepodległości coraz rzadziej mówią o niej jako o osobnej i bardzo ważnej wartości. Jej ostatecznym gwarantem miało być dołączenie do Unii i NATO. Czy naszej niepodległości nikt dziś nie ogranicza?

polских patriotów. Gest ten tak wstrząsnął Polakami, że wszyscy jeszcze żyjący wówczas generałowie II RP w akcie protestu złożyli swe krzyże Virtuti jako wotum u ołtarza cudownego obrazu na Jasnej Górze. Brak niepodległości czuliśmy, gdy do konstytucji PRL w 1976 r. wszedł zapis o przyjaźni z ZSRS. Gorzko przeżywaliśmy nakaz z Kremla, by Polska nie brała udziału w olimpiadzie w Los Angeles w 1984 r.

Po 1989 r. dochodzenie do niepodległości symbolizowały przywrócenie orłowi korony, pierwsze w pełni wolne wybory, a wreszcie wypchnięcie z Polski Armii Czerwonej.

Ostatecznym zagwarantowaniem niepodległości miało być wejście do Unii

Europejskiej i NATO jako przekreślanie Jałty i powrót od Europy. Gdy już do obu organizacji weszliśmy, zapanowało poczucie satysfakcji i spełnienia. Dołączyliśmy do strefy sytości i braku lęku przed najazdem ze Wschodu.

NIEPODLEGŁOŚĆ OCZYWISTA

O samej niepodległości jako osobnej, ważnej wartości przestano zbyt wiele mówić. Jedni uważali ten stan za coś oczywistego, inni wchodzili w ton mędrków i zaczęli uczenie dowodzić, że w dzisiejszym świecie nikt już nie jest tak naprawdę niepodległy, bo wolny rynek przekracza granice, tworzy światowy system współzależności. W tym nowym świecie Zachodu

nie było już ceł, granic ani barier handlowych, co czyniło z Unii jedno terytorium wymiany dóbr i usług. Chwalono standardy unijne i cieszą się, jak polepszą one polskie państwo. W tej aurze mało kogo niepokoiły wchodzenie obcych firm na polski rynek medialny czy powolne zaniedbywanie armii. Rosja w alkoholowych oparach Jelcyna nie wydawała się groźna, a potem, w epoce Tuska, zaczęto wierzyć w reset ze wschodnim imperium. Doświadczenie gruzińskie z 2008 r. lekceważono. Równie entuzjastycznie witano program Erasmus, staże w instytucjach europejskich i stypendia na niemieckich uniwersytetach. Starsze pokolenie, które żyło bez łatwości wyjazdu na Zachód, z nadzieją witało to wszystko jako powstanie nowego pokolenia, które straci kompleksy z powodu polskiej zaściankowości i wnieście do europejskiej integracji zrozumienie dla polskiej wrażliwości oraz tradycji.

O Unii jako czynnika centralizacji życia należących do niej państw pisali głównie publicyści „Najwyższego Czasu!”. Drugim środowiskiem, które biło na alarm, byli konserwatywni katolicy, tacy jak Marek Jurek. Wskazywali oni, że budowa „wspólnego europejskiego domu” prowadzi do narzucania rewolucyjnej obyczajowo-urawniłowki. Jednak w stosunkach międzypaństwowych sytuacji konfliktowych nie było wiele. Polityka zagraniczną zajmowali się albo Unia Wolności, albo światli postkomuniści z obozu Kwaśniewskiego. A ci unikali jakichkolwiek kontrowersji z najważniejszymi graczami UE.

Kiedy pojawiły się pierwsze sygnały, że w relacjach Uni z Polską coś zgrzyta? Dla mnie osobiście był to list byłych szefów MSZ wystosowany z powodu odwołania szczytu weimarskiego w 2006 r.

Byłem zdumiony, że w sytuacji pewnego zgrzytu w relacjach polsko-niemieckich grupa byłych szefów dyplomacji publicznie upokarza prezydenta Lecha Kaczyńskiego publiczną połajanką. Oceniali sytuację, której wszystkich okoliczności nie mogli znać do końca. Pierwszy raz przeszło mi przez głowę, że powstała grupa polityków, którzy w konflikcie zajmą zawsze stanowisko po stronie Unii, bez jakiegokolwiek lojalności wobec aktualnej władzy w Polsce.

ZAGRANICZNA WYROČZNIA

Od czasu mojego niemiłego zdziwienia z 2006 r. minęło 12 lat. Wszelkie granice umiaru w wyrażaniu konfliktów wewnątrzpolskich na forum międzynarodowym znikły. Początkiem już jawnego

grania na Brukselę jako partnera w walce z rządem były słynne słowa Grzegorza Schetyny ze stycznia 2016 r.: „Jeżeli będzie utrzymane takie tempo konfliktu, to naszą aktywnością będzie ulica na pewno. A tak-że Europa”.

Przestały działać jakiekolwiek hamulce. W polskiej polityce po stronie opozycji pojawili się ludzie, którzy zachowują się tak, jakby każda decyzja czy linia postępowania Komisji Europejskiej była dla nich ważniejsza niż polska racja stanu.

Nieprzypadkowo patronem tej linii stał się Donald Tusk. Ktoś, kto nie miał zahamowań, by swoje drugie premierowanie podporządkować prywatnym aspiracjom objęcia funkcji szefa Rady Europejskiej. Na tym tle nie dziwiło już nikogo spotkanie Grzegorza Schetyny i innych liderów opozycji z Angelą Merkel w ambasadzie RFN, tak jakby wciąż trwały czasy PRL, gdy dysydenci mogli spotykać się z gośćmi z Zachodu tylko na eksterytorialnym gruncie placówek zachodnich państw.

Jednak gra Komisji Europejskiej na korzyść jednej strony wewnętrznego konfliktu była tylko elementem większego problemu. Nagle okazało się, że w przypadku nieposłuszeństwa wobec wiodącej linii unijnej uruchomione mogą być rozmaite procedury karne ograniczające wewnętrzną suwerenność kraju członkowskiego. A nawet działające na rzecz jednej ze stron w sytuacjach wyborczych. Takie wrażenie sprawiał wyrok TSUE wydany w pośpiechu w przededniu polskich wyborów samorządowych. Pojawiło się poczucie istnienia licznych, niezauważanych wcześniej nitek w systemie unijnym, które potrafią boleśnie zredukować poziom niepodległości dowolnego kraju.

Doświadczyli tego Węgrzy, doświadczyła tego Polska i proces ten dotyka teraz boleśnie Włoch.

Od chwili zdobycia władzy przez Ligę i Ruch Pięciu Gwiazd władze w Rzymie obsadzone są w roli kolejnego krnąbrnego ucznia Europy wysyłanego do oślej ławki. Portal Politico dziwił się niedawno, jak lider Ligi Matteo Salvini może oskarżać Unię o wrogi stosunek do swojego kraju, skoro na najwyższych unijnych stanowiskach pełno jest Włochów – Antonio Tajani jest szefem europarlamentu, Federica Mogherini pełni funkcję szefowej eurodyplomacji, a Mario Draghi jest szefem Europejskiego Banku Centralnego. Paradoks jest pozorny. Cała trójka – Tajani, Mogherini, Draghi – weszła do świata eurokracji i na starania emancypacyjne obecnego rządu Włoch

patrzy bez sympatii. Co z tego, że Tajani wywodzi się z prawicowej Forza Italia, skoro posłusznie akceptuje niezwykle stronnictwo traktowanie Polski, Węgier czy Włoch przez liderów z Brukseli?

Unia zamieniła się w instytucję, w której pod fasadą wspólnego ustalania decyzji przez reprezentantów 25 państw unijnych niemal zawsze wygrywają stanowiska Niemiec, Francji oraz lobby rewolucji obyczajowej. To wrażenie nierównych szans odnawia poczucie coraz większej dążności do decydowania o wszystkim w Brukseli i tym samym systematycznego przykracania niepodległości. Udana lub nie – jak kto woli – berlińska opowieść prezydenta Dudy o żarówkach była punktem wyjścia do chęci zwrócenia uwagi na to, jak bardzo problem ten narasta, niezależnie od najszybszych uzasadnień dla tej czy innej regulacji.

A jego trafne pytanie: „Dlaczego, skoro jest tak dobrze w Unii, Brytyjczycy wybrali exit?” dotknęło istoty problemu.

Po szoku decyzji Brytyjczyków nie doszło w Unii do żadnej refleksji nad procesem „deficytu demokracji” we wspólnocie. Zwyciężył raczej pogląd, że trzeba kraje członkowskie dyscyplinować jeszcze twardszą ręką.

RÓŻA – PECHOWE IMIĘ

Jerzy Giedroyc, w okresie gdy już coraz mniej rozumiał z tego, co się dzieje w Polsce po upadku PRL, postawił tezę, że w III RP rządzą dwie trumny – Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Ten slogan co rusz ktoś powtarza. Tymczasem „Księżę z Maisons-Laffitte” nie zauważył trzeciej „rządzącej trumny” – Róży Luksemburg. Być może uznał, że marksizm, którego była wyznawczynią, zbankrutował raz na zawsze. Jednak nie dostrzegł siły innego rysu myślenia rewolucjonistki z Zamścia – jej lekceważenia idei osobnych państw narodowych i wiary w wielkie struktury ponadnarodowe.

Kto wie, czy gdyby nie została zamordowana przez pruskich oficerów, z czasem wycofałaby się z idei Marksa na rzecz jakiejś wizji zjednoczonej Europy opartej na wartościach świeckich? Z takim samym lekceważeniem dla specyfiki poszczególnych państw. Wielu weteranów rewolty 1968 r., takich jak Joschka Fischer i Daniel Cohn-Bendit, czy ich ideowych wychowanków, takich jak José Barroso czy Federica Mogherini, zerwało z sierpem i młotem, ale nie wyzbyło się myślenia kolektywistycznego w odniesieniu do Europy.

Wskazywani jako rzekoma przeciwwaga chadecy z EPP nie byli w perspektywie ostatnich trzech dekad żadną przeciwwagą. Co rusz ulegali linii postępowców, co najwyżej odwołując się do zmiany. W Unii następowały w tym czasie dwa procesy równoległe – rosnącej ideologizacji i urawniłowki Unii według agendy celów lewicy oraz narastającej, choć ukrywanej hegemonii Niemiec i Francji. Kraje, które nie chcą się temu podporządkować albo odchodzą, tak jak Wielka Brytania, albo są karane za pomocą instrumentarium instytucji unijnych. Wszystko to ma niewiele wspólnego z założeniami związku państw Europy, który powstał jako EWG w 1957 r. Z perspektywy czasu coraz lepiej widać, że cezurą było tu zjednoczenie Niemiec. Znowu widać, że Niemcy są za małe, aby skutecznie zdominować kontynent, ale wystarczająco duże, by de facto kontrolować większość państw unijnych. Niemcy

w latach 80. – „mały Luksemburg ma tyle samo do gadania co bogate Niemcy”. Dzisiaj już nikt tak nie mówi.

CZTERY ODPOWIEDZI NA KRYZYS

Jak na ten narastający deficyt niepodległości krajów członkowskich UE reagują polskie elity? Reakcje są z grubsza cztery.

Pierwsza to stary, dobry euroentuzjzm. Politycy PO czynią to w imię wiary, że taka postawa przyniesie im powrót do władzy. Akceptują sytuację, w której Unia ma być coraz silniejszym rozgrywającym na polskiej scenie politycznej, bo zgadza się to z ich planami karier. Marzą wręcz, by w Polsce licencję na rządzenie miała na zmianę albo jakaś emanacja PO, albo jakaś lewica plus obrotowy PSL. Niedawny sukces w wielkich miastach upewnił ich, że są na właściwym kursie. Pod hasłem: „My albo polexit” pójdą do najbliższych wyborów.

Opory wobec Unii Europejskiej powstawały i ciągle powstają z obawy przed utratą suwerenności państwowej

po dwóch wojennych próbach postanowiły robić to w duecie z Francją. A akceptację postępowców oba kraje uzyskały, przyjmując logikę postępu obyczajowego i cywilizacyjnego. To skłania progresistów, aby widzieć w RFN przodujące państwo postępu, tak jak kiedyś widziano w tej roli ZSRS. To chadeczką Angela Merkel zalegalizowała małżeństwa homoseksualne i masową migrację z 2015 r. Jej zasługi w utrzymywaniu sankcji wobec Rosji nie zmieniają tego stanu rzeczy.

W obozie opozycji zwycięża więc dziś trumna Róży Luksemburg i śmieszne jest porównywanie obecnego konfliktu do sporów piłsudczyków z endekami. Ani jedni, ani drudzy w międzywojniu nie uciekali się w swych waśniach do szukania pomocy w zagranicznych stolicach.

A dlaczego Polacy mimo europerswazji z wewnątrz i z zewnątrz wspierają na tyle PiS, by przodował w sondażach? Bo właśnie skutek swoich doświadczeń historycznych mają jakiś siódmy zmysł do wyczuwania ograniczania ich wolności nawet pod najszczytniejszymi hasłami.

Mają go Węgrzy, mają Brytyjczycy, mają go Włosi. A np. Holendrzy, Belgowie czy Portugalczycy udają, że to nadal wspólnota, w której – jak bałamutnie opowiadano

Obóz drugi to realisci – ci działają głównie w świecie ekspertów. Zauważają oni rosnący kryzys Unii, ale wzywają do zachowania cierpliwości i uznania układu sił. Wskazują – i słusznie – na zagrożenie rosyjskie jako czynnik nakazujący koncyliacyjność wobec Niemiec i Francji. Ostrzegają, że „Berlin traci cierpliwość”. Przestrzegają też przed stawianiem na USA, pytając, co się stanie, jak jankesi znudzą się rolą policjanta na wschodzie naszego kontynentu. „Innej Unii niż taka, jaka jest w obecnym kształcie, nie ma” – powtarzają do znudzenia. W takich kryzysach jak migracyjny proponowali taktykę sprytnego gracza – nie ogłaszają, że nie weźmiemy uchodźców, ale wzięć ich jak najmniej i czekać, aż sami uciekną do RFN skuszeni wyższym socjałem.

Problem w tym, że ich polityka nie zauważa dwóch czynników. Francja wypycha kraje wschodu z UE, używając argumentów ideologicznych (narastający faszyzm itp.). Niemcy z kolei wschodnie kraje chcą, ale nie akceptują w nich rządów samodzielnymi graczami. I dlatego cały czas czekają na powrót do władzy nad Wisłą znanych i kontrolowanych polityków – od Tuska do Schetyny. Dla PiS to żadna propozycja.

Skoro mowa o PiS, to ten ma najtrudniejszą sytuację. Bity po głowie oskarżeniem o chęć polexitu, jak może, deklaruje swoją proeuropejskość. Robi tak z uwagi na sondaże wykazujące poparcie dla UE, ale i z racji wewnętrznego przekonania. Jednak Unii bez ukrytej hegemonii dwóch graczy i bez ideologicznego zacietrzewienia. Ten fenomen występuje nie tylko u nas. Przebywający w Rzymie o. Dariusz Kowalczyk pisał niedawno: „Zajrzałem do jednego z włoskich dzienników, który dziwi się, że większość Włochów jest proeuropejska, a zarazem większość popiera – jego zdaniem – »antyeuropejski rząd«. Czy tak trudno zrozumieć, że można chcieć UE innej niż Junckera i Timmermansa?”. Ten cytat dobrze oddaje myślenie Jarosława Kaczyńskiego, który nie bez powodu dystansował się od Frontu Narodowego czy AfD – jako partii niechętnych Unii. PiS może liczyć na jedno – po wyborach do europarlamentu układ sił w Unii może się zmienić i nagonki na „nieposłusznych” będą mniej dotkliwe. Jeśli jednak tak się nie stanie, to wiatru w żagle nabiorą zwolennicy wyjścia z UE, np. narodowcy. Już dziś głoszą, że PiS mizdrzy się do Brukseli, a ta go jedynie upokarza.

Orbán i Kaczyński – stawiając opór Komisji – przedstawiani są jako wrogowie integracji europejskiej. Trudno o większe nieporozumienie. Wskazują na patologie i absurdy UE, bo wiedzą, że awanturnicy w stylu Fransa Timmermansa, Martina Schulza czy Guya Verhofstadta działają na rzecz zaklinczowania się Unii.

W 2007 r. w wywiadzie rzecze Leszek Kołakowski trafnie przewidział niepokojące ciągoty unijnej lewicy. „Myślę, że większość ludzi jest przywiązana do swojej narodowej etnicznej tradycji, ceni sobie pozostawanie w kulturze narodowej. Opory przeciwko Unii Europejskiej powstawały i ciągle powstają z obawy przed utratą suwerenności państwowej, a także z irytacją w obliczu restrykcji i reguł narzucanych narodom przez biurokrację brukselską. Patrząc z pewnym smutkiem na erozję samej idei suwerenności, bo przecież to już widać, że idea suwerenności chyli się ku upadkowi. Zadałem sobie trud, by przejrzeć teksty różnych porozumień europejskich. Chyba tylko raz zdarzyło mi się spotkać słowo »suwerenność«, i to w takim oto kontekście, że państwa, które należą do Unii, muszą swoją suwerenność ograniczać”.

Od tego czasu minęło dziewięć lat. I z naszą niepodległością lepiej nie jest. Jest gorzej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Zorganizowany przez PFR Nieruchomości konkurs na zaprojektowanie osiedli mieszkaniowych na trzech działkach we Wrocławiu w ramach rządowego programu „Mieszkanie Plus” wszedł właśnie w decydującą fazę. Jego uczestnicy, po warsztatowych spotkaniach z członkami sądów konkursowych, mogą już rozpocząć projektowanie tych osiedli. Z blisko 70 zgłoszeń jury wyłoniło 17 pracowni, które mają szansę na zaprojektowanie trzech nowych osiedli. Muszą przy tym przedstawić propozycję zagospodarowania terenów o funkcjach publicznych, rekreacyjnych i komunikacyjnych. Co istotne, wszystkie działki, których dotyczy konkurs, objęte są ustaleniami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Zwycięską pracownię poznamy jeszcze w tym roku.

– Cieszy mnie fakt, że wśród architektów zakwalifikowanych do kolejnego etapu pojawiły się pracownie nie tylko z Wrocławia, lecz także z Krakowa czy z Warszawy. To pokazuje, że w ramach programu „Mieszkanie Plus” chcą z nami współpracować najlepsi projektanci z całej Polski – mówi Grzegorz Muszyński, wiceprezes PFR Nieruchomości.

Wrocławską edycję to kolejna – po Krakowie i Warszawie – odsłona konkursu, który jest istotnym narzędziem określającym standardy przy budowie osiedli „M+”. Dzięki temu przyszli najemcy lub właściciele „Mieszkań Plus” mogą mieć pewność, że zarówno mieszkanie, jak i całe budowane osiedle trzymać będą wysokie standardy współczesnego budownictwa.

PREFABRYKACJA PRZYSZŁOŚCI

Celem programu „Mieszkanie Plus” jest jednak nie tylko zapewnienie dostępnych cenowo mieszkań w nowocze-



Mieszkanie w nowym standardzie

Mieszkania w programie „Mieszkanie Plus” budowane są w nowoczesnych standardach, z myślą o energooszczędności i ochronie środowiska naturalnego. Pomagają w tym konkursy urbanistyczno-architektoniczne i specustawa mieszkaniowa

snym standardzie. Stawką jest też obniżenie kosztu produkcji mieszkań na polskim rynku.

– W programie „Mieszkanie Plus” stawiamy sobie bardzo ambitne cele. Chodzi o to, aby były to mieszkania wybudowane jak najniższym kosztem przy zachowaniu odpowiedniego nowoczesnego standardu. Dlatego rozpoczęliśmy już prace nad przygotowaniem docelowych rozwiązań, czyli wyszukaniem i zaaplikowaniem odpowiednich technologii – mówi Włodzimierz Stasiak, wiceprezes PFR Nieruchomości.

Pomóc w tym ma konkurs „Prefabrykacja”, którego przedmiotem jest opracowanie prefabrykowanego systemu zabudowy mieszkaniowej,

zgodnego z podstawową typologią budynków i na bazie wcześniej sporządzonych rozwiązań oraz wytycznych architektonicznych.

– Oczekujemy, że pierwsza wzorcowa realizacja, prowadzona na podstawie opracowanego systemu prefabrykacji zabudowy mieszkaniowej oraz projektu architektoniczno-urbanistycznego na wybranej przez nas działce, przełamie stereotypy i stworzy nowy obraz budownictwa prefabrykowanego – twierdzi Grzegorz Muszyński, członek zarządu PFR Nieruchomości.

SPECUSTAWA MIESZKANIOWA

Kolejnym narzędziem, które pomoże w zapewnieniu wy-

sokiego standardu mieszkań „M+”, jest specustawa mieszkaniowa, która weszła w życie w sierpniu br. Ustanawia ona liczne standardy architektoniczno-urbanistyczne, którym podlegać muszą nowo budowane osiedla mieszkaniowe. Należą do nich np. odpowiedni dostęp do drogi publicznej, dostęp do sieci wodociągowej, kanalizacyjnej i elektroenergetycznej. W specustawie ustalono też odległość inwestycji od przystanku komunikacyjnego, szkół podstawowych i przedszkoli. Zgodnie z nią inwestor musi także zapewnić dostęp do urządzonych terenów wypoczynku oraz rekreacji lub sportu. Ważne, że wymogi można spełnić w oparciu zarówno o infrastrukturę istniejącą, jak i o infrastrukturę planowaną. Specustawa mieszkaniowa określa także wysokość planowanych budynków, która jest uzależniona od wielkości miast liczonej w liczbie mieszkańców, a także od sąsiadującej zabudowy. W lokalnych standardach urbanistycznych gmina może także określić liczbę miejsc parkingowych niezbędnych dla obsługi realizowanej inwestycji mieszkaniowej lub obowiązek zapewnienia dostępu do sieci. Co ważne, nowe przepisy regulują, że gmina, na której terenie zaplanowano inwestycję, może zmienić standardy w drodze uchwały.

W ramach programu „Mieszkanie Plus” oddano już do użytkowania 480 mieszkań w Białej Podlaskiej, gminie Jarocin oraz Kępnie. 26 października rozpoczął się nabór wniosków dla przyszłych najemców 172 „Mieszkań Plus” w Gdyni. Już pierwszego dnia o najem mieszkań zawnioskowało ponad 1000 osób. Mogą oni dokonać wyboru co do formy najmu oraz standardu wykończenia mieszkania. Więcej informacji na oficjalnej stronie inwestycji: www.mieszkanieplusgdynia.pl.



Rafał A. Ziemkiewicz

Żeby uprawiać jakąkolwiek sensowną politykę, musimy wreszcie sformułować na swój własny użytek, po co nam suwerenność i po co nam jej ograniczenie, jakim jest członkostwo w UE

Być może przyjdzie nam kiedyś upowszechnienie przez Platformę Obywatelską terminu „polexit” uznać za jej historyczną zasługę. Strasząc cynicznie zmyślonym i wmówionym PiS „wyprowadzeniem Polski z Unii Europejskiej”, mimowiednie oswoiła bowiem opozycja totalna Polaków z myślą, której publiczne sformułowanie jeszcze kilka lat temu wydawało się niewyobrażalne – że polskie dążenie do bycia „w Europie” może się stać niemożliwe do pogodzenia z polskim dążeniem do bycia państwem niepodległym.

Członkostwo w Unii – co zachęciło Schetynę i jego partię do grania taką propagandową kartą – popiera w sondażach miażdżąca większość ankietowanych, bodaj najwięcej ze wszystkich unijnych krajów. Jednakże niepodległość jest absolutną podstawą polskiego myślenia politycznego. Nie brak oczywiście i współcześnie „tutejszych”, którym nie robi wielkiej różnicy, jakiego akurat ptaka mają namalowanego w paszporcie, nie brak także „targowiczów” gotowych dla własnych korzyści szkodzić własnej ojczyźnie i służyć jej wrogom. Nawet jednak ci ostatni publicznie się starają przedstawiać swe postępowanie jako troskę o niepodległość, a przynajmniej o interesy państwa polskiego. Przypadek Janusza Palikota, który w szczycie swej popularności nawoływał: „Polacy muszą wyrzec się polskości, jeśli chcą się stać Europejczykami”, był odoosobniony.

Co zrobić, jeśli te dwie tak hołubione wartości i dążenia okażą się niemożliwe do pogodzenia? Od wielu lat staramy się intensywnie o tym nie myśleć.

Dłużej już się chyba jednak nie da.

@

Naród, aby być suwerennym – podobnie jak człowiek, aby być wolnym – musi przede wszystkim mieć taką wolę.

Przykład: w maju roku 1987 rozbił się wraz z załogą i pasażerami samolot PLL „Lot”, sowiecki Il-62. Związek Sowiecki, jak zawsze w takich przypadkach, postawił sprawę jasno: przodująca sowiecka technika nie mogła zawieść, wina musi leżeć po stronie polskiej.

Nie trzeba chyba przypominać ówczesnej sytuacji politycznej. Polska była wówczas protektorem Moskwy, krajem całkowicie jej poddanym, stan ten uznawany był na świecie za oczywisty i nikt na

wszystko zawdzięczał Sowietom i był od nich uzależniony bez reszty.

Dwadzieścia trzy lata później rozbił się pod Smoleńskiem rządowy samolot specjalny Tu-154, na którego pokładzie zginęło dwóch prezydentów RP (urzędujący i były prezydent na uchodźstwie), liczni ministrowie, generałowie, posłowie, liderzy korporacji zawodowych i szczególnie zasłużeni obywatele. Stanowisko strony rosyjskiej było i wtedy takie samo: nasza technika oraz nasz personel naziemny



Zachodzie nie myślał, by kwestionować ustalonych w Poczdamie „stref wpływów”. Premierem był człowiek bez jakiegokolwiek politycznej władzy, technokrata Zbigniew Messner, ministrem spraw zagranicznych bezbarwny aparatczyk Marian Orzechowski, a faktycznie rządził jako I sekretarz KC PZPR gen. Wojciech Jaruzelski, który

są poza podejrzeniami, wina musi leżeć całkowicie po stronie polskiej.

Polska była już wtedy krajem mającym wszystkie formalne atrybuty niepodległości, członkiem Unii Europejskiej i NATO. Premier Tusk uchodził za pupila zachodnich elit, równie świetnymi stosunkami w zachodnim establishmentie mógł się

pochwalić szef MSZ, Radosław Sikorski, oksfordczyk wżeniony w bardzo wpływową amerykańską rodzinę. Pozycja Polski, gdyby Rosja chciała odmówić jej żądaniom dotyczącym rzetelnego zbadania przyczyn wypadku, była więc nieporównywalna.

Tymczasem w roku 1987 całkowicie niesuwerenny formalnie rząd PRL zdołał się „sojusznikom” postawić, zażądał rzetelnego śledztwa i choć strona sowiecka je sabotowała, odmawiając dostępu do wszelkich pozostających w jej gestii

sojuszami Polski sam zrezygnował z jakiegokolwiek wpływu na śledztwo, oddając je Rosjanom, a na dodatek zapewnił ich, że nawet nie będzie otwierał przysyłanych z Rosji trumien – wszystko w imię „niezadrażniania” stosunków z potężnym sąsiadem i wyciszenia wywołanych tragedią emocji.

Messner z Orzechowskim, peerelczyści z partyjnego nadania, okazali się więc bardziej suwerenni niż wybrani w powszechnych wyborach i zaprzysiężeni z Zachodem Tusk i Sikorski. Trudno o bar-

komuniści być może panicznie bali się sprzeciwić „wielkiemu bratu”, ale musieli to zrobić, bo jeszcze bardziej bali się, co zrobią Polacy, kiedy będzie im się wmawiać oczywiste kłamstwo o odpowiedzialności za katastrofę polskich pilotów czy mechaników. O ówczesnym postępowaniu i ich samych, i ich sowieckich protektorów zadecydowała świadomość nieustającego, twardego dążenia Polaków do wyrwania się spod okupacji i ich gotowość do buntu.

Analogicznie Donald Tusk, z właściwą sobie zręcznością w komunikowaniu się ze skrywaną, cwaniacką częścią polskiej zbiorowej duszy, postawił sprawę otwarcie: przecież wojny Rosji nie wypowiemy. Postraszył Polaków, że dochodzenie prawdy zagrozi radosnemu konsumowaniu owoców przystąpienia do Unii, zagrozi świętemu spokojowi i korzystaniu z promocji w marketach. Dobrze wyczuł nastroj: falę złości i gniewu po tragedii bez trudu odwrócił tak, by zamiast przeciwko władzy, ku zmuszeniu jej do szukania prawdy, skierowała się przeciwko ofiarom tragedii, ku uznaniu „sami sobie winni, po co się tam pchali”, ze wściekłym, niewypowiedzianym wyrzutem, że ginąc w Smoleńsku, prezydent ośmielił się narazić nasz świeżej daty dobrobyt na szwank. W niesuwerennej PRL Polacy mieli wolę uzyskania suwerenności. Jej formalne uzyskanie i potwierdzenie uczestnictwem w UE uczyniło z nich „polactwo”, marzące tylko o spokoju i pełnym krycie.

@

Podkreślając decydujący czynnik woli, muszę jednak pójść dalej: wbrew naszemu potocznemu przekonaniu ten czynnik niezbędny jest do bycia suwerennym dalece niewystarczający. Czuję się doprawdy zażenowany, ogłaszając taki truizm, że „chcieć” nie wystarczy, trzeba jeszcze „móc”, a „chcieć to móc” to jedynie frazes, pokrzepiająca bajka. Niestety, żyjemy w jakimś przedziwnym, postromantycznym odurzeniu wyrażającym się upartym wypieraniem tej oczywistej prawdy, czego przejawem jest legenda niepodległości, eksponowana w każdą rocznicę 11 listopada (i potwierdza nawet sam wybór tej akurat daty, kiedy to przecież akurat nie się w Polsce ważnego nie stało). Otóż nie żaden „czyn legionowy” ani żadna „niezlomna wola Pierwszego Marszałka” dały Polsce zmartwychwstanie w 1918 r., tylko było ono owocem mozolnej



Żadne instytucje i traktatowe gwarancje nie dają niepodległości, jeśli naród nie ma woli się upominać o prawo podejmowania suwerennych decyzji. Tej woli zabrakło, gdy rząd Donalda Tuska oddał śledztwo smoleńskie Rosjanom

FOT. SHEMETOV MAXIM/ITAR-TASS/FORUM

i interesów

materiałów, przeprowadził dochodzenie, które dowiodło, że przyczyną tragedii były niezgodne z projektem maszyny „oszczędności” podczas produkcji. Natomiast w roku 2010, mimo że prezydent Rosji poczuł się zobowiązany pierwszy wystąpić z ofertą powołania międzynarodowej komisji, rząd suwerennej i powiązanej z Zachodem

dziej bolesny i dobitny przykład, że żadne instytucje i traktatowe gwarancje nie dają niepodległości, jeśli naród nie ma woli się o prawo podejmowania suwerennych decyzji upominać.

Jakie bowiem były prawdziwe przyczyny tej zdumiewającej różnicy w zachowaniu rządów PRL i wolnej Polski? Otóż

■ „pracy narodowej” całego pokolenia animatorów polskiego życia społecznego, umiejętnego pozyskania przywódców światowych mocarstw, wielkiego wysiłku organizacyjnego...

Sprowadzanie wszystkiego do nie-szczęsnego „szlachta na koń siedzie i jakoś to będzie” trzyma nas w pogardzie dla myślenia praktycznego. Już nie tylko – ten wątek dziś pomińmy – zastanawiania się nad sposobami i narzędziami realizowania naszych dążeń do suwerenności, lecz także zastanawiania się nad interesami, które mamy do zrealizowania.

Być może dlatego, że wyczuwamy instynktownie, iż jeśli poddamy się znienawidzonemu „endeckiemu” myśleniu, to będziemy musieli logicznie się zgodzić, że niepodległość, suwerenność nie może być uznana za wartość najwyższą. I zresztą rzeczywiście, w praktyce – jak pokazał przywołany przykład roku 2010 – dla większości Polaków nie jest nią, ale by otwarcie nie zaprzeczyć legendzie, która nas jako naród ukształtowała, wolimy żyć w schizofrenii i co innego mówić, a co innego robić.

Lepiej przecież niesuwerennie być zdrowym, niż suwerennie zrobić sobie krzywdę. Za oczywiste uważamy, że trzeba odciąć samobójcę od sznura – tu nasz szacunek dla jego suwerennej decyzji się kończy.

Wartością najwyższą dla narodu są jego narodowe interesy – a suwerenność jest środkiem, zwykle niezbędnym, do ich realizowania. Interesem narodu jest przetrwać, rozwijać się, zachować vitalność i moralne zdrowie. Te wszystkie sprawy trudno osiągnąć bez suwerenności, bo wtedy używa nas do realizacji swoich własnych interesów kto inny. Niemniej taka jest kolejność: suwerenność to środek do realizacji celu, a nie cel sam w sobie. Bolesnie przekonujemy się o tym z każdym kolejnym „przedwiośniem”, dziwiąc się, że odzyskałmy niepodległość, a Polska nadal nie jest rajem ani krainą szklanych domów, bo przecież walcząc o suwerenność, tego właśnie się spodziewaliśmy.

W teorii sformułowanie tej prawidłowości jest herezją. W praktyce od dawna się nią przecież kierujemy. Wejście do Unii Europejskiej nie było wszak niczym innym niż ograniczeniem suwerenności w przekonaniu, że pozwoli to Polsce lepiej zrealizować jej interesy. Towarzyszyło temu jednak udawanie, że rezygnując w ten sposób z części suwerenności, z czego nie rezygnujemy. Znowu – wypie-

ranie rzeczywistości i naiwne wmawianie sobie, że UE nigdy nam nie będzie chciała narzucić niczego, czego byśmy sami nie chcieli, więc problemu nie ma i po co szukać dziury w tym, co powinno być całe.

W ten sposób pojęciowa niemota, spowodowana fetyszyzowaniem suwerenności jako celu samego w sobie, uniemożliwiła nam otwarte przedyskutowanie, jakie to są interesy. W życiu publicznym posługujemy się zatem jakimiś ich potocznymi, niejasnymi wyobrażeniami.

Najczęstsze z nich to prosta – czy wręcz prostacka – ludowa wizja, że wpuścili nas do takiego wielkiego supermarketu, gdzie wszystko jest za darmo, byle tylko wykonywać polecenia obsługi. To jest właśnie wizja, na której opiera swą politykę PO. „Mając trzysta miliardów z Unii...”, „fundusze infrastrukturalne”, mówiąc krótko – pokorne cielić dotacje ssie. Łaska pańska, dają nam – trzeba brać i być wdzięcznym. I nie podsłakiwać, bo zabiorą.

Wejście do UE nie było niczym innym niż ograniczeniem suwerenności w przekonaniu, że pozwoli to Polsce lepiej zrealizować jej interesy

Bardziej elitarne kręgi wolą wyobrażać sobie nasze członkostwo w Europie jako nobilitujące dopuszczenie do eleganckiego klubu bogatszych i lepszych. Postinteligentkie myślenie polskich elit, po obu stronach tożsamościowego sporu, uniemożliwia im niestety zrozumienie tej oczywistej prawdy, że stosunki między państwami i narodami nie są tym samym co stosunki towarzyskie między ludźmi. Dlatego wyobrażają sobie, że jeśli Niemcy, Francja i inni uczestnicy klubu zaprosili nas do swego grona, to po to, by nam okazać życzliwość i zaprzyjaźnić się – więc powinniśmy kierować się zasadą odwzajemnienia doznanej uprzejmości. Jest to głupie, ale niestety powszechne nawet wśród polityków pełniących najwyższe urzędy.

Prawa część elit politycznych oczekuje od tego klubu gotowości do pomagania nam, bezinteresownie, bez wzajemnych żądań i wtrącania się w nasze sprawy. Lewa idzie dalej: liczy, że członkowie klubu „wychowają Polaków”. Lewicowcy, liberalny inteligent, sfrustrowany, że od tylu lat usiłuje wytresować „polski ciemnogród” na ludzi

nowoczesnych i postępowych, i wszystko na nic, postrzega Unię dokładnie tak jak ongiś filozof Kroński stalinowski ZSRS: jej dyrektywy i orzeczenia mają odgrywać tę samą rolę, co „sowieckie kolby”, którymi chciał on wybijać Polakom z głów zacofanie. Stąd – obok oczywiście chęci odzyskania z pomocą Unii utraconych latyfundiów – te aberracyjne, targowickie zachowania totalnej opozycji i jej intelektualno-medialnego zasobu.

Żeby uprawiać jakąkolwiek sensowną politykę, musimy wreszcie wyartykułować, sformułować na swój własny użytek, czego chcemy. Po co nam suwerenność i po co nam jej ograniczenie, jakim jest członkostwo w UE. Dopiero uświadomiwszy to sobie, możemy szukać wyważenia między interesami a ceną, jaką trzeba za nią płacić.

Od lat proponuję, by podstawą tego wyważenia była prosta i w sumie narzucająca się formuła: tym, czego potrzebujemy, jest dostęp do europejskich rynków, kapitałów i technologii. Wszystkiego tego, co pozwala nam realizować nasz nadrzędny cel: rozwój, modernizację, przysparzanie Polsce dostatku i bezpieczeństwa. W czasach akcesji dodałbym tu jeszcze, że potrzebujemy także wsparcia Europy w obronie przed imperialnymi zakusami Rosji, ale obecny stan UE każe już takich nadziei poniechać.

Wszystko pozostałe natomiast – podporządkowywanie się różnym dyrektywom i politykom wspólnotowym – to cena, jaką za ważne dla nas sprawy płacimy. Jeśli cena ta okazuje się za duża, jeśli Unia chce zmienić zasadniczo warunki dealu, jaki z nami kiedyś zawarła, jeśli nagle pojawiają się żądania, które mogą przynieść Polsce więcej szkody niż przewidywalne zyski z członkostwa, to należy się zastanawiać, jak z najmniejszymi stratami się z nieudanej inwestycji w Europie wycofać.

Czy ten moment nadszedł? Sądzę, że jeszcze nie. Dyskusję nad tym, obserwowanie zmian w sytuacji, analizowanie, co z Unii możemy mieć, a czym nam ona może zagrozić, kalkulowanie, do którego momentu się nam ona opłaca – to wszystko uważam jednak za nie tylko dopuszczalne, lecz także konieczne. Jeśli suwerenność sama w sobie nie jest celem nadrzędnym, to już na pewno, tym bardziej, nie można za cel sam w sobie uważać jakiegoś absurdałnego poczucia „bycia w Europie” na każdych warunkach i za cenę spełniania każdego płynącego z niej polecenia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sprostowanie

Wartykule autorstwa Sławomira Cenciekiewicza pt. „pt. „Macierewicz – biografia sfalszowana” zamieszczonym w tygodniku Do Rzeczy w nr 36/288 2018 r. znalazły się nieprawdziwe informacje i twierdzenia odnoszące się do książki naszego autorstwa, które wymagają sprostowania:

- Nie jest prawdą, że jako autorzy książki „sugerujemy agenturalność Antoniego Macierewicza”.
- Nie jest prawdą, że prof. Andrzej Friszke był nieformalnym opiekunem naukowym naszej książki. Profesor był jednym z wielu naszych rozmówców.
- Nieprawdziwe jest stwierdzenie, że według nas „Macierewicz to nowy TW Return i zdrajca kolegów”. Nigdzie w książce takie stwierdzenia nie padają.
- Nie jest prawdą, że prof. Andrzej Friszke inspirował autorów do opisanego postawy Antoniego Macierewicza w trakcie śledztwa 1968 r.
- Nie jest prawdą, że „ordynarnie zafalszowaliśmy treść oświadczenia” Wojciecha Onyszkiewicza z 2010 r. w sprawie zeznań Macierewicza. Nie mogliśmy go sfalszować, gdyż go w ogóle nie cytujemy.
- Nie jest prawdą, że w zeznaniach Macierewicza pełno jest uników i zasłaniania się niepamięcią, które ostatecznie nie pozwoliły bezpiece na przedstawienie zarzutów Piotrowi Bachurzewskiemu i Onyszkiewiczowi. Z akt śledztwa podpisanych przez podprokurator T. Lewandowską *expressis verbis* wynika bowiem co innego: „Na podstawie tych wyjaśnień Macierewicza, Wojciech Onyszkiewicz stanął pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 170 KK” (IPN BU 0330/327 t. 78).
- Sprostowania wymaga przedstawiony przez Cenciekiewicza zarzut, że niesłusznie przypisujemy Macierewiczowi fakt obciążenia w śledztwie Bachurzewskiego. W rzeczywistości Macierewicz jako pierwszy wymienił nazwisko Bachurzewskiego w kontekście czynów zabronionych, to jest kolportażu ulotek oraz ukrywania przedmiotu służącego do wykonania przestępstwa.
- Nie jest prawdą, że – jak twierdzi Cenciekiewicz – dopisek śledczy na zeznaniu Macierewicza z 2 maja 1968 r. o treści „Bachurzewski jest od dawna ustalony!” falsyfikuje nasze twierdzenie, że Macierewicz go obciążył. W rzeczywistości Macie-

rewicz dostarczył śledczym procesowych dowodów obciążających Bachurzewskiego.

- Nie jest prawdziwe twierdzenie Cenciekiewicza, że Macierewicz stosował grę wobec bezpieki po to, by chronić kolegów, a ujawniać jedynie osoby, o których SB już wiedziała. W rzeczywistości z materiałów śledztwa wynika, iż Macierewicz miał świadomość, że szkodzi kolegom: (IPN BU 0330/327, t.78).
- Nieprawdziwe jest stwierdzenie Cenciekiewicza, jakoby umorzenie śledztwa wobec Onyszkiewicza, do którego doszło w dniu 10 lipca 1968 r., wynikało z tego, że zeznania Macierewicza były zbyt skąpe, by dać podstawę do sformułowania aktu oskarżenia. W rzeczywistości o rezygnacji z oskarżenia Onyszkiewicza zdecydował w dniu 6 lipca 1968 r. wiceszef Biura Śledczego MSW płk. Stefan Miszewski na podstawie decyzji politycznej niemającej nic wspólnego z przebiegiem śledztwa. (IPN BU 0330/327, k. 268)
- Nieprawdziwe jest stwierdzenie, że jako autorzy książki pomijamy rolę Adama Macierewicza, dziadka Antoniego, wśród Polaków w Rosji. Piszemy bowiem o jego działalności w Komisji ds. Polaków Obcoppodanych, o pełnionej funkcji w Radzie Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny, a także o tym, że był delegatem Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Twierze.
- Nieprawdziwe jest stwierdzenie, że informację o samobójstwie ojca Zdzisława Macierewicza oparliśmy jedynie na jednej relacji. W rzeczywistości bazowaliśmy też na oświadczeniu stryja Antoniego, Lechosława Macierewicza, który w trakcie rozmowy z funkcjonariuszem SB w dniu 19 stycznia 1971 r. stwierdził, iż Zdzisław Macierewicz popełnił samobójstwo. (IPN BU 0258/291, t.1, k. 151).
- Nieprawdnie jest podane w kontekście losów Zdzisława Macierewicza stwierdzenie, że nie znamy aktu procesu Józefa Kwasiborskiego. Dokumenty z tego procesu są nam znane, cytujemy je zresztą w książce na stronie 59.
- Nieprawdziwe jest twierdzenie, że insynuujemy „aktywność małoletniego Antoniego w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. W książce nie piszemy o takiej działalności.
- Nieprawdą jest, że jako autorzy piszemy, iż zarost na twarzy Macierewicza jest pozostałością po jego dawnej fascynacji Fidelm Castro, Che Guevary i Jasira Arafata. W książce nie ma takich stwierdzeń.
- Nie jest prawdą, iż w książce piszemy

„o nieobecności Macierewicza w Czarnej Jedyńce”. W rzeczywistości piszemy, że Macierewicz był w tej drużynie od zimy roku 1968 do lata roku 1969. (s. 99).

- Nieprawdą jest, że w książce obarczamy Adama Macierewicza zarzutem kolaboracji z hitlerowskimi Niemcami w dziedzinie przyjmowania handlu mieniem pożydowskim. W rzeczywistości zarzut współpracy z Niemcami w książce nie pada.
- Nieprawdziwe jest stwierdzenie, że „organizację protestu z 1976 r. przeciwko zapisowi w konstytucji PRL kierowniczej roli PZPR i sojuszu z ZSRS w przypadku Antoniego Macierewicza autorzy nazwali <<obroną konstytucji PRL-u>>, zaś dokładnie tę samą aktywność, ale w wykonaniu Jacka Kuronia określono mianem <<protestu przeciwko zmianom konstytucji>>”. W rzeczywistości określenie „W obronie konstytucji PRL-u” jest śródtytułem odnoszącym się w równym stopniu do działalności Macierewicza, jak i Kuronia.
- Nie jest prawdą, że sugerujemy, iż Macierewicz „samowolnie brał pieniądze z funduszu KOR-u”. W rzeczywistości przytaczamy jedynie notatkę SB w tej sprawie, ale ją falsyfikujemy: „Nikt tego nie potwierdza. Także Chojewski, pomawiany przez bezpiekę o rozprowadzanie takich plotek, przyznaje: – Kompletna bzdura, nigdy nie podejrzewałem Antoniego o nieuczciwość”. (s. 163).
- Nieprawdą jest, że wbrew faktom, piszemy, że Macierewicz nie uciekł z internowania w Łupkowie. Na podstawie dokumentów i świadków twierdzimy jedynie, że historia jego ucieczki nie była tak heroiczna, jak to dotąd przedstawiano.
- Nieprawdą jest, że pisząc o notatce gen. Zdzisława Sarewicza z 4 września 1984 r. „doszukujemy się (...) związków Macierewicza z komunistycznymi tajnymi służbami (w tym sowieckimi)”. W rzeczywistości w książce nie padają takie wnioski.
- Nie jest prawdą, że nie łączymy notatki gen. Sarewicza „z rozpracowywaniem kontaktów Macierewicza i Naimskiego”. Jest dokładnie odwrotnie – w książce opisujemy, że dokument ten powstał m.in. w celu łatwiejszej inwigilacji Macierewicza (s. 236) i rozpracowania jego kontaktów (s. 233).
- Nie jest prawdą, że odwołanie Macierewicza od negatywnej decyzji w sprawie wydania paszportu w 1988 r. do gen. Kiszczaka zostało „przerobione pod tezę”. Treść tego dokumentu została bowiem zacytowana w całości bez zmian. (s. 254-255).

Anna Gielewska,

Marcin Dzierżanowski

Odpowiedź autora za tydzień



Rówieśnicy Niepodległej



Maciej Pieczyński

Urodzili się w 1918 r. Ich barwne życie upłynęło na tle burzliwego stulecia polskiej historii. Jaki jest sekret ich długowieczności?

Uciekaj, bo cię gonią!" – usłyszała Anna Świątek. Okazało się, że przyszli po nią czerwoni. Gdyby wpadła w ich ręce, zapewne podzieliłaby los tysięcy żołnierzy Armii Krajowej. W najlepszym wypadku trafiłaby na Syberię. Nie było czasu do zastano-

wienia. Pani Anna postanowiła uciekać. Na polu pod rodzinnym Parysowem spotkała znajomego gospodarza. Kosił zboże. „Anusia, chowaj się, otocz cię snopkami i nikt cię nie zobaczy!" – mówił. Udało się przeczekać pościg. Anna Świątek szczęśliwie dotarła do Skierbieszowa na Zamojszczyźnie, gdzie znalazła schronienie u zaprzyjaźnionej jeszcze z czasów konspiracji rodziny Gontarzów. Wkrótce jednak i stamtąd musiała uciekać. Ostatecznie wróciła do rodzinnego Parysowa, gdy już zrobiło się spokojnie.

W Armii Krajowej służyła jako łączniczka. Nosiła pseudonim Kasia. Miała wówczas bujne, długie włosy, dlatego zdarzało się, że meldunki przewoziła zawinięte w warkocz. Była też członkiem

konspiracyjnego komitetu, zajmującego się opieką nad dziećmi wysiedlonymi przez Niemców z Zamojszczyzny. „Wygląd dzieci był straszny – małe, głodne, zmarznęte [...] były bardzo wystraszone. Budziły litość do siebie i nienawiść do okupanta" – wspominała po latach w jednej z książek. Dzieci zostały umieszczone w parysowskiej szkole, następnie zaś rozlokowane w starych pożydowskich domach, pod opieką starszych mieszkańców miejscowości. Już po paru dniach zaczęli przyjeżdżać po nie krewni z rodzinnych stron. 52 lata później grupa tamtych dzieci ze Skierbieszowa na Zamojszczyźnie odwiedziła Parysów, by spotkać się z tymi, którym zawdzięczały opiekę i schronienie.

– Świętych nie ma, ale po prostu nie skaczemy sobie do gardeł – mówią Helena i Zygmunt Rogalscy, którzy są małżeństwem od 73 lat FOT. PZU SA



– Zawsze wiedziałam, że jestem Polką i że Polskę muszę szanować. Tego mnie nauczyła moja babcia – mówi Anna Świątek. Urodziła się niecałe dwa miesiące przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, w Parysowie pod Garwolinem, gdzie mieszka do dziś. Gdy miała sześć lat, zmarła jej matka. Ojcu w wychowaniu Anny pomagała bardzo religijna babcia. To właśnie ona przekazała jej najważniejsze w życiu wartości. – Babcia mnie nauczyła, że trzeba ludzi szanować, a wtedy ludzie będą mnie szanować – wspomina z dumą Anna Świątek.

Pani Anna zarówno przed wojną, jak i po niej pracowała jako nauczycielka. Żeby dosłużyć się godziwej emerytury, musiała przepracować jeszcze pewien

czas na etacie. W szkole mogła go otrzymać na stanowisku sekretarki. To jednak wymagało wstąpienia do PZPR. Anna Świątek bez wahania odmówiła. – Nigdy nie chciałam być w partii. Nie lubiłam komunistów, bo byli przeciw Bogu – mówi. Ślub wzięła na Jasnej Górze. Przez wiele lat organizowała pielgrzymki do miejsc świętych: Częstochowy, Lichenia – gdzie znajduje się ufundowana przez pielgrzymów z parafii Parysów pamiątkowa tablica, na Litwę do sanktuarium Ostrej Bramy w Wilnie, do Łagiewnik. Antykomunistyczne, chrześcijańskie wychowanie, otrzymane od babci, zaszczepiła swoim synom. Jej młodszy syn, Leszek Świątek, w latach 80. działał w Solidarności. Po jednej z demonstracji został zatrzymany. – Od dziecka byłem nauczony codziennie pacierz, Różaniec odmawiać – mówi Leszek Świątek. – Mama uczyła nas też prawdziwej historii, tej, której nie mogłem poznać ze szkoły. Dlatego właśnie w domu dowiedziałem się, kto zamordował polskich oficerów w Katyniu – dodaje.

Jej mąż zmarł już w 1961 r. – Miałam wtedy dwóch małych synów. Posłałam do księdza proboszcza, płakałam i żaliłam się, bo myślałam, że ich sama nie wychowam. Jednak ksiądz mi wtedy powiedział: „Wychowasz, tylko módl się do Ukrzyżowanego Pana Jezusa”. I udało się! – wspomina pani Anna.

HELENA I ZYGMUNT ROGALSCY: KRYLIŚMY SIĘ PO LASACH

Zygmunt Rogalski w 1939 r. został powołany do wojska. W koszarach miał się stawić dopiero 23 października. W rodzinnych stronach pana Zygmunta Niemcy pojawili się już tydzień po wybuchu wojny. Zamiast w szeregi polskiej armii trafić na przymusowe roboty do okupanta. Został przesiedlony do Królewca, gdzie pracował w firmie węglowej. Latem 1940 r. wraz z trzyosobową grupą polskich robotników podjął próbę ucieczki. – Przez cały tydzień nocami żeśmy szli, a w dzień ukrywaliśmy się po lasach – opowiada Zygmunt Rogalski. „Polnische Schweine!” – usłyszeli pewnego dnia nad głowami alarmujący krzyk. „Polskimi świniami!” nazwały ich niemieckie dzieci, które zauważyły polskich uciekinierów, odpoczywających w lesie po kolejnej nocy forsownego marszu. Wtedy jeszcze Zygmunt Rogalski i jego towarzysze zdążyli uciec, zanim ruszył pościg. Kolejnym razem już jednak

nie mieli tyle szczęścia. Zostali zatrzymani i skazani na kilkumiesięczny pobyt w obozie przejściowym w Działdowie. Zygmunt Rogalski wspomina, że był mocno bity. – Kazali nam położyć się na ławie. Każdy z nas dostawał po 20 batów. Lali nas bez litości, z całej siły. Darłem się z bólu, więc dołożyli mi jeszcze 10 batów. Po takim biciu człowiekowi wszystko jedno, czy go zabiją, czy nie – przyznaje.

Po przejściu tej osobliwej „ścieżki zdrowia” nie był w stanie przyszyć sobie do uniformu więziennego numeru – musieli mu w tym pomóc współwięźniowie. Do dziś pamięta ten numer – 5119. Przez pięć miesięcy pobytu w obozie przejściowym pan Zygmunt schudł 30 kg. Warunki sanitarne były fatalne. Ani prysznic, ani ubikacji. Ciało poranione przez wszy. Po odbyciu kary, wraz z towarzyszami niedoli, został przewieziony z powrotem do Królewca. Wrócili do pracy w firmie węglowej. Jej właściciel, gdy zobaczył, w jakim stanie są niedoszli uciekinierzy, kręcił głową z niedowierzaniem i współczuciem, powtarzając: „O Boże, co oni z wami zrobili!”

W Królewcu przebywali do końca wojny. Bywały także wesołe momenty. Co niedzielę polscy robotnicy przymusowi organizowali zabawy taneczne. – Kolega na harmonii, a ja na skrzypcach żeśmy przygrywali dziewczynom do tańca – wspomina z uśmiechem Zygmunt Rogalski. Podczas jednej z takich zabaw poznał Helenę, która później została jego żoną. – Uderzyłem ją lekko smyczkiem, to jej się spodobało! Tak się zapoznaliśmy – mówi. Jak przyznaje, przez większość czasu w Królewcu trudno było odczuć, że w ogóle toczy się jakaś wojna. Pewnej nocy jednak pana Zygmunta i jego towarzyszy obudził niemiecki gospodarz domu. „Uciekajcie, chłopaki, rosyjskie samoloty są już nad Gdańskiem!” – ostrzegł.

Zaczęły się naloty dywanowe. Zygmunt Rogalski pobiegł po żonę, która przebywała w innej dzielnicy Królewca. Przed bombami próbowali ukrywać się w bunkrach. Te były jednak zarezerwowane tylko dla Niemców. Biegali z bunkra do bunkra. Wokół trwały walki uliczne. – Strzelali do nas jak do kaczek – wspominają Zygmunt i Helena Rogalscy. W końcu znaleźli schronienie w jednej z piwnic. Pod samymi drzwiami spadła bomba. Na szczęście, niewybuch. Pocisk zablokował jednak drzwi, ciężko było się wydostać. Udało się przenieść do kolejnej piwnicy. ■

■ Tam Rogalskich zastał koniec walk o miasto. Gdy wyszli z piwnicy, spotkali żołnierza w polskim mundurze. – Radość była ogromna, że to już koniec wojny. Jednak ten Polak mówi do mnie: „Nie cieszcie się, jeszcze nie wiecie, co czeka was, kobiety” – wspomina Helena Rogalska. Szybko zrozumiała, przed czym ostrzegał. – Raz mnie jeden Rosjanin złapał, chciał wyszarpać na podwórze, a tam już czekało ze 20 obrzydliwych żołdatów. Uratowała mnie sowiecka oficer. Jak usłyszała, że jestem Polką, to złapała tego Rosjanina za kołnierz, mówi: „Sukinsynu, ubiję cię jak psa!” i pogoniła go – opowiada pani Helena. Udało się jej uniknąć gwałtu.

Czasy powojenne pan Zygmunt wspomina raczej dobrze. – Przed wojną ojciec z matką podpisali się krzyżem. W całej naszej rodzinie na 40 osób jedna tylko miała maturę. A jak przyszła komuna, to w szkole w dzień uczyli się dzieciaki, a wieczorem dorośli – mówi Zygmunt Rogalski. Nie oznacza to jednak, że był gorącym zwolennikiem nowego ustroju. Jak podkreśla, całe życie był apolityczny, nie należał do żadnej partii. On sam nauczył się pisać i czytać jeszcze przed wojną. Skończył cztery klasy szkoły powszechnej. Początkowo dorabiał u dziedzica na polu, później

Na pytanie, czego życzyć Polsce z okazji jubileuszu stulecia niepodległości, odpowiada krótko i konkretnie: – Zgody w narodzie!

STANISŁAWA ŁUGOWSKA: BILI MNIE CAŁĄ NOC

Stanisława Ługowska, podobnie jak Zygmunt Rogalski, została w czasie okupacji wyznaczona do pracy przymusowej w Niemczech. Najpierw musiała stawić się na badaniach lekarskich w starostwie. Gdyby się okazało, że jest chora zakaźnie, Niemcy by jej nie zabrali. Ojciec pani Stanisławy próbował przekonać lekarza, by wystawił taką właśnie diagnozę. Bezskutecznie. – W starostwie spotkałam znajomego leśniczego. Był volksdeut-schem, jego matka była Niemką, ale chciał mi pomóc. Wyprowadził mnie na ulicę i pomógł mi uciec – wspomina pani Stanisława. Udało się jej wrócić do domu. Na drugi dzień już jednak do jej domu zapukali Niemcy. W ostatniej chwili panią Stanisławę próbowała ukryć młodsza siostra. Przykrywała ją pierzyną, gdy wszedł towarzyszący Niemcom polski policjant. Zamiast jednak zawołać gestapowców, którzy zajęci byli rozmową z ojcem rodziny, pomógł ukryć uciekinierkę.

Bielska Podlaskiego, gdzie wraz z rodziną przeniosła się jeszcze przed wojną.

Po raz kolejny pomógł jej znajomy leśniczy. Chociaż volksdeutsch, współpracował z polską partyzantką. Wziął Stanisławę pod swoją opiekę. Oficjalnie zatrudnił ją do prac przy szkółce leśnej. W praktyce zaangażował ją jako łączniczkę do współpracy z Armią Krajową. Pewnego razu miała za zadanie dostarczyć leśniczemu kostkę masła. Nie wiedziała, że w środku jest meldunek. – Słysmy do leśniczego z mamą i sąsiadką. Po drodze zatrzymali nas wachmani. W koszyku miałyśmy masło i pół litra bimbru. Wachman zabrał bimber. Chciał też masło. Szarpnął za koszyk, masło wypadło. Kiedy się po nie schylił, popchnęłam go, przewrócił się, stłukł butelkę i oblał się bimbrem. Strasznie się wściekł i postanowił nas zaprowadzić na gestapo – opowiada pani Stanisława. Na genialny pomysł wpadła jej mama. Zapytała w pewnym momencie córkę, czy wzięła pieniądze z koszyka. To był blef – żadnych pieniędzy tam nie było. Wachmani przestraszyli się, że zostaną posądzeni o kradzież. Zamiast więc zaprowadzić zatrzymane kobiety na gestapo, wrócili na miejsce szarpaniny, by pomóc im znaleźć rzekomo zagubione pieniądze.

Dla Polaków mieszkających w okolicach Białej Podlaskiej nie mniejszym niż Niemcy zagrożeniem byli ukraińscy sąsiedzi. Gdy AK-owcy napadli na pociąg wiozący żywność na front wschodni, okupanci zaczęli szukać winowajców. – Znajomy Ukrainiec, Lesiuk się nazywał, doniósł na gestapo, że to ja niby zaprowadziłam partyzantów nad ten most. To była nieprawda. Jednak Niemcy mnie aresztowali. Przez całą noc bili mnie na gestapo tak, że straciłam przytomność – opowiada Stanisława Ługowska. Także tym razem pomógł znajomy leśniczy. Jako volksdeutsch cieszył się zaufaniem administracji okupacyjnej. Poświadczył, że pani Stanisława nie współpracuje z partyzantką. Została wypuszczona. Lesiuk nie dał za wygraną. Żeby gestapo znów zainteresowało się jego donosem, potrzebował więcej świadków. Postanowił zwrócić się o pomoc do miejscowego adwokata, który przed wojną stracił prawo do wykonywania zawodu ze względu na komunistyczne przekonania. Prawnik wiedział, że donos oparty jest na kłamstwie. Gdy zapytał Lesiuka, czemu chce zniszczyć niewinną rodzinę, usłyszał w odpowiedzi: „Bo to Polacy”. Adwokat podarł donos. Lesiuk nie był za-

– Rosjanin złapał mnie, chciał wyszarpać na podwórze, a tam już czekało ze 20 obrzydliwych żołdatów. Uratowała mnie sowiecka oficer

zajmował się kamieniarstwem. Po wojnie przez 35 lat pracował w Warszawskiej Fabryce Tworzyw Sztucznych na Żeraniu. Zawsze był bardzo aktywny fizycznie. Do tej pory państwo Rogalscy, choć mają mieszkanie w Legionowie, cieplejsze miesiące spędzają na działce w Pomocni koło Pokrzywnicy. Tam właśnie czują się najlepiej.

Trzy lata temu Zygmunt i Helena Rogalscy świętowali 70-lecie małżeństwa. W czym tkwi sekret tak długiego, zgodnego pożycia? – Świętych nie ma, ale po prostu nie skaczemy sobie do gardeł. Ja mam swoje zdanie, moja żona swoje, ale zawsze udaje się znaleźć złoty środek – mówi pan Zygmunt. Podkreśla, że trzeba zawsze szukać kompromisu. – Nie mogę słuchać tych polityków, co to teraz jeden drugiego by zagryzł. A przecież tyle wycierpiał naród za Hitlera! – dodaje.

W końcu jednak pani Stanisława wpadła w ręce Niemców. Na stacji kolejowej w Dęblinie wraz z dużą grupą osób wyznaczonych do pracy w Rzeszy czekała na transport. Postanowiła ponownie spróbować ucieczki. Udało się. – Wzięłam pod rękę pewną młodą dziewczynę i mówię do niej: „Chodź, przejdziemy się”. Niemcy chcieli nas zatrzymać. Pytają, dokąd idziemy. Ja na to śmieję się, że „do domu”. Myślał, że to żart, więc śmiał się razem z nami. Poszliśmy za wagon, niby „za potrzebą”. Niemcy nie zwrócili uwagi – wspomina pani Stanisława. Dotarły na koniec peronu. Ukryły się w budce kolejarzy. Jak się okazało, wielu niedoszłych przymusowych robotników w ten sposób uratowało się przed wywózką do Niemiec. Przez trzy miesiące pani Stanisława ukrywała się u krewnych w Dęblinie. Następnie wróciła do Dokudowa w okolicach



„Nie można było inaczej” – tak Stanisław Pawłowski tłumaczył swoją decyzję o podjęciu walki w szeregach Armii Krajowej. FOT. PZU SA

ponad 30 lat jest współzałożycielką i aktywną działaczką lokalnego klubu seniora. Po śmierci męża zaczęła pisać wiersze – zarówno o tematyce osobistej, jak i społecznej, w tym patriotycznej. Napisała również własny życiorys, który na razie jednak trzyma w szufladzie.

WETERANI AK: PAWŁOWSKI I ZGORZAŁEK

Rówieśnicy Niepodległej byli gośćmi tegorocznych Spotkań Czwartkowych, cyklicznego wydarzenia organizowanego przez PZU. – Tak m.in. nasz narodowy ubezpieczyciel postanowił uczcić stulecie odzyskania niepodległości – mówi Piotr Ożarek, rzecznik klienta w PZU. Uczestnicy Spotkań Czwartkowych mogli obejrzeć krótki film dokumentalny poświęcony właśnie urodzonym w 1918 r. Bohaterowie opowiadali w nim m.in. o najważniejszych w swoim życiu wartościach. „Nie można było inaczej” – tak Stanisław Pawłowski tłumaczył swoją decyzję o podjęciu walki w szeregach Armii Krajowej.

Henryk Zgorzałek, również weteran AK, stwierdził: „Człowiek powinien być honorowy. Kiedyś jak człowiek powiedział słowo, to tego słowa dotrzymywał. Bo jak dziś to, jutro tamto robi, to nie ma co z takim człowiekiem gadać”. Z kolei Józefa Wielgosz, podkreślając rolę Boga i ojczyzny w swoim życiu, dodała jednocześnie: „Życie jest piękne. Jak nie będziemy się sami cieszyć życiem, to kto będzie?”.

Odnalezienie i zaproszenie stulatków na uroczystość należało do zadań Piotra Ożarka. – To było fascynujące doświadczenie poznać ludzi, którzy byli świadkami tak wielu wydarzeń w naszej historii, pamiętają np. pogrzeb Piłsudskiego czy wybuch II wojny światowej – mówi rzecznik klienta w PZU. Jak przyznaje, na podstawie historii rówieśników Niepodległej można sformułować parę przepisów na długowieczność. – Żaden z nich nie prowadził ani wybitnie zdrowego, ani przesadnie niezdrowego życia. Nie uprawiali sportów wyczynowych, ale też nie siedzieli beczynnie w domach. Sekret tkwi więc w umiarkowaniu – mówi Piotr Ożarek.

Stulatkowie przeżyli wojnę, okupację i komunizm. Obcy był im pęd do pomnażania materialnych dóbr. Z reguły mieszkali prawie całe życie w jednym miejscu lub dwóch. Z jedną żoną bądź z jednym mężem. Bez większych zmian, bez stresu. Po prostu normalność.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

angażowany w działalność OUN czy UPA. Był zwykłym ukraińskim chłopem, który nienawidził swoich polskich sąsiadów.

W 1943 r., gdy zaczęły się na wielką skalę upowskie mordy na Polakach, pani Stanisława uczęszczała na kurs krawiecki. Pewnego razu wraz z przyjaciółką postanowiły odwiedzić koleżankę z kursu, Stefę Kalitkównę. – Stefa mieszkała w małej chatce nad Bugiem. To było ze 30 km drogi. A wtedy nie było żadnych pojazdów, wszędzie chodziło się piechotą – wspomina Stanisława Ługowska. Na miejsce dotarli wieczorem. Matka koleżanki odradzała im powrót po zmroku. Ostrzegła przed kręcącymi się w okolicy banderowcami. „Przenocujecie u nas” – zaproponowała. Dom był niewielki: pokój, kuchnia, strych... W podwieszonym pod sufitem koszyku spało małe dziecko gospodarzy. Żeby go nie budzić nadmierną krzątaniną, pani Kalitkowa położyła córkę i jej koleżanki na strychu, a sama wraz z synową została w pokoju. – W nocy obudził nas przeraźliwy pisk. Wyrwałyśmy strzechę i zeskoczyłyśmy z dachu. Do świtu przesiedziałyśmy w kartoflisku. Rano wchodzimy do domu, a tam... nie chcę nawet o tym mówić. Matka Stefy miała poderżnięte gardło. Synowie obcięli piersi. Nawet dziecka nie oszczędzili... To był straszny widok – wspomina drżącym głosem pani Stanisława.

Wyparcie Niemców przez Armie Czerwoną nie oznaczało końca problemów. Zaprzyjaźniony leśniczy poradził Stanisławie, by spaliła wszelkie papiery, które mogły świadczyć o jej związkach z AK. Przy czym ostrzegł ją nie tyle przed komunistyczny-

mi represjami, ile przed zemstą ze strony ukraińskich nacjonalistów. Wyjechała na tzw. Ziemie Odzyskane. Pracowała jako pomoc domowa, następnie jako krawcowa. Namawiano ją, by zamieszkała w Szczecinie. Odmówiła jednak. – Po pierwsze, zaraz po wojnie mówiło się, że tam jeszcze Niemcy wrócą. Poza tym Szczecin był zrujnowany – mówi.

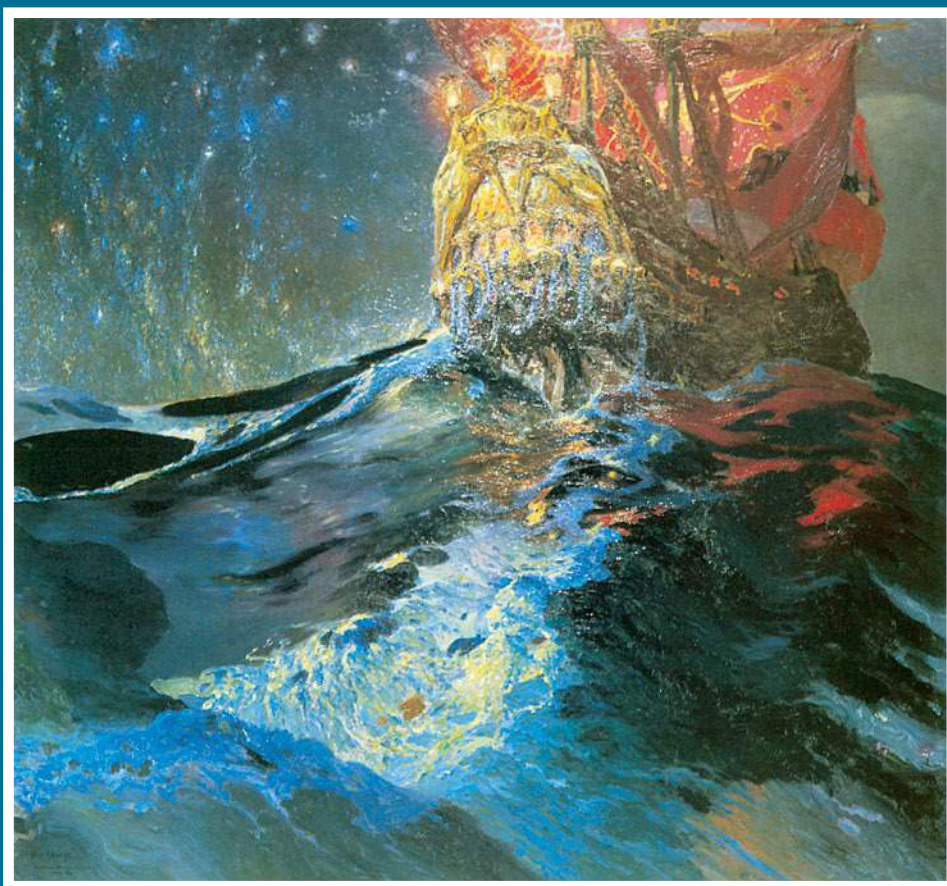
Po ogłoszeniu amnestii dla działaczy podziemia niepodległościowego wróciła w rodzinne strony. Po drodze odwiedziła krewnych w Dęblinie. Tam poznała swojego przyszłego męża. Potrafił ją rowerem na stacji kolejowej, za co ostro go zwymyślała. Zresztą ze wzajemnością. Okazało się, że to znajomy krewnych pani Stanisławy. Jeszcze tego samego dnia przyszedł w odwiedziny z winem. – Ani on mnie nie przeprosił, ani ja jego – mówi pani Stanisława. Gdy wspomniła o odpuscie w swojej rodzinnej miejscowości, wujek, próbując ją ze swoim znajomym wyswatać, zasugerował, by go zaprosiła na odpust. – Na odpust się nie zaprasza. Kto chce dostąpić odpustu, sam się stara – odgryzła się Ługowska. Zrozumiał aluzję. Tak się starał, że niebawem za niego wyszła. Zamieszkali w Dęblinie. Wychowali dwóch synów i córkę.

Stanisława Ługowska przez całe życie była bardzo aktywną osobą. Jeszcze przed wojną należała do Związku Młodej Polski, grała w młodzieżowym teatrze. Jej rodzice mieli niewielkie gospodarstwo, więc podobnie jak Zygmunt Rogalski dorabiała na roli u bogatszych właścicieli ziemskich. Po wojnie pracowała jako krawcowa. Od



N A W A

[W SETNĄ ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI]



Ferdynand Ruszczyc, „Nec mergitur” – „Niechaj nie zatonie” (1905)

Artur Oppman (Or-Ot):
*„A to tylko tak serce miłością przeczystą
Kocha-lubi-szanuje swą Nawę ojczystą”.*



Waldemar Łysiak

Przed I Wojną Światową nauczyciel szwajcarskiej internatowej szkoły dla młodzieży z wielu państw kazał uczniom napisać wyprawowanie o słońcu. Niemiec zatytułował swą pracę: **„Słoń — hegemon świata zwierzęcego”**, Anglik: **„Jak mój starszy brat upolował pierwszego słońca”**, Francuz: **„Życie erotyczne słońca”**, Włoch: **„Słoń w tematyce operowej”**, Rosjanin: **„Dusza słońca — niezbadany ląd”**, Czech: **„Przepisy na potrawy ze słońca”**, Żyd: **„Handel słońcami”**, Polak zaś: **„Słoń a sprawa polska”**. Ta „sprawa polska” vel „kwestia polska” była — głównie dzięki narodowowyzwoleńczym insurekcjom Polaków — gorącym europejskim kartoflem przez całe XIX stulecie,



i ciągle dominowała „nocne Polaków rozmowy”, a jej kolejną kulminację, tym razem jakże szczytną i świętą, przynosi nam setna rocznica odzyskania bytu niepodległego po 116 latach rozbiorowej niewoli. Tak! — 116, a nie 123 jak wciąż bredzą tumany o erudycji à la Petru. 116, gdyż Bonaparte (ten z hymnu) zlał naszych zaborców, przepędził ich i przywrócił nam suwerenność (na 7 lat), stąd A. D. 1807 z warszawskich balkonów zwisały transparenty: „POLSKA WSKRZESZONA RĘKĄ NAPOLEONA!” i bezzwłocznie zaczęto tłoczyć wielotomowy „Słownik języka polskiego” (1807–1814) Samuela Bogumiła Lindego, co w niewoli rozbiorowej nie było możliwe. Ten oswojony kraj samodzielnie pobił Austrię roku 1809 i zdobył Moskwę wraz z Francuzami roku 1812. Właśnie wtedy Sejm Księstwa Warszawskiego uroczystie proklamował przywrócenie Królestwa

Polskiego. Oppman (którego będę dziś cytował często, bo był on sto lat temu niezrównanym mistrzem rymowanych patriotycznych uniesień) synonimował tamtą polską „wyprawę na Moskwę” u boku Francuzów (100–tysięczne wojsko księcia Józefa Poniatowskiego) z rekonstruowaniem Ojczyzny:

*„Pod rozkuty własną mocą
chorągwią ptakiem
Idzie armia stutysięczna
Batorowym szlakiem!
Co raz mieczem wzięły dziady,
biorąc mieczem wnuki:
Piorun szabli: Smoleńsk! Witebsk!
Psków i Wielkie Łuki!
Strach przelata wsie i grody
z Tweru do Tobolska,
Nasz czyn buchnął w dymie prochów:
tak się robi Polska!”*

Tym samym sposobem robił Polskę Piłsudski — lejąc Kacapów, co Oppman komentuje celnie, znowu oddając hołd żołnierzowi polskiemu, który A.D. 1920: *„Wyszedł w krwawe pole, ocalił Europę i zabił niewolę”*. Gdyby nie ów Komendant — nie obchodzilibyśmy święta wskrzeszenia wolnej Polski listopadowo...

„JEDNA POLSKA DO KOCHANIA”

Więziony przez Niemców wewnątrz twierdzy magdeburgskiej wódz Legionów wrócił do Warszawy 10 listopada roku 1918, a nazajutrz Rada Regencyjna przekazała mu pełną władzę wojskową („naczelné dowództwo wojsk polskich”), stąd czcimy właśnie 11 listopada — dzień, w którym Piłsudski zaczął rządzić wyzwoloną przezeń Rzeczpospolitą. Oddanie mu przez Radę Regencyjną zwierzchniej (cywilnej) władzy nad całym krajem (trzy dni później — 14 listopada) było już tylko formalnością. 16 listopada Naczelný Wódz i Naczelnik Państwa Polskiego sygnował depezę notyfikującą „rządom i narodom istnienie niepodległego państwa polskiego, obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski” (depeza głosiła, że „Państwo Polskie powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych”). Obie te daty — 14 tudzież 16 listopada — musiały jednak ustąpić rangą i chwałą w narodowym kalendarzu dacie wcześniejszej, pionier-

skiej: 11 listopada. Pierwszym tekstem **„Tygodnika Ilustrowanego”** nr 46/1918 (z 16 listopada) był umieszczony obok wielkiego portretowego zdjęcia Piłsudskiego i wiersza o Piłsudskim anons zatytułowany depezą: **„Warszawa, d. 11 Listopada 1918 r.”**. Autor tekstu, podpisany per Jan z Marnowa (w istocie Adam Grzymała Siedlecki), zakończył swój wywód deklaracją całkowicie usprawiedliwienie pompatyczną: *„Komendancie! Stanowisko Twoje w Polsce obecnej to coś więcej niż władza nad szeregami. Przychodzisz w chwili, kiedy każdy z nas czuje się żołnierzem — i przez to Tobie jest podwładnym. Nie znajdziesz nikogo, kto by za Tobą nie powtórzył Twych słów: «Chcę ostatnią kroplę krwi oddać Ojczyźnie i ludowi!»*. Takiego ludu — narodu naczelnym wodzem jesteś — Ty!”

Tamte pierwsze niepodległościowe dni listopadowe zostały bezzwłocznie (jeszcze przed końcem listopada) owinięte złotymi/biało-czerwonymi szarfami rymów i dytyrambów. Artysta Stefan Popiel wdychał wtedy: *„Powstała z grobu Polska! Ten Bóg, który lat przeszło sto wiódł nas przez czyszczenie mąk, cierpień, upokorzeń i wszelkiej biedy, zmiłował się wreszcie nad nami, otworzył wszystkie bramy czyścica i rzekł z dobrocią: «Jesteście wolni. Oddaję wam całą waszą ziemię»”*. A propos tej „całej naszej ziemi” przywołano zaraz wcześniejsze (sprzed I Wojny Światowej) strofy poety Władysława Karoliego:

*„Od Warszawy do Krakowa
Jedno serce, jedna mowa;
I od Lwowa do Poznania
Jedna Polska do kochania”*



Or-Ot również złożył hołd „Dzionkowi Listopadowemu”, który jest dziś Świętem Narodowym:

„Dzień najgórniejszy idzie świata,
Sen Chrystusowy ziszcza:
Wyciąga rękę brat do brata,
A wokół krew i zgłiszcza;
Wolna, narody wolne wita
Polska Rzeczpospolita!
Stworzył ją wódz, którego sława
Rozpęda się w przestworza,
Popłynie w słońce polska Nawa
Przez toń polskiego morza,
I olśni wrogów Orzeł wzbity
Polskiej Rzeczpospolitej!”

Padło wyżej słowo Nawa, często przez poetę (wówczas przez wielu poetów) stosowane wobec Ojczyzny, a dla mojego eseju kluczowe:

OKRĘT NA MORZU

Nawa — piękne słowo — ma dwa znaczenia, używając go mówimy bowiem nie tylko o centralnej części chrześcijańskich świątyń, lecz i o jednostkach pływających większego kalibru, a metaforycznie stosujemy ów termin również wobec państw, mówiąc: „nawa państwa”. Znakomity francuski pisarz, Antoine de Saint-Exupéry, tak perswadował

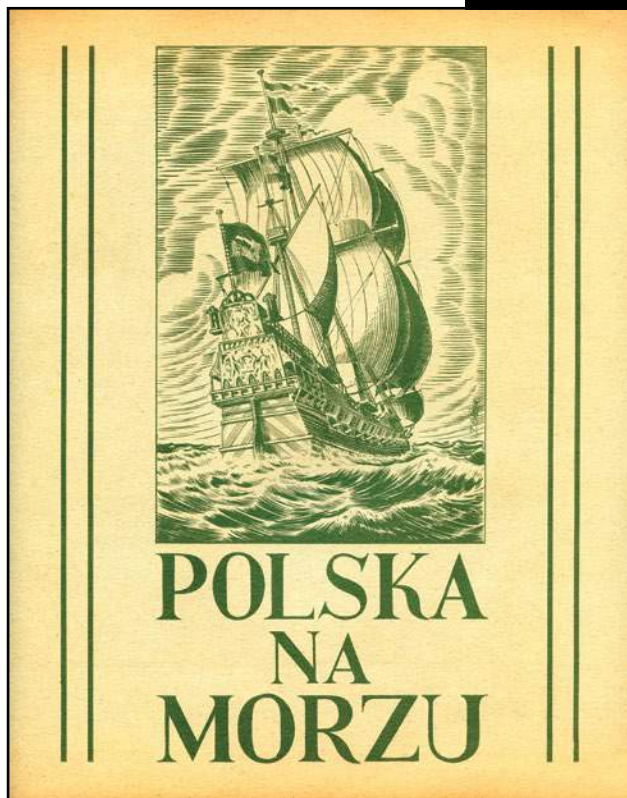
w „**Twierdzy**” o budowaniu struktury państwowej: „Rzekł Bóg: zmuszę was, abyście budowali wielką nawę, która podczas dnia zaślubin wyjdzie ku błękitom morza topocząc żaglami, a wy będziecie ją kochać niby pieśń triumfu, patrząc jak ów tnący fale galeon—olbrzym rozrasta się systematycznie i krzepnie niczym tytaniczny dąb”.

Kto pierwszy w Polsce użył terminu „nawa” dla określenia Rzeczypospolitej? Nie wiem. Najstarszy znany mi przekaz pochodzi z drugiej połowy XVI wieku, kiedy legendarny kaznodzieja Piotr Skarga w jednym ze swych kazań sejmowych porównał ojczyznę do zagrożonego okrętu, napominając: „ — Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy go wiatry przewracają, a my nie czynimy starań dla bezpieczeństwa jego, tedy nawa utonąć musi!”. Nie bez przyczyny zwany jest Skarga „żarliwym obrońcą okrętu” (Szymon Babuchowski, 2014). Po Skardze używało określenia „nawa” wobec RP wielu dziejopisów i rymopisów, a liczni artyści widokiem nawy symbolizowali Rzeczpospolitą. Ostatni tego rodzaju obraz, jaki znam, to malowana za czasów PRL-u przez Henryka Wańka duża akwarela „**Orzeł**” (potężny Biały Orzeł,



mal. Claude Lorrain

Malunek Henryka Wańka „Orzeł” i dwie grafiki Jerzego Bałuka





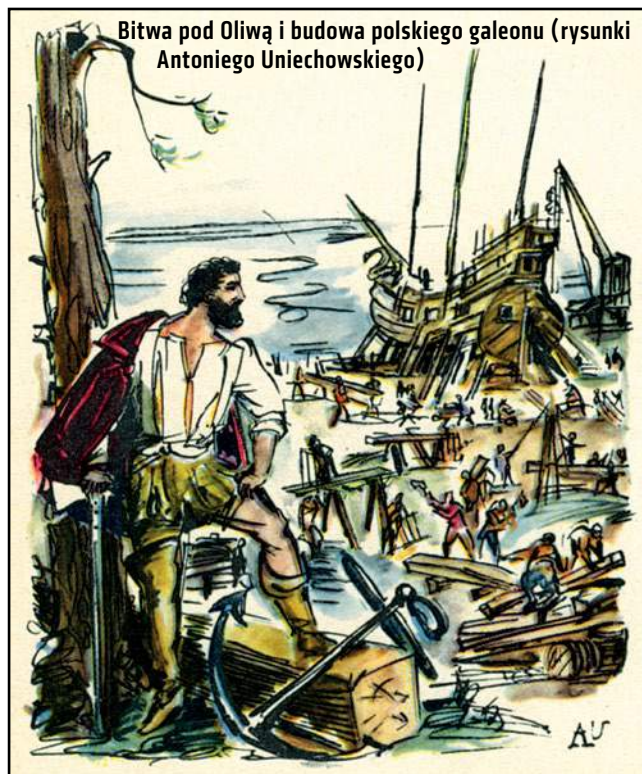
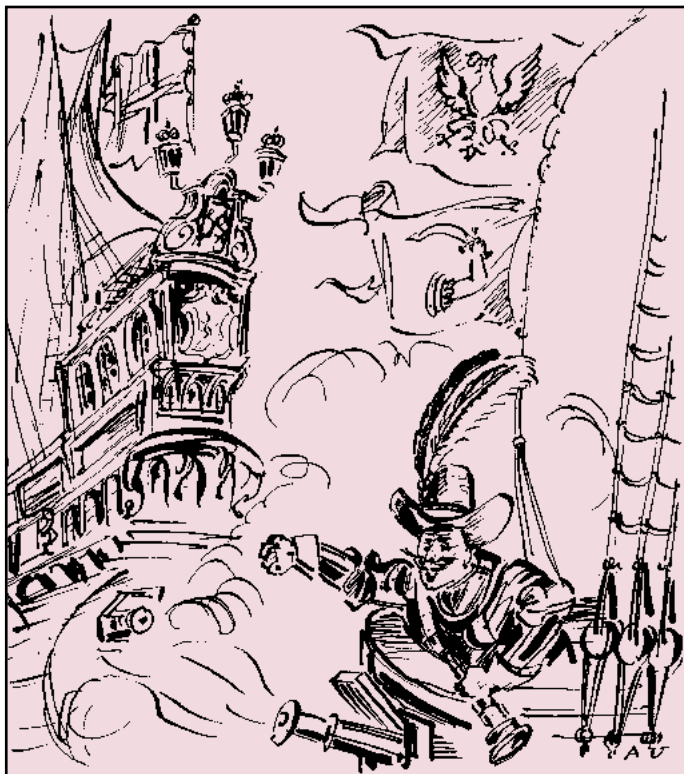
Królewski polski galeon wojenny na Motławie w Gdańsku i bitwa ze Szwedami pod Oliwą 1627 (malunki Anny i Andrzeja Orlińskich)

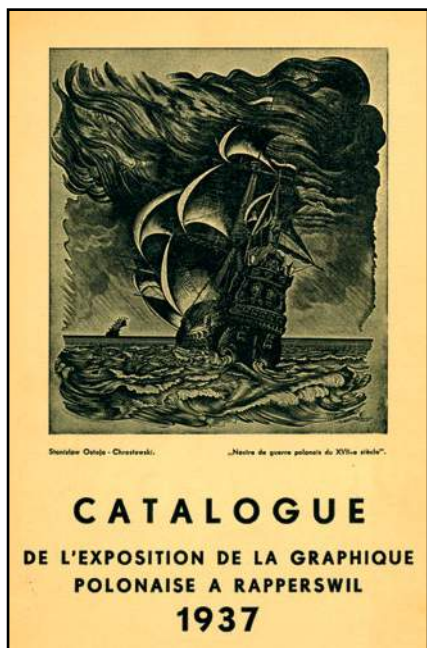
który rozsiadł się na pokładzie pływającego okrętu), lecz najlepszy, jaki znam, to malowany tuż za progiem XX stulecia „olej” Ferdynanda Ruszczyca „*Nec mergitur*” (co można tłumaczyć: „*Niezatapialna*”, „*Nie zatonie*”, „*Niechaj nie zatonie*”). Piękny niby królewska nawa galeon na wzburzonym morzu, symbolizujący Polskę miotaną falami Historii. Cudowne malowidło, arcydzieło pod każdym względem: kompozycyjnym, chromatycznym,

technicznym — być może nr 1 całego polskiego malarstwa (przez złośliwy kaprys losu dzisiaj u wrogich nam Litwinów, w wileńskim Lietuvos Dailės Muziejus).

Ruszczyć celowo wybrał dla swej wirtuozowskiej metafory właśnie galeon, czyli duży (3- lub 4-masztowy) okręt wojenny bądź handlowy długości 50 metrów, o wyporności 1600 ton, bo wojenne galeony (100 dział, kilkuset marynarzy i żołnierzy) były przez ćwierć

tysiąclecia (w. XV–XVII) — nim zastąpiono galeon tzw. „*liniowcem*” — królami mórz i oceanów. Nasi Jagiellonowie i Wazowie budowali galeony w Gdańsku, Elblągu oraz Pucku („Smok” Zygmunta II Augusta, „Święty Jerzy” i „Król Dawid” Zygmunta III Wazy) — galeonowa flota polska odniosła sporo morskich zwycięstw; ich ukoronowaniem było rozgromienie floty szwedzkiej w Zatoce Gdańskiej (bitwa pod Oliwą 28 listopada 1627 roku). O ile pędzłem





■ najlepiej ukazał polską nawę galeonową Ruszczyć — o tyle rylcem zrobił to arcy mistrzowski Stanisław Ostoja-Chrostowski (1936). Gdy A. D. 1937 urządzono w szwajcarskim Rapperswilu imponującą wystawę grafiki polskiej — ten właśnie „Galeon” (vel „Polską XVII-wieczną nawę wojenną”) Ostoi-Chrostowskiego dano na okładkę katalogu ekspozycji jako wizytówkę kunsztu polskich artystów.

Rodzimi poeci nie chcieli być gorsi od kolegów-artystów, ciągle więc synonimowali wolność i rozległość Rzeczypospolitej z Bałtykiem („polskim morzem”) jako symbolem wolności i przestrzeni. Nie zabrakło tu i Or-Ota piszącego na progu odzyskanej suwerenności:

*„Głuchy pomruk przelata
głębię morza siną,
Na dnie Bałtyku dzwonią
wojsk lechickich zbroje:
Kocham cię! Tyś jest moja,
o polska kraino!
Tyś jest moja! — grzmi morze —
a ja jestem twoje!*

*Grzmij morze! Niech armaty,
jak VENI CREATOR,
Zahuczą temu Bogu,
co rozwałił zator
Niewoli, gdy ostatnie
ogniwo jej szczytnie,
Zagrzmia dzwony w Warszawie,
Wilnie, Lwowie, Gnieźnie,
W Krakowie i w Poznaniu,
a ich pieśń rozbryzgną
Wichry szaleń radości
nad całą Ojczyzną
Jak Nawę na naszym morzu!”*

Ówczesny rywal Oppmana w entuzjzmie patriotycznym wierszowanym, Edward Słoński, mnożąc apologetyki „posłannika Bożego” Piłsudskiego i jego Legionów, nieustannie odwoływał się do symboliki morskiej tudzież symboliki okrętowej („Przyszła burza i brygadier Piłsudski jak kapitan stanął na maszcie”, etc.), a Ojczyznę-Nawę widział płynącą już prawie tysiąc lat. Dziś padają pytania: czy czasem nie dużo dłużej niż tysiąc lat?

TYSIĄCLETNIA GLORIA

Zbliżanie się setnej rocznicy odzyskania niepodległości uruchomiło wielką medialną (gazetową, książkową, internetową) ofensywę rodzimych pseudoscyntyzytycznych maniaków, pragnących na siłę udowodnić, że już w starożytności, a więc kilka tysięcy lat temu, między Tatrami a Bałtykiem istniało polskie mocarstwo („wielka Lechia”) toczące zwycięskie boje z potęgami Antyku (Macedonią, Rzymem, etc.). Ci harcownicy

mają prastare źródła dla podparcia swych spekulacji, choćby średniowieczną kronikę bajora Kadłubka (XIII wiek) czy kronikę Sarnickiego (XVI wiek), który wierzył w apokryfy (np. fałszywe listy Aleksandra Macedońskiego czy mistyfikacyjną rozprawę Jana z Viterbo). Powołują się też na późniejsze fałszyfikaty, typu: „Kronika Prokosza” (rzekomo X wiek), którą zawodowy fałszerz dokumentów, Przybysław Dyamentowski, zmajstrował w XVIII wieku — twierdzą, oczywiście, iż jest to autentyk. By unaukować swoje brednie, którymi robią współobywatelom wodę z mózgu, sięgają też po aktualne badania szczątków ludzkich (haplogrupy DNA). Wszelako nawet to ostatnie — mamienie publiki terminologią laboratoryjną — trafia kulą w płot, gdyż wyrywkowe dziedziczenie DNA nie jest równoznaczne z dziedziczeniem kultury i języka, nie determinuje etniczności (grup, związków, zbiorowości etnicznych).

Brak jakiegokolwiek potrzeby dowartościowywania wspaniałej tysiącletniej



Nawy państwa polskiego trikami tego rodzaju. Płynęła ona od czasów Mieszka I (X wiek), a kolejni jej „kapitanowie” (władcy) i kolejne „załogi” (pokolenia obywateli) dbały, by „*Nequid haec respublica capiat detrimenti*” (by ta Rzeczpospolita nie poniosła jakichś szkód). Pewien „humor zeszytów”, cytowany przez rubryki satyryczne, brzmi tak: „*Królów wybierało w dawnej Polsce na zasadzie erekcji*”. Święta prawda — dzięki tej trwającej całe wieki erekcji Rzeczpospolita Obojga Narodów tłukła wrogów sielnie, broniąc swego terytorium przed ich zakusami, a nie-rzadko broniąc też przed barbarzyńcami całego kontynentu i całego chrześcijaństwa. Grunwaldy, Kłuszyny, Beresteczka, Wiednie, Orsze, Kircholmy, itd., itp.

Ta Nawa miała też pyszną kulturę (już od Średniowiecza), znakomitą literaturę (już od Renesansu — od Reja i Kochanowskiego), rewelacyjną naukę (exemplum Kopernik), wreszcie świetną myśl filozoficzną i polityczną, czego doskonałe świadectwo dał zeszłego roku wybitny myśliciel i poeta, Bohdan Urbankowski, publikując IV-tomowe (3232 strony) „**ŹRÓDŁA. Z dziejów myśli polskiej**”. Każdy, kto otworzy to pomnikowe dzieło, zrozumie, że biję mu brawa nie dlatego, iż autor opatrzył mi tom 1 dedykacją: „*Panu Waldemarowi Łysiakowi, mistrzowi naszego pokolenia, jeden z miłośników i koneserów jego książek*”. Notabene: Urbankowski to erudyta, który w przeciwieństwie do większości naszych publicystów nie bredzi, że roku 1918 odzyskał suwerenność po 123 latach zaborów, gdyż pamięta o (cytuje „**ŹRÓDŁA**”) „*kilkuletniej polskiej niepodległości czasu Księstwa Warszawskiego*” (2017).

Jednym z fenomenalnych żagli polskiej Nawy była Konstytucja 3 Maja, wychwalana dzisiaj jak świat długi i szeroki, a według niektórych „inteligentów” (vide Ryszard Petru) ciągle stanowiąca obowiązujące prawo. Chwaląc się Ustawą zasadniczą należącą do pionierskich w erze nowożytnej, możemy się też chwalić pionierską demokracją tej ery. Ta polska „demokracja szlachecka”, przez samą szlachtę zwana wówczas „*złotą wolnością szlachecką*”, była rodzajem pararepublikanizmu odwołującego się czasami ideowo do republikańskich form antycznych, jednak — niestety — przekraczającego granice wolności ku sferze anarchicznej, co zaskutkowało tragedią rozbiorów. Wszelako te szlacheckie anarchiczne „*podgolone łby*”, te hałaburdy, ci Kmicice, ci tyrani dla chłopstwa, ileż razy jako „załoga” stawali mężnie, broniąc Nawy przed

Moskalem, Germańcem lub Pohańcem, o czym już wzmiankowałem wyżej, lecz powtarzać to można — „*ad maximam Poloniae gloriam*” — bez ustanku. Ich dzieci, wnuki i prawnuki, właściwie edukowane, wyzwoliły sto lat temu Rzeczpospolitą.

JAKA POLSKA?

Dla wszystkich opcji politycznych, które kotłują się w dzisiejszej RP, święta Nawa ojczysta jest, rzecz prosta, priory-

tetem — przynajmniej retorycznie, bo wszyscy (od białych i czarnych, do czerwonych i różowych) wycierają sobie nią gęby, kokietując wyborców. Co przypomina człowiekowi strofy Słowackiego o tych krzyczących ciągle: „*Polska! Polska!*”, których zapytał wreszcie zniecierpliwiony Pan Bóg: „*Jaka?*”. A. D. 1918 wizje były różne, tradycjonalistyczne i postępowe. Wśród tych pierwszych nic nie przebijie Or-Otowskiego „**Koncertu Chopina**” (patrz ramka ozdobna). Ale w tamte

Artur Oppman, „Koncert Chopina”

*„Chopin wszedł. W lamp półcieniu dziwny, jak zjawisko,
Nad rebusem klawiszów pochylił się nisko,
Jakby wprzód, nim ich dotknie, nim w nich głos obudzi,
Chciał oczami coś zagrać dla tych wszystkich ludzi,
Jakby sprzęgał swą duszę, czarem czy miłością,
Z tą czarną i tą białą martwą, zimną kością,
I śmiertelną umowę zawierał tajemnie:
Ja wezmę twoje życie, weź moje ode mnie.*

*W niemą salę padł pierwszy dźwięk. Improwizuje.
A oczy ma zamknięte. Lecz nie gra. Maluje.
Przypomniawszy jakiś obraz: wieś w gruszkowych sadach,
Bose dzieci na progach, malwy na lewadach,
Roześmianą dziewczynę w kalinowym wianku,
Drgające granie dzwonka na różanym ganku,
Barwy mu dnia i zmierzchu wiążą się pod ręką —
Ten widok, jakby wstążką, owinął piosenką.*

*Dziwna piosenka, słuchaczom tak bardzo przyjemna,
Ktoś myśli: to znad Sanu, ktoś inny: znad Niemna,
Jeszcze komuś od Wisły gra echem znajomym,
Jakby ją dzieckiem słyszał pod rodzinnym domem,
A to tylko tak szumi liść na polskim drzewie,
A to tylko tak pluszcze polski deszcz w ulewie,
A to tylko tak serce miłością przezczystą
Kocha-lubi-szanuje swą Nawę ojczystą”.*



Teofil
Kwiatkowski,
„Wizja Chopina”
(1859)

■ listopadowe dni roku 1918 powszechnie myślano też o przyszłości. I nastadzano się, że mając już zerwane kajdany Rzeczpospolita rozkwitnie, że będzie Niepokalana/Błogostawiona/Święta. Wołano za Marią Konopnicką:

*„Ojczyzno moja, bądź Błogostawiona!
I błogostawion owoc Twego ducha!”*

Leopold Staff unosił się:

*„Polsko, nie jesteś Ty już niewolnicą!
Lecz czymś największym,
Czym być można: Sobą!”*

„Czymś największym”? Więc czemu nie, jak chciał Słowacki, „Winkelriedem narodów” — wodzem kontynentu, hetmanem Europy, lub przynajmniej Słowiańszczyzny? Tego pragnął pisać swoją „Polskę” Kazimierz Przerwa Tetmajer:

*„A teraz nam się znowu jęła marzyć
Polska co sobą będzie gospodarzyć.
A teraz nam się znów śni polskie państwo
Mające w świecie słowiańskim hetmaństwo”.*

Na okoliczność takich marzeń cytowano strofy Wyspiańskiego z „Wyzwolenia”, gdzie Konrad wieszczy:

*„ — Polska ma być
państwem nad państwa,
prześcigającym wszystkie,
jakie są, republiki i rządy,
niedościągłym ma być ideałem!”*

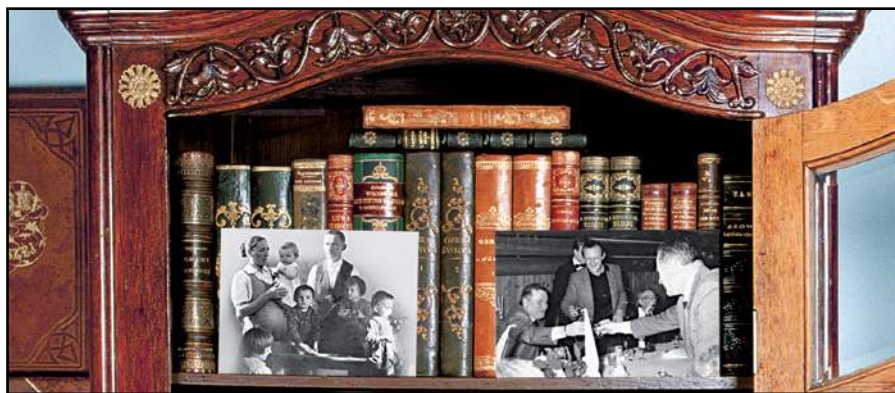
Najtrafniejsze umiarkowanie wobec aspiracji, ambicji i perspektyw wyzwolonej Nawy okazał Marian Hemar, głosząc:

*„Polska to jest coś więcej
Niż wszystkie peany,
Wszystkie partie i klasy,
Obozy i klany.*

*Polska to jest coś więcej
Niż każdy przymiotnik,
W który ją zechce zamknąć
Pan, chłop czy robotnik”.*

OD WZNIOSŁOŚCI DO PODŁOŚCI

Przez te sto lat od 1918 roku Nawą polską miotało wiele burz. Mogła zatonać już po dwóch latach (1920), lecz wówczas „załoga” obroniła ją bohatersko. W 1939 nasz Galeon został wzięty abordażem przez hitlerowców, później komuniści opanowali mostek kapitański i ster — trwało to razem równo pół wieku (1939–1989). Na jednej z wielu bibliotecznych półek mego domu stoją obok siebie dwie symboliczne dla mnie klamry tego półwiecza, dwa zdję-



cia: fotografia rodziny Ulmów oraz fotografia rodziny Magdalenków (Kiszczak-Michnik-Wałęsa chlejący gorzałę i rechoczący podczas przypijania do siebie) — żeby mi przypominały najwyższą szlachetność i najniższą nikczemność.

Szlachetność zawsze widniała u wierzchołka głównego masztu Nawy (aczkolwiek w praktyce różnie to bywało, chociaż tylko przez wredność lub słabość ludzi, nie zaś przez istotę polskiego Galeonu). Łopotał tam sztandar z Białym Orłem, zaś



godłem duchowym był Honor, czyli drugi element narodowej triady: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Personalnym symbolem, pamiętnym uosobieniem tego głośnego niegdyś na całym świecie „honoru polskiego” („onore alla polacca”), stał się „rycerz bez skazy i zmayı”, Józef książę Poniatowski, w latach 1807–1813 „kapitan” Nawy, najślawniejszy przed XX wiekiem Polak wśród wszystkich narodów i plemion (także murzyńskich i dalekoazjatyckich!) ziemskiego padołu. Nie przypadkowo jego pomnik stoi dziś przed pałacem prezydenta RP. Tymczasem — ku mojemu zdumieniu i zniesmaczeniu — w olbrzymiej (format folio), „wydanej na

100. rocznicę Odzyskania Niepodległości” (tej treści opaska zdobi wolumin) „**HISTORII POLSKI W KOMIKSIE**” (autorzy: P. Kołodziejski i B. Michalec), gdzie jest 960 dużych rysunków (m.in. sto kilkadziesiąt portretów), książę Józef nie istnieje! Tak rysunkowo, jak i tekstowo — nie został wzmiankowany nawet jedną sylabą! Wśród portretów są ważne i mniej ważne, nie brak Bieruta, Breżniewa czy Małysza, Wałęsa jest ukazany pięć razy — ale księcia Józefa, bohatera narodowego, zwycięskiego wodza w wojnie z Austrią (1809), zdobywcę Moskwy (1812) — wyciepano. Młodzież ma nie dowiadywać się o nim.

Po macoszemu bywa też traktowana święta data listopadowa, której setną rocznicę właśnie obchodzimy. Exemplum: szkolny podręcznik „**Vademecum — egzamin gimnazjalny — HISTORIA**” (Wydawnictwo Pedagogiczne OPERON). Dzień 11 listopada jest tam wzmiankowany jednodaniowo i wyłącznie jako data podpisania przez Niemcy zawieszenia broni w Compiègne, a o objęciu władzy przez Piłsudskiego w dniach 11–14 listopada ni słowa! Co jest chore, podobnie jak utyskiwanie przez „Totaloposition” na dzisiejsze rocznicowe obchody. Podziemna profesor Środa (która stanowi jawny dowód tego, że tytuły naukowe w Polsce były i są przyznawane ludziom „kopniętym”, vulgo: osobnikom niespełna rozumu) stwierdziła na portalu wyborcza.pl, że „świętowanie stulecia niepodległości jest gorsze od Mundialu”. Janusz Mikke (guru endeków) też sarknął: „Odbudowy zlikwidowanego sto lat temu Królestwa Polskiego w 2018 wszystkim życzyć!”. Czyli przywrócenia brutalnego (rusyfikacja!) rosyjskiego zaboru, który carat — jak na urągawisko — zwał Królestwem Polskim. Endecy zawsze czołgali się przed Rosją, więc nawet dziwić się trudno. Tylko ten (apatriotyczny) smród...

Wśród wiwatów, aplauzów i życzeń rocznicowych najbardziej znaczące (mimo że trochę gorzkie) wydały mi się nie te polityczne, lecz ekonomiczne, ze strony Andrzeja Sadowskiego, założyciela i prezydenta Centrum im. Adama Smitha: „— Przywróćmy w stulecie odzyskania niepodległości pełną wolność gospodarczą, uwalniając pracę i przedsiębiorczość, co raz w Polsce już się stało za sprawą ustawy Wilczka. Bez wolności gospodarczej nie utrzymamy niepodległości. Nie obronimy jej w tym stanie zniewolenia przedsiębiorców przepisami i regulacjami, które nieustannie produkują polskie rządy”.

* * * * *

Nawa wciąż płynie pod dumną banderą. Będzie nie tylko rosła w siłę, lecz będzie nawet zabierała rozbitków z innych państw, z krajów dotkniętych dżumami politycznymi i multi-kultu. Co zresztą zaczęło się już — dopływają do burt lechickiej Nawy pierwsi uciekinierzy ze Skandynawii: Szwedzi, Norwegowie. Gdy szwedzki dziennikarz ogłosił (2017) sondę dla takich uciekinierów, pytając: do jakiego „spokojnego, zdrowego, bezpiecznego, normalnego” kraju najlepiej zwać gdy ma się już wyżej uszu gangreny toczącej Europę i cały Zachód — odpowiedziały tysiące ludzi. Pudło medalowe jest znaczące: Węgry na trzecim miejscu — 13% wskazań. Islandia na drugim — 15%. Na pierwszym Polska — 67%!

Można — rzecz prosta — zostać szukającym u nas gościny imigrantem, ale zostać Polakiem nie da się bez pewnego wysiłku, pewnych zobowiązań, pewnych szczerych chęci i solennych powinności. Wszystkie je wyklada celnie „**Dekalog Polaka**” ułożony przez pisarkę Zofię Kosak-Szczucką i wydrukowany w konspiracyjnym „**Kalendarzyku KOP-u 1941**”, a o tyle adekwatny, że 13-punktowy. Na



łamach „**Do Rzeczy**” przypomniał go swego czasu Krzysztof Masłoń, ja zaś z rewerencją puentuję nim mój esej o Nawie Rzeczypospolitej:

1. „Jam jest Polska, ojczyzna twoja, ziemia Ojców, z której wyrosłeś. Wszystko, czymś jest, po Bogu mnie zawdzięczasz”.

2. „Nie będziesz miał ukochania ziemskiego nade mnie”.

3. „Nie będziesz wzywał imienia Polski dla własnej chwały, kariery albo nagrody”.

4. „Pamiętaj, abyś Polskę oddał bez wahań majątek, szczęście osobiste i życie”.

5. „Czcij Polskę, ojczyznę twoją, jak matkę rodzoną”.

6. „Z wrogami Polski walczyć wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi w żyłach twoich”.

7. „Walczyć z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, że tchórz nie może być Polakiem”.

8. „Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego”.

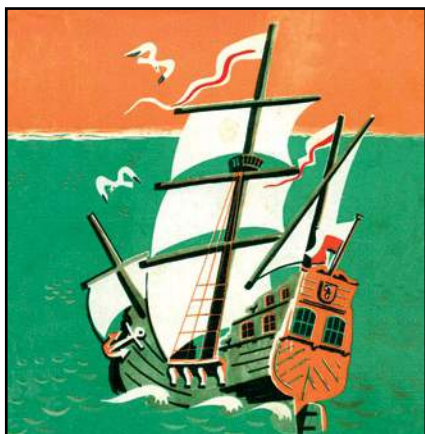
9. „Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzać, że jesteś Polakiem”.

10. „Nie dopuść, by wątpiono w Polskę”.

11. „Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając Jej wielkość i Jej zasługi, Jej Dorobek i Majestat”.

12. „Będziesz miłował Polskę pierwszą po Bogu miłością”.

13. „Będziesz ją miłował więcej niż siebie samego”. ©©





Wojciech Wybranowski

Od lat żaden klub poselski nie tracił w szybszym tempie członków niż Kukiz'15. Wiele wskazuje na to, że Paweł Kukiz przetrwa jednak kolejne zawirowanie w swoim ruchu

Kto fałszuje u

Ważą się losy ruchu Kukiz'15 i jego parlamentarnej reprezentacji. Z klubu odszedł właśnie niedawny rzecznik ugrupowania Jakub Kulesza, a media rozgrzała upubliczniony przez samego Kukiza ostry spór między nim a posłem

Markiem Jakubiakiem, którego część środowiska uważa za lidera grupy przedsiębiorców. Jakubiak, były kandydat ruchu Kukiz'15 na prezydenta Warszawy, chce budować nową partię polityczną – częściowo opierając się na elektoracie i posłach ugrupowania

Pawła Kukiza. Nie ukrywa, że zamierza sięgnąć po fotel przewodniczącego klubu. – Chcę wzmocnić Kukiz'15, a nie osłabić. Chcę, go przemodelować w taki sposób, by każdy miał dla siebie w nim miejsce, by mógł istnieć w przestrzeni politycznej – mówi nam poseł Jakubiak.



Kukiza

– Wegetujemy jako ugrupowanie. Mogą istnieć partia i niepolityczny ruch. Jeśli się komuś partia nie podoba, to nie musi do niej wstępować – dodaje.

W praktyce powstanie partii na bazie Kukiz'15, skupionej wokół Jakubiaka, oznaczałoby utratę przez Pawła Kukiza

pozycji lidera. A popularny rockowy muzyk nadal ma, również w klubie parlamentarnym, sporą grupę zwolenników. – Wizja kreślona przez pana Jakubiaka jest bardzo dla niego optymistyczna. Jednak przebieg wydarzeń może być odmienny. Na przykład ktoś w zespole uzna, że trzeba

się pozbyć trębacza, który co prawda często bywa w mediach, jest lubiany, bo ma wielką trąbę i kolorową apaszkę, ale nie gra z zespołem, fałszuje. I co wtedy? – pyta nas jeden z posłów ruchu Kukiz'15.

Co się za tym kryje? Wiadomo, że Jakubiak sprawę przyszłości ruchu zamierza postawić na ostrzu noża. Nasze źródła w klubie parlamentarnym Kukiz'15 mówią jednak, że stronnicy muzyka mogą ten ruch wyprzedzić – składając na prezydium klubu wniosek o usunięcie z niego Jakubiaka. Może do tego dojść już w najbliższym tygodniu.

Oficjalnie większość posłów klubu Kukiza nie chce rozmawiać na ten temat, tłumacząc to m.in. drugą turą samorządowych wyborów prezydenckich, koniecznością spotkania w szerszym gronie. – Spokojnie, nie rozpadamy się. Sytuacja w klubie i w ruchu właśnie się stabilizuje, wiele rzeczy się wyjaśnia. Pewnie zmiany nastąpią, ale ruch Kukiz'15 i klub parlamentarny przetrwają – mówi poseł Piotr Apel.

Nasze źródła w klubie Kukiza twierdzą jednak, że w ciągu kilkunastu najbliższych dni dojdzie do poważnych przetasowań. – Marek szuka stronników. Kilku kolegów kontaktowało się ze mną, mówiąc: „A wiesz, może założenie partii to nie najgorszy pomysł, z dotacjami moglibyśmy więcej robić”. Dyskutujemy. Tłumaczę, że przecież i tak najpierw trzeba ponownie wejść do Sejmu, a jak to zrobić, skoro zakładając partię, zaprzeczymy temu, za co wyborcy na nas głosują? – opowiada nam jeden z posłów ruchu. – Chwila dyskusji i refleksja: „Jakubiak nie pomyślał” – dodaje nasz rozmówca.

Dziennik „Fakt” w ubiegłym tygodniu napisał, że Jakubiak może liczyć na poparcie zaledwie trzech posłów w klubie. Podobnego zdania są także nasi rozmówcy, choć ostrożnie szacują, że z klubu wyjdzie jeszcze mniej osób.

Eksperci uważają, że Paweł Kukiz przetrwa to kolejne zamieszanie w klubie. Zwracają też uwagę na to, że szefowie nowych bytów politycznych: Nowoczesnej i ruchu Kukiz'15 nie radzą sobie z wewnętrznymi konfliktami.

– W obu tych przypadkach takie konflikty powodują odejścia działaczy i posłów. Jednak casus ruchu Kukiza jest nieco inny, ruch ten powstał bowiem na bazie politycznego sukcesu Pawła Kukiza, wyborcy zaakceptowali go, wiedząc doskonale, że jest człowiekiem emocjonalnym, że reaguje bardzo żywiołowo, ■

FOT. ANDRZEJ KULONKA/REPORTER

■ że potrafi rzucić grubszym słowem. Dla jego wyborców to właśnie daje mu wiarygodność, prawdziwość, takiego go kupują – uważa prof. Maciej Drzonek, politolog z Uniwersytetu Szczecińskiego.

JAKUBIAK CZY KUKIZ

Emocji i medialnej amunicji zwaśnionym stronom w ruchu Kukiza na razie nie brakuje. Dostarczył ich sam rockowy poseł po tym, gdy był rzecznik Kukiz'15 Jakub Kulesza porzucił klub muzyka i przeszedł do partii Wolność.

– Problemów w ruchu Kukiz'15 jest całe mnóstwo, natomiast ja odszedłem z powodu osoby pana Dariusza Pitasia [były dyrektor biura parlamentarnego klubu – przyp. red.]. Informacje, plotki, które krążą w klubie, to bardzo poważne sygnały wskazujące na rzeczy, na które nikt nie może się godzić – mówi nam Kulesza. – Była próba wyjaśnienia tych spraw, ale została zduszona w zarodku. Z pewnością wypłyną jeszcze, spodziewam się, że przed kolejnymi wyborami.

że klub opuścili narodowcy związani z Endecją. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy Kukiz „wypiął” się na narodowców, to Jakubiak został z nim, choć wcześniej był filarem Endecji. Pozbył się konkurentów, wzmocnił pozycję – uważa jeden z przeciwników Jakubiaka z klubu parlamentarnego Kukiz'15

– Kukiz nie chce zrozumieć, że bez silnych struktur terenowych i bez pieniędzy nie da się prowadzić skutecznej polityki. Jak długo mamy dokładać do działalności Kukiza z własnej kieszeni? – przekonuje z kolei poseł, który jest zwolennikiem Jakubiaka.

CHAOS, TAJEMNICE I PROBLEMY

Faktem jest, że klub przeżywa kryzys. Nawet zwolennicy Kukiza w rozmowie z „Do Rzeczy” skarżą się, że ich ruch pogrąża się w marazmie, że brakuje planów i pomysłów na działalność, a nawet jeśli są, to nikt ich z nimi nie konsultuje. Wreszcie – że kolejne konflikty w ugrupowaniu: odejście grupy narodowców,

Wynik wyborów samorządowych, w których ruch Kukiz'15 ledwo przekroczył próg, też pokazuje, że ugrupowanie ma problem. I musi się z nim uporać, jeśli chce odegrać rolę w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych. Do tej pory z kilku projektów, które miały zapewnić ruchowi ważną pozycję na scenie politycznej – walka o jednomandatowe okręgi wyborcze i zmiana konstytucji, silny klub opozycyjny ze skrzydłami od narodowców do liberalnych przedsiębiorców czy budowa skupionego wokół prezydenta Andrzeja Dudy bloku, który w dalszej perspektywie miał wypchnąć PiS ze sceny politycznej – wszystkie skończyły się fiaskiem.

– Proszę pamiętać o jednym. Nam, mimo duopolu sceny politycznej, udało się stworzyć blok między PiS a PO i obu stronom tej sceny zależy, żeby nas zmiążdżyć – mówi jeden z posłów Kukiz'15. – Ostatnie kilka tygodni to był szturmowy wręcz atak mediów publicznych na nas. To jest wiele miesięcy podchodów i prób wyciągania naszych ludzi czy to przez PiS, czy przez jego przybudówkę, czyli Wolnych i Solidarnych – wylicza.

Jeden z naszych informatorów w ruchu Kukiz'15 mówi, że kilkanaście dni po drugiej turze samorządowych wyborów prezydenckich, w których poseł Wojciech Bakun walczył o prezydenturę Przemysła, w ruchu mają zacząć się porządki. Może to oznaczać nie tylko ewentualne rozstanie się z Markiem Jakubiakiem, lecz także pożegnanie Dariusza Pitasia, byłego szefa klubu parlamentarnego Kukiz'15 i obecnie wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia na rzecz Nowej Konstytucji Kukiz'15. To jeden z najbardziej zaufanych ludzi Kukiza i zarazem osoba, do której wielu posłów tego ruchu ma spore zastrzeżenia.

– Przekonujemy Pawła, że obecność Pitasia tylko nam zaszkodzi. Mam nadzieję, że przekonujemy skutecznie i że sam zdążył się przekonać, iż ów pan wprowadzał go w błąd w pewnej ważnej sprawie – mówi nam jeden z parlamentarzystów.

To będzie ważny sprawdzian dla klubu. Pokaże, czy Paweł Kukiz i jego środowisko są w stanie zapanować nad wewnętrznymi konfliktami. Od wyborów w 2015 r. z klubu odeszli już bowiem lub zostali wyrzuceni m.in.: Kornel Morawiecki, Adam Andruszkiewicz, Piotr Liroy-Marzec, Magdalena Błęńska, Anna Siarkowska czy Sylwester Chruszcz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wybory samorządowe pokazały, że Kukiz'15 ma problem i musi się z nim uporać, jeśli chce odegrać rolę w wyborach parlamentarnych

Paweł Kukiz zarzucił Kuleszy na Facebooku, że ten zdradził swoich kolegów z klubu. Kiedy po stronie byłego rzecznika stanął poseł Jakubiak, lider ruchu wybuchał i na Twitterze używał wulgaryzmów. Później twierdził, że utracił kontrolę nad kontem, wreszcie zasugerował, że wypisywał te rzeczy w sieci, bo za bardzo poniosło go imprezowanie w piątek.

Tylko Kukiz nie pierwszy raz ujawnił swoją niechęć do Jakubiaka. W połowie września, podczas konwencji samorządowej w Kielcach, oznajmił: – Wiem, że nasz kandydat wielkich szans nie ma, a moja sympatia niekoniecznie jest nakierowana na naszego kandydata.

– Nie wiem, dlaczego Paweł tak zrobił. Mam żal do niego – mówi nam Marek Jakubiak.

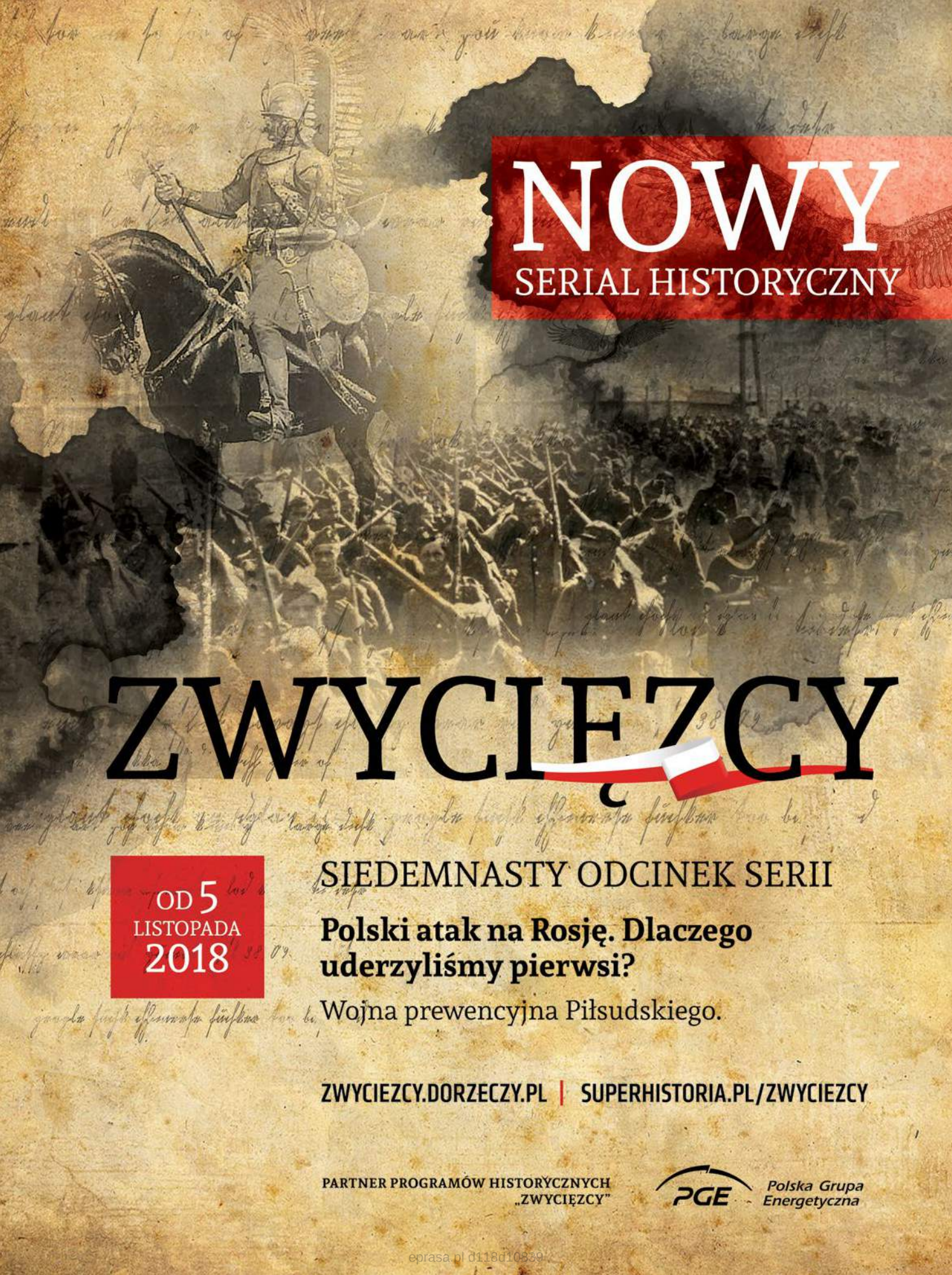
Z Pawłem Kukizem w minionym tygodniu nie udało nam się porozmawiać. Jego zwolennicy w klubie parlamentarnym Kukiz'15 mówią, że konflikt między liderem a Jakubiakiem narastał od miesięcy.

– Marek miał swoją niebagatelną rolę w gierkach, które doprowadziły do tego,

wykruszenie się Endecji, wyrzucenie Liroya, popsuło atmosferę.

– Wypracowaliśmy w klubie mechanizmy komunikacji w grupach i z kierownictwem klubu. Tak, żeby każda frakcja miała swoich przedstawicieli we władzach, uczestniczyła w podejmowaniu decyzji. Działało. Jednak po ubiegłorocznych wakacjach coś się zmieniło – opowiada nam jeden z posłów klubu Kukiz'15.

Tak było chociażby w trakcie przygotowań do kampanii samorządowej, gdy działaczom ruchu przez długi czas mówiono, że Kukiz'15 pójdzie do nich w koalicji z partią Wolność Janusza Korwin-Mikkego. W środowisku Kukiza przebąkiwano nawet, że jest tak daleko skłonny do współpracy, iż „użyczy” korwinowcom ludzi, by mogli zarejestrować swoje koło poselskie w Sejmie. Nagle rozmowy zerwano. – Nikt z nas dokładnie nie wie, na czym miało polegać porozumienie Kukiza z Korwin-Mikkem. To był tajny plan Pawła, do którego zapalił się jak dziecko – uważa jeden z posłów Kukiz'15.



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 5
LISTOPADA
2018

SIEDMNASTY ODCINEK SERII

**Polski atak na Rosję. Dlaczego
uderzyliśmy pierwsi?**

Wojna prewencyjna Piłsudskiego.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna



PiS

mocniejszy w regionach



Z Adamem Bielanem, wicemarszałkiem Senatu ze Zjednoczonej Prawicy

rozmawia Kamila Baranowska

KAMILA BARANOWSKA: Co wybory samorządowe i ich wyniki mówią o kondycji Zjednoczonej Prawicy na rok przed wyborami parlamentarnymi?

ADAM BIELAN: Wybory obrazują skokowy wręcz wzrost potencjału lokalnych struktur naszego obozu, co w przededniu kolejnych kampanii ma niebagatelne znaczenie. Ogromny sukces, na który mało kto zwrócił uwagę, osiągnęliśmy już przed wyborami – chodzi o liczbę zarejestrowanych kandydatów. Mieliśmy ich ponad 30 tys., czyli niemal dwukrotnie więcej niż PSL, uchodzące dotychczas za ugrupowanie o najsilniejszych strukturach terenowych. To niezwykle ważne, ponieważ właśnie brak silnego umocowania w terenie przez wiele lat odbierany był jako największa słabość PiS i prawicy w ogóle. W efekcie tego wygraliśmy w pierwszej turze wybory na wójtów w gminach, w których dotąd stanowiliśmy głęboką opozycję. Mamy olbrzymi przyrost wójtów, bardzo duży sukces w Polsce powiatowej, w której do tej pory głównym rozgrywającym było PSL.

Wyniki w sejmikach nie były poniżej oczekiwań?

Widzę tu raczej problem samych oczekiwań niż wyników. Jeśli chodzi o expectation game, jak to nazywają Amerykanie, należało od początku tłumaczyć, że wyniki samorządowe największych ugrupowań

w Polsce zawsze bywają znacznie niższe pod względem poparcia uzyskiwanego w wyborach parlamentarnych oraz że w dużych miastach nadzieje na sukces są bardzo niewielkie. Sprowadzenie kampanii do jednego miasta, zogniskowanie mediów wokół wyborczego starcia w stolicy było dla nas od początku niebezpieczne i skończyło się smutnymi minami w momencie ogłaszania rezultatów exit poll. Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ znacznie bardziej miarodajne dla partii politycznych wyniki na poziomie sejmików wojewódzkich okazały się dla nas bardzo korzystne.

To czwarte z rzędu wygrane przez Zjednoczoną Prawicę wybory i znakomity prognostyk przed przyszłoroczną elekcją parlamentarną. Chociaż pamiętajmy, że po drodze są jeszcze wybory europejskie i tutaj przede wszystkim powinniśmy być znów ostrożni z oczekiwaniami, gdyż są to wybory absorbujące znacząco niższy odsetek wyborców, szczególnie tych zainteresowanych problematyką Unii Europejskiej. Jeśli znów okaże się, że wynik jest poniżej oczekiwań, może to mieć przełożenie na nastroje zarówno wyborców, jak i działaczy przed wyborami krajowymi. A czasu do tych ostatnich zostanie bardzo niewiele.

Jednym z celów Zjednoczonej Prawicy w wyborach samorządowych był jednocyfrowy wynik PSL

i całkowita marginalizacja tej partii w terenie. To nie do końca wyszło. Może PiS przegrał, uderzając tak mocno w PSL w kampanii?

Na poziomie Polskiej Lokalnej PSL jest naszym bezpośrednim konkurentem, zarówno w wyścigu o głosy, jak też w wyścigu o działaczy. Wielu samorządowców PSL (także wójtów czy burmistrzów) od wielu lat z nami flirtowało i gotowych było do nas dołączyć, pozostawiali jednakże uzależnieni od PSL-owskich starostów i marszałków rozdzielających fundusze europejskie. Byli przez lata szantażowani, że jeśli do nas przejdą, to ich gminy będą miały problemy z finansowaniem inwestycji. To działało. Do tego dochodzi rywalizacja o tych samych wyborców. Prawdopodobnie największy elektorat przepływowy jest właśnie pomiędzy PiS a PSL. Są to wyborcy głosujący w wyborach parlamentarnych i prezydenckich na nas, w wyborach samorządowych zaś na ludowców. Działanie na rzecz całkowitego przejęcia takich wyborców jest z punktu widzenia mechanizmów wyborczych właściwe. Nie oznacza to jednak, że odrzucamy możliwość zawiązania koalicji z PSL w konkretnych miejscach. Takie koalicje działały już wcześniej w wielu powiatach i mogą być kontynuowane.

Jak to? Przecież Władysław Kosiniak-Kamysz kategorycznie zapowiedział, że nie będzie żadnych koalicji, bo PiS to partia antysamorządowa.

Prezes Kosiniak-Kamysz w pełni kontroluje obecnie działaczy zaledwie w kilku regionach, i to głównie na poziomie sejmików. Uważam, że nie jest w stanie

kontrolować działaczy na poziomie powiatowym, jego władza już tak głęboko nie sięga. Proszę zwrócić uwagę, że jednak niemal w połowie regionów zarządy, a więc dysponenti funduszy, będą teraz z PiS. Gdyby szef ludowców starał się na siłę powstrzymać powiatowe koalicje PSL z PiS, szczególnie w takich regionach, to prędzej sam musiałby się pożegnać ze stanowiskiem.

Mechanizm izolowania PiS działa za to w sejmikach. Trudno wam tworzyć koalicje tam, gdzie nie macie samodzielnej większości.

Stanowisko ludowców wydaje się wbrew logice, a przede wszystkim jest zaprzeczeniem polityki, jako sztuki dążenia do kompromisu dla dobra mieszkańców. Sądzę jednakże, że na poziomie sejmikowym możemy spodziewać się jeszcze kilku niespodzianek.

Mowa o trzech sejmikach: śląskim, dolnośląskim i mazowieckim, w których PiS wygrał wybory, ale potrzebuje koalicjanta do współrządzenia?

Nie tylko o tych wymienionych. Wiadomo, że w tej chwili wszędzie toczą się rozmowy o przyszłej współpracy i nic nie jest przesądzone. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że będziemy rządzić w więcej niż sześciu sejmikach. To zaś może sprawić, że w PSL będzie narastać niezadowolenie i władze partii będą miały kłopot, by sobie z tym fermentem poradzić. Toczy się tam obecnie ciekawa dyskusja dotycząca przyszłości. Jeśli wygra koncepcja wejścia do Koalicji Obywatelskiej, to moim zdaniem od razu mniej więcej jedna trzecia wyborców PSL skłoni się do poparcia nas w najbliższych wyborach, bo nie będzie akceptować takiego sojuszu.

Wybory samorządowe pokazały słabość Zjednoczonej Prawicy w dużych miastach.

Przegrane w dużych miastach były w kalkulowane w tę kampanię i nie stanowią żadnego zaskoczenia. Jedyne, co zaskoczyło, to skala porażki w Warszawie.

Z czego ona wynikała?

Osiągnięto bardzo dużą polaryzację, która przełożyła się na słabość pozostałych kandydatów. Cztery lata temu Piotr Guział uzyskał 8 proc., Przemysław Wipler – 5 proc., co dało możliwość drugiej tury. W tym roku trzeci Jan Śpiewak miał poniżej 3 proc. poparcia, a Janusz Korwin-Mikke – 1 proc. Dodatkowo nastąpiła ogromna mobilizacja naszych przeciwników. Nie da się ukryć, że rozstrzygnięcie w Warszawie

zepsuło nam cały efekt podczas wieczoru wyborczego. Wszyscy wspieraliśmy Patryka Jakiego i byliśmy pod wrażeniem jego pracowitości i serca, które włożył w tę kampanię. Przegrana w Warszawie kosztowała nas też utratę większości w politycznie bardzo ważnym sejmiku mazowieckim.

W 2002 r. Lech Kaczyński w Warszawie wygrał. Tamta Warszawa różniła się od tej dzisiejszej?

Miałem zaszczyt pracować przy tamtej kampanii. Ówczesne wybory odbywały się w podobnej atmosferze. Tak jak teraz o aferze reprivatyzacyjnej tak wtedy mówiono o aferach środowiska warszawskiej Platformy Obywatelskiej, o tzw. układzie warszawskim. Tu analogia się kończy. Lech Kaczyński był jednym z najwybitniejszych polityków wolnej Polski. Potrafił skupić znacznie szerszy elektorat niż tylko wyborców Prawa i Sprawiedliwości. Podobnie było zresztą trzy lata później, w 2005 r., kiedy to właśnie kandydatura Lecha Kaczyńskiego w krajowych wyborach prezydenckich pozwoliła PiS w ciągu kilku miesięcy ponaddwukrotnie zwiększyć poparcie i wygrać wybory parlamentarne. W tym roku bardzo trudno było wygrać w Warszawie. Osobiście jestem jedynie rozczarowany porażką już w pierwszej turze. Skala porażki w stolicy dobitnie pokazała nam, że wybory europejskie mogą być dla nas jeszcze trudniejsze.

Dlaczego?

Wybory europejskie charakteryzuje ogromna dysproporcja frekwencji. W skali kraju od lat cieszą się one rekordowo niskim zainteresowaniem, a jednocześnie jest ono wysokie w dużych miastach. W 2014 r. frekwencja ogólna wyniosła 24 proc., podczas gdy w Warszawie przekroczyła 38 proc. Różnica jest zatem olbrzymia, a w obliczu niechęci do naszego obozu nie możemy wykłuzczyć jeszcze większej mobilizacji elektoratu wielkomiejskiego.

W jaki sposób będziecie się z tym mierzyć? Bo chyba nie spotami, jak ten o uchodźcach, czy tematem polexitu, który w końcówce kampanii sami podaliście opozycji na tacy.

Zgodnie z zapowiedzią Jarosława Kaczyńskiego opracujemy powyborczy bilans i kiedy powstanie, na spokojnie zastanowimy się, co w tej kampanii zadziało, a co szwankowało. Mówiłem o tym, że udało nam się wzmocnić struktury lokalne. To niezwykle istotne właśnie w kontekście wyborów do Parlamentu Europejskiego, w których będziemy mu-

sieli przeprowadzić olbrzymią, chyba największą w historii, kampanię mobilizującą wieś i małe miasteczka. To jeden z celów, nad którymi musimy się teraz skupić.

A nie na wygaszaniu sporu z Brukselą o reformę sądownictwa? To pomogłoby uniknąć zarzutów o polexit.

Temat polexitu jest fake newsem, goebbelsowską propagandą, którą opozycja próbuje grać. Decyzja TSUE ogłoszona tuż przed ciszą wyborczą (mam nadzieję, że to przypadek) wzmocniła ten przekaz i wielu wyborców z dużych miast uwierzyło, że mamy jakiś sekretny plan wyprowadzenia Polski z Unii. To są silne emocje i mamy świadomość, że pewnie będziemy musieli się z nimi zmierzyć także w kolejnej kampanii. Pamiętajmy jednak też o istocie naszego sporu z Komisją Europejską. Stoimy na stanowisku, że to państwa członkowskie, zgodnie z traktatami, mają wyłączne prawo kształtować swój ustrój władzy sądowniczej i z tej prerogatywy na pewno nie zrezygnujemy. Reforma sądownictwa była jedną z naszych obietnic wyborczych i do dziś prawie na każdym spotkaniu z ludźmi słyszymy, że idzie zbyt wolno. Nie możemy się teraz z niej wycofać. Jeśli chodzi o konflikt z Komisją Europejską, to w tej chwili ma on charakter wybitnie polityczny. Wiceprzewodniczący Komisji Frans Timmermans traktuje spór z Polską jako polityczną trampolinę, by przedłużyć sobie mandat na kolejną kadencję w Komisji Europejskiej. Co do procedury związanej z artykułem 7, to żadnych rozstrzygnięć w najbliższym czasie się nie spodziewam. Mniej więcej od lutego wszyscy będą już oczekiwać na wybory europejskie i ukonstytuowanie się nowego składu Komisji Europejskiej.

Czy to oznacza, że łagodzenia kursu nie będzie? To co z decyzjami Trybunału Sprawiedliwości?

Będziemy uwzględniać zarówno zabezpieczenie Trybunału, które zostało ogłoszone, jak i ostateczny wyrok, który zapadnie zapewne w połowie przyszłego roku. A co do łagodzenia kursu – jestem przeciwnikiem wyciszania wszystkich spornych kwestii na siłę, bo to nienaturalne. Spór w demokracji jest potrzebny, jest jej częścią. Uważam za to, że powinniśmy zamykać niepotrzebne fronty, bo często mieliśmy do czynienia ze sporami, które nie były z naszej strony intencjonalne, i w takich sprawach powinniśmy działać sprawniej.



Wiesław Chetminiak

Po pierwsze: zaskakiwać. Tej strategii Queen zawdzięczał swe sukcesy. Tymczasem filmowa biografia zespołu jest przewidywalna jak niedzielny rosół

Gdyby na etapie postprodukcji jakiś złośliwy wirus zniszczył cały nakręcony materiał i z „Bohemian Rhapsody” ocalałyby tylko ścieżka dźwiękowa, ludzkość nie poniosłaby wielkiej straty. Piosenki brytyjskiego kwartetu brzmią tu lepiej niż kiedykolwiek. Spora w tym zasługa Kanadyjczyka Marka Martela, obdarzonego przez naturę głosem równie potężnym co Freddie Mercury.

Szkoda, że oprócz natchnionego śpiewu i wspaniałej muzyki film zawiera również szeleszczące papierem dialogi oraz postacie wycięte kozikiem z drewna.

JESTEŚMY MISTRZAMI

Pogłoski o flircie weteranów z Queen z X muzą zaczęły się pojawiać dekadę temu, po sukcesie, jaki odniósł spektakl „We Will Rock You”. Na reżyserskiej giełdzie pojawiały się i znikwały różne nazwiska, od Stephena Frearsa do Davida Finchera (by wymienić tylko najbardziej znanych). Stało na Bryanie Singerze.

Wchodząc na plan „Bohemian Rhapsody”, miał już nieźle zszarganą opinię. „Seksista, rasista, a może nawet deprawator nieletnich” – szeptano po kątach. Skłócony z ekipą, wyleciał po dwóch tygodniach. Robotę dokończył Dexter Fletcher, który pożegnał się z projektem na jednym z wcześniejszych etapów. W napisach początkowych figuruje tylko Singer, bo takie są wymagania gildii reżyserów. Zmieniała się też obsada kluczowej roli. Frontmana Queen pierwotnie miał zagrać Sacha Baron Cohen. Podziękowano mu z powodu „różnic artystycznych”. Mocnym kandydatem wydawał się homoseksualista Ben Whishaw (Q z „Bondów”), lecz ostatecznie casting wygrał Rami Malek – Amerykanin z egipskimi korzeniami, który błysnął w serialu „Robot”.

Jak w kilka lat ze studenckiej kapeli stać się gwiazdą światowego formatu? Muzykom Queen sprzyjało szczęście – pojawili się w idealnym miejscu i czasie.



Przedstawienie nie trwa

Złota era rocka wchodziła w szczytową fazę, branża oczekiwała kolejnej „brytyjskiej inwazji”, łowcy talentów regularnie patrolowali londyńskie puby. Z ekranu padają słowa o wytyczaniu nowych dróg i przekraczaniu granic. Długowłosi muzycy przedstawiają się jako outsiderzy, którzy mieszając gatunki, podejmują niesłychane artystyczne ryzyko. Prawda jest trochę mniej malownicza. Mercury i jego koledzy zawsze płynęli z głównym nurtem. Zaczynali jako naśladowcy Led Zeppelin, by od pompatycznych kompozycji typowych dla epoki art rocka przejść płynnie do nowofalowego grania w stylu The Police i piosenek obficie polanych modnym, syntezatorowym sosem.

Od konkurencji odróżniało londyński kwartet charakterystyczne, rozpoznawalne od razu brzmienie gitary Maya i kaprysy frontmana: jego nieuleczalna skłonność do opery, wodewilu i wokalnych popisów. Albumy, sygnowane nazwą Queen, zadziwiała muzycznym eklektyzmem (określenie „postmodernizm” nie było jeszcze w powszechnym użyciu). Dla ortodoksów byli niestrawni,

zarzucano im brak powagi, wręcz odmawiano prawa do nazywania się zespołem rockowym. Reputację grupy ratowały koncerty. Na żywo „Her Majesty” prezentowała się znakomicie, czego nie da się powiedzieć o wielu ówczesnych idolach.

Podczas ostatniego w swym życiu tournée Freddie wpadł na nowy pomysł: przy dźwiękach „God Save The Queen” zakładał koronę i płaszcz gronostajowy. Jak na ironię czas królowania zespołu dobiegał już końca, nie tylko z powodu choroby wokalisty. Listy przebojów zdominowane były przez wykonawców młodej generacji, rząd dusz przejmowali Irlandczycy z U2. Z filmu wynika natomiast, że Queen działał w próżni. Złota płyta Pink Floyd wisząca na ścianie producenta, pośpieszna wyliczanka gwiazd zwerbowanych przez Boba Geldofa do udziału w Live Aid i on sam, gapiący się w telewizor – to wszystko, czego dowiadujemy się o brytyjskim pop-rocku z lat 1970–1985.

Po 1991 r. wyszła na jaw brutalna prawda: Queen bez Mercury’ego to jak The Doors bez Jima Morrisona. Scenarzyści musieli ten fakt respektować, poświę-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wisty. W 1981 r. w Argentynie wokalista paradował na scenie w koszulce z logo znanego londyńskiego klubu dla kochających inaczej. Brakowało tylko kropki nad i w postaci publicznej deklaracji. Tej jednak autor przeboju „Dont’ Stop Me Now” wolał uniknąć. Na coming out zdecydował się dopiero na łożu śmierci, o co działacze ruchu LGBT do dziś mają do niego pretensje.

Scenarzyści wybrali bezpieczny stereotyp. Idol jest bogaty, lecz nieszczęśliwy i w gruncie rzeczy samotny (w rzeczywistości stale był otoczony dworem).

Miłość jego życia to poznana jeszcze w 1970 r. dziewczyna pracująca w sklepie z odzieżą. Przez całą dekadę odgrywała rolę oficjalnej narzeczonej. Mercury wysoko ocenił poświęcenie Mary Austin, zapisując jej w testamencie połowę majątku. W filmie rozpusta muzyka (którą się publicznie chlubił) została ledwie zamaskowana.

INTRYGNA RODZINNA

W każdej bajce musi pojawić się zły czarownik. W „Bohemian Rhapsody” jest nim niejaki Paul Prenter, który latami zerował na frontmanie Queen, odseparował go od dawnych przyjaciół, pchnął w stronę sodomii (czym pośrednio przyczynił się do jego przedwczesnego zgonu), a zdemaskowany udzielił wywiadu brukowcowi „The Sun”. Tak się pechowo składa, że ten wstrętny Judasz bronić się nie może. Zmarł na AIDS kilka miesięcy przed swym chlebodawcą.

Deacon po śmierci frontmana udał się na zasłużoną emeryturę. May i Taylor nie potrafili zejść ze sceny. W filmie ustami aktorów wypominają Mercury’emu, że bez nich niewiele zdziałał. Cóż, oni bez niego jeszcze mniej. Z ekranu co rusz padają zapewnienia, że Queen był jak rodzina. Dziwnym trafem wokalista został obsadzony w roli syna marnotrawnego. To on za plecami Briana, Johna i Rogera zwalnia menedżera i podpisuje solowy kontrakt. Obgaduje ich za plecami, twierdząc, że nie są jego przyjaciółmi, tylko odskocznią. To on pije, ćpa i oddaje się wszechczelnym rozrywkom. Oni go ostrzegają przed konsekwencjami takiej postawy, zde gustowani wychodzą z nowobogackiej imprezy, na której Freddie rozdaje gościom

paczki banknotów. W kwestiach zawodowych też dochodzi do rozzłości: on forsuje dyskotekowe brzmienia, oni zaś wzbraniają się, jak na strażników świętego rockowego ognia przystało.

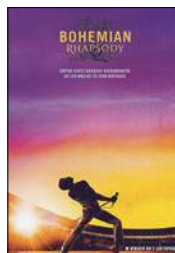
PAZERNI I BEZIDEOWI

Fabularną kłamrą jest tu koncert Live Aid pokazany jako kulminacyjny moment kariery Queen. Pomysł mało oryginalny, skorzystał z niego choćby Mark Blake, autor biografii zespołu wydanej w 2010 r. Można z tym polemizować: był to zaledwie 20-minutowy set, panowie wcześniej i później bywali w lepszej formie. Zmiotli konkurencję, bo grali najgłośniej i zamiast – jak inni – lansować nowe, niekoniecznie udane utwory, postavili na wypróbowane hity.

Teza, że występ na Wembley przyczynił się do konsolidacji grupy, została wyssana palca. To nieprawda, że z powodu ambicji Mercury’ego kwartet stał na krawędzi rozpadu. Muzyczne skoki na boki uprawiali także May i Taylor, a solowa aktywność wokalisty nigdy nie kolidowała z działaniami zespołu. Udział w dobroczynnej imprezie miał znaczenie nie tylko prestiżowe. Pozwolił zatrzeć wspomnienie serii koncertów w RPA bojkotowanej przez zachodnich muzyków. Prasa ciskała wtedy gromy na pazerność i bezideowość muzyków Queen.

Przed wyjściem na scenę Freddie wyznaje kolegom, że ma AIDS. W rzeczywistości badania wykonał dopiero wiosną 1987 r. i wcale nie kwapił się, by poinformować „rodzinę” o swym stanie zdrowia. Takich przekłamań jest w filmie więcej.

Ktoś może powiedzieć, że to czepialstwo. „Bohemian Rhapsody” nie jest jednak filmem dokumentalnym. W porządku, ilustrowanie początków kariery Queen przebojami z późniejszego okresu można uznać za nonszalancję, anachronizmy za wypadki przy pracy, lecz nie na tym polega mój kłopot z ostro reklamowanym produktem wytwórni 20th Century Fox. Martwię się, że film – który zamiast oddalać nas od prawdy o Mercury’u i jego „rodzinie”, zbliży nas do niej – będzie można nakręcić dopiero, gdy umrą wszyscy uczestnicy i świadkowie zdarzeń. Tylko kogo to wtedy będzie obchodzić?



★★★★★

REŻ. BRYAN SINGER
„BOHEMIAN RHAPSODY”
USA/WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Rami Malek,
Lucy Boynton,
Gwilym Lee

cić frontmanowi najwięcej uwagi. Film oddaje ambiwalentny stosunek, jaki mieli do niego koledzy z zespołu. W studiu samouk Freddie zamęcza wszystkich swym dążeniem do doskonałości. Prywatnie jest nieśmiały, na scenie przeistacza się w samca alfa. Skłonni jesteśmy wierzyć, że jego ekscesy były pochodną kompleksów. Imigrant z kolonii z widoczną wadą zgryzu nawet w kosmopolitycznym Londynie miał pod górkę. Farrokh Bulsara tak bardzo chciał się zintegrować z Brytyjczykami, że udawał kogoś, kim nie był.

Może dlatego włączył do swego repertuaru antyczny przebój The Platters „Great Pretender”?

Autorzy „Bohemian Rhapsody” największy zgryz mieli z hedonizmem głównego bohatera. Mercury-Bulsara prowadził wybitnie niesportowy tryb życia, przechwalał się, że nie wstaje przed trzecią po południu. Na początku kariery pozował na dandysa, jednak z biegiem czasu jego image stawał się coraz bardziej jednoznaczny. Homoseksualizm Freddiego dla ludzi z branży był oczy-



Piotr Gociek

Weź trochę terroru z „Homelandu” i nieco polityki z „House of Cards”, dołóż dobrą obsadę i wykorzystaj najlepsze wzorce brytyjskich seriali policyjnych – sukces gwarantowany. Sukces serialu „Bodyguard”

Wróg wewnętrzny

Czekamy na swoje wystąpienia na warszawskim Comic Conie, ale Marcin Ciszewski, popularny autor kryminałów i powieści historycznych, wcale nie chce mówić o historiach alternatywnych. Pierwsze, co słyszę z jego ust, to: „Czy oglądałeś »Bodyguarda«? Chłopie, ale serial!”. Nie jest pierwszy, już kilka takich podeksytowanych opinii trafiło do mych uszu w poprzednich dniach. Zaglądam do sieci. „Brytyjska sensacja tego roku” – czytamy. „Najlepszy brytyjski serial od lat”. „Pytanie nie brzmi, czy oglądasz »Bodyguarda«, tylko czy już skończyłeś?”. I tak dalej. Włączam Netflixa. Jest. Nowość. No i niedziela z głowy.

Sześciiodcinkowy „Bodyguard” to produkcja BBC1, zatem największej i najbardziej prestiżowej anteny brytyjskiego giganta, a człowiekiem, który stoi za jego sukcesem, jest Jed Mercurio, od niemal ćwierćwiecza pracujący dla telewizji. Przeglądam dorobek: jego poprzedni serial (policyjny) „Line of Duty” mało mnie poruszył. Wśród wcześniejszych produkcji jest „Bodies” (2004) – i tu już pamiętam, że byłem pod wrażeniem, bo to jeden z najlepszych seriali szpitalnych, jakie widziałem, ze świetną główną rolę Maxa Beesleya, który miał w sobie coś z intensywności młodego Ewana McGregora, tyle że był bardziej mroczny.

Jed Mercurio zatem to stary wyjadacz, który na telewizyjnej rozrywce zjadł zęby. Czego nowego można spodziewać się po rutyniarzu? Po obejrzeniu „Bodyguarda” już wiem: inwencja nie musi przejawiać się w nowatorstwie, bo wszystkie kawałki, z których ulepiono ten serial, już znacie. Polityczna rywalizacja i toksyczne ambicje, spory o kompetencje między policją a tajnymi służbami, kłopoty z adaptacją wojennych weteranów, którzy nadstawiali karku w Iraku i Afganistanie, narastające problemy Europy Zachodniej z wrogiem wewnętrznym – ochotnikami na świętą wojnę islamistów, którzy wychowali się na angielskich ulicach, a nie zostali importowani z Bliskiego Wschodu. Gorące od początku wojny z terrorem pytanie o to, gdzie wytyczyć granicę między tym, co konieczne, by bronić wolności, a tym, co już obywatelom tę wolność odbiera.

Można jednak z tych elementów ułożyć fascynujący thriller, przykuwający widza do ekranu telewizora tak mocno,

FOT. NETFLIX

że ma ochotę połączyć od razu wszystkie sześć odcinków „Bodyguarda”.

PODWÓJNE ŻYCIE

Główny bohater zwie się David Budd, jest byłym żołnierzem, który w zamorskiej wojnie przeciw terrorowi brał udział przez 10 lat. Cel ostatnich misji – Afganistan. Teraz David pracuje w policji, specjalizacja: ochrona ważnych osób. Bieczny nabytek dla służby, ma odpowiednie doświadczenie, świetnie posługuje się bronią, w otwierającej serial scenie odkryjemy także, że nieobce są mu techniki negocjacji i przede wszystkim, że dobrze zna psychikę wroga. David wie jednak podwójne życie. Za dnia zimny profesjonalista, wręcz perfekcjonista, wieczorami nie stroni od kieliszka i nachodzi żonę (aktualnie w separacji) opiekującą się dwojgiem ich dzieci. Nie potrafi zrozumieć, że ostateczne fiasko, ku któremu zmierza jego małżeństwo, wywołane jest jego własnymi problemami. Cóż z tego, że kocha rodzinę, skoro nękany przez zespół stresu pourazowego jest jak odbezpieczony granat toczący się po londyńskich ulicach? Nie wiadomo, kiedy eksploduje i ilu niewinnych może paść ofiarą jego wybuchu.

Sierżant Budd szybko awansuje – zostaje szefem ochrony najważniejszej po premierze figury w rządzie. Julia Montague jest ministrem spraw wewnętrznych. Właśnie zaangażowała się w przepychanie przez parlament kontrowersyjnej ustawy, dającej policji i służbom specjalnym nowe, bardzo szerokie uprawnienia. Podczas gdy na ulicach Londynu trwają demonstracje przeciwników nowego prawa, oskarżających panią Montague o wprowadzanie państwa policyjnego i odebranie obywatelom prywatności, ona sama tłumaczy: – Nie interesuje mnie to, że wpisujecie w swoje wyszukiwarki słowo »boobs«, interesuje mnie natomiast, gdy ktoś wpisuje słowo »bomb«.

Minister Julia Montague ma swoje polityczne ambicje. W każdej chwili może rzucić wyzwanie premierowi, by zająć jego stanowisko. Tymczasem Londyn ogarnia strach – serial zaczyna się od udaremnienia zamachu terrorystycznego na pociąg, wszelkie poszlaki wskazują, że do akcji ruszyła głęboko zakonspirowana grupa dżihadystów i można się spodziewać kolejnych aktów przemocy. Strach jest sprzymierzeńcem Montague, szeregi zwolenników nowej ustawy rosną w par-

lamencie. Jednak ona sama, jako wytrawny polityk, wie, że to za mało. Od swych współpracowników wymaga, by znaleźli sposób na przekonanie wyborców. To zrozumiałe – jeśli naprawdę myśli o fotele premiera, to musi przekonać do siebie zwykłych ludzi.

KWESTIA LOJALNOŚCI

Montague kreuje się na silną kobietę w słabym rządzie, zresztą zawsze miała zdecydowane poglądy, m.in. w przeszłości wspierała udział Wielkiej Brytanii w zamorskich zbrojnych eskapadach. To stawia naszego bohatera, aktualnie jej ochroniarza, na nietypowej pozycji. Sierżant David Budd wojowania ma dosyć i uważa, że zachodnie interwencje w Iraku i Afganistanie były bezsensowną jatką, w której wielu jego towarzyszy broni niepotrzebnie straciło życie lub zdrowie. Teraz ma chronić kobietę, której poglądy w tych kwestiach są całkowicie odmienne od jego własnych.

W roli Budda niespodziewanie błyszczy Richard Madden, który sympatię fanów i sławę zdobył dzięki „Grze o tron” (grał Robba Starka, króla Północy, zdradziecko zamordowanego podczas Krwawych Godów). Sukces „Bodyguarda” to (pomijając dobry scenariusz i solidną reżyserię) przede wszystkim jego zasługa, bo jako znerwicowany ekszołnierzysta wypada znakomicie. Balansujący na krawędzi załamania nerwowego główny bohater zapewnia serialowi dodatkową porcję emocji, a skomplikowana mapa jego relacji z żoną, kumplami weteranami oraz ochranianą polityk sprawia, że nigdy nie wiemy, na którą stronę przechyli się jego sympatia i przede wszystkim jego lojalność.

Wspominałem wcześniej, że twórca „Bodyguarda” układa na nowo klocki znane z innych produkcji – w przypadku postaci Budda wyraźne są dwie linie inspiracji. Pierwsza jest oczywista, w brytyjskich kryminałach straszących żołnierzy mieliśmy wielu. Jeśli nie weteranów z Irlandii Północnej, to z Falklandów, jeśli nie z Falklandów, to z Iraku. Zwykle w roli łotrów, a nie postaci pozytywnych. Druga inspiracja wiedzie nas w stronę innego przeboju telewizyjnego ostatnich lat, ale już zza

Atlantyku – niestabilny Budd odgrywa w „Bodyguardzie” rolę podobną do tej, jaką miała psychicznie zaburzona Carrie Mathison (świetnie sportretowana przez Claire Danes) w serialu „Homeland”. Czy naprawdę widzi więcej od innych, czy pograża się w otchłani szaleństwa? Richard Madden jako sierżant Budd jest perfekcyjny, Pan Doskonały, gdy pełni swoje służbowe obowiązki, a jednocześnie nieszczęśnik nękany traumą, czasem wściekły, czasem bezradny, gdy maska opada.

Rozgrywki polityczne w „Bodyguardzie” przywodzą z kolei na myśl „House of Cards”, zabiegi PR-owskie z kolei to, co Brytyjczycy ładnie uchwycili w farsowym sitcomie „Absolute Power” czy już poważniej, z zimnym szyderstwem, w „The Thick of It”. Polityka, wojna, zbrodnia, terroryzm, interesy małe i duże, ambicje chore i ambicje zrozumiałe – wszystko to zgrabnie połączono w jedną historię, nie zapominając jednocześnie o dobrych wzorcach brytyjskich seriali policyjnych.

Magnetycznego Maddena już chwaliłem, reszta obsady także spisuje się bez zarzutu. Dobra jest Keeley Hawes jako minister Julia Montague, podobnie Sophie Rundle jako żona sierżanta Budda (możecie ją pamiętać z „Peaky Blinders”). W odróżnieniu od wymuska-nych produkcji amerykańskich nie mamy kłopotu z przyjęciem, że po ekranie spacerują wiarygodne postacie, nie aktorzy o urodzie lalek, ale zwyczajni gliniarze, zwyczajni politycy i ich zwyczajni asystenci.

Kiedy mija już gorączka oglądania, zaczynamy zdawać sobie sprawę z pewnych słabości. Czy naprawdę gością z tak dużymi problemami psychicznymi

dopuszczono by do tak ważnej roboty jak ochrona VIP? Czy przepuszczenie portretu pamięciowego jednego z drugoplanowych bohaterów przez bazę danych armijnych weteranów musiało trwać tak długo? Można szukać dalej. Ale po co? Mówimy o rozrywce telewizyjnej opowiedzianej tak wciągająco, że na wszelkie nieprawdopodobieństwa widz nie zwraca uwagi. Świadczy to oczywiście jedynie na korzyść tych, którzy tak zrećnie potrafili opowiadać.



★★★★★
KREATOR: JED MERCURIO
„BODYGUARD”
WIELKA BRYTANIA
2018

wyst. Richard Madden, Keeley Hawes, Sophie Rundle,
dyst. Netflix



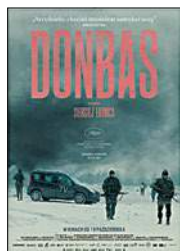
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Witajcie w Noworosji!



★★★★★
REŻ. SIERGIEJ
ŁOŹNICA
„DONBAS”
FRANCJA/
HOLANDIA/
NIEMCY/
UKRAINA/
RUMUNIA 2018

wyst. Waleriu
Andriuta, Natalia
Buzko, Jewgienij
Czysziakow

Dokumentalista Sergiej Łoźnica idzie tropem ekstremisty Wojciecha Smarzowskiego. Nakręcił film śmieszny i straszny zarazem. Stężenie absurdu przekracza dopuszczalne normy, jednak bohaterowie „Donbasu” zdają się tego nie zauważać. Przywykli do funkcjonowania w rzeczywistości, która zewnętrznemu obserwatorowi może przypominać kiepski kabaret albo cyrk w budowie. Tyle że ostatnio na ten cyrk zaczęły spadać prawdziwe bomby, a wygłodniałe zwierzęta wyszły z klatek.

Ukraiński kandydat do Oscara do złudzenia przypomina telewizyjny reportaż, konia z rżędem temu, kto odróżni aktorów od naturszczaków. Łoźnica przewrotnie zaczyna od obnażenia mechanizmu propagandowej ustawki: ucharakteryzowani

statysty pomstują na ukraińską armię, bombardującą blokowisko. Pociski faktycznie spadają, wybuchy puentują niejedną scenę, lecz kto strzela – Bóg jeden raczy wiedzieć. Niektóre ofiary są przypadkowe, inne wręcz przeciwnie. Uchodźcy gnieźdzą się w pozbawionych prądu, wody i ogrzewania ruderach, oprowadzają po nich dziennikarzy z dziwnym, ocierającym się o masochizm entuzjazmem („Zobaczcie, jak my tu żyjemy!”).

Diagnoza Łoźnicy nie jest oryginalna: za przyzwoleniem Moskwy w „ludowych republikach” wykrojonych ze wschodnich terenów Ukrainy rozkwitła kleptokracja. Do władzy dorwali się pospolici złodzieje, ściągający haracze, z kogo popadnie. W jednej z najlepszych scen właściciel wypasionej bryki zostaje zmuszony do przekazania

jej „w tymczasowe użytkowanie”. W innej niemiecki korespondent spotyka „zielonych ludzików” udających pospolite ruszenie. Dowiaduje się od ich rzekomego dowódcy, że walczą z faszystami. Z kolei wzięci z łapanek żołnierze noworosyjskiej armii są duchowymi braćmi dzielnego wojaka Szwejka.

Dla fanów postsowieckiej estetyki to prawdziwa uczta. W „ludowych republikach” jest tak brudno i brzydko, że aż pękają oczy. Sekretarka z państwowego urzędu nosi się jak prostytutka. Zapasy papieru toaletowego, wody mineralnej i lodówka pełna mięsa stanowią koronny dowód korupcji. Nawet okoliczności przyrody są odpychające: film kręcono późną jesienią (albo wczesną wiosną). Znikąd nadziei, znikąd pociechy. „Świat nam uraga, ręki nikt nie poda/ wszędzie ból, gorycz, wszędzie zła pogoda”.

Reżyser z podziwu godną skromnością zapewnia, że jedynie odwzorował amatorskie filmiki z telefonów komórkowych, wyłowione z odmętów Internetu. Obstawiam jednak, że co najmniej jedną sekwencję wymyślił sam. I że podoba mu się sposób, w jaki Michelangelo Antonioni zakończył opowieść o pewnym znudzonym życiu reporterze. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ALFA”

Najbardziej oczekiwany film na tematy prehistoryczne od czasów „Walki o ogień”. Cofamy się o dwadzieścia tysięcy lat. Mały Keda podczas swego pierwszego polowania na bizona zostaje odcięty od własnego plemienia. Droga do domu będzie trudna i długa, ale spotkanie z pewnym wilkiem zmieni historię nie tylko Kedy, lecz także

relacji ludzi ze zwierzętami. Tak, chodzi o to, jak człowiek oswoił psa. Prosta historia, przepięknie sfilmowana. ©©

Piotr Gociek

• „Alfa” („Alpha”), reż. Albert Hughes, wyst. Kodi Smit-McPhee, Jóhannes Haukur Jóhannesson, Marcin Kowalczyk, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Winni” („Den skyldige”), reż. Gustav Möller, Dania 2018
- „Planeta Singli 2”, reż. Sam Akins, Polska 2018
- „Klakson i spółka” („Wheely”), reż. Yusry Abd Halim, Malezja 2018

Kompleks Napoleona

Anglosasi długo żyli w cieniu żabojadów. Dali sobie wmówić, że są – w odróżnieniu od sąsiadów – nieokrzesanymi gburami. Ta pedagogika wstępu psuła wypiarzom samopoczucie przez wiele wieków. Nawet w epoce imperialnej w salonach Londynu można było usłyszeć, że jeden francuski malarz, muzyk albo wierszokleta ma więcej talentu i wdzięku niż setka angielskich artystów (o Szkotach nie wspominając).

Dzisiaj role się odwróciły: to paryżanie małpują Brytyjczyków. Młody zdolny Romain Gavras, zamiast podążać śladem ojca piętnującego grzechy kapitalizmu, napisał kamerą list miłosny do młodego Guya Ritchiego. Na widzów czeka moc atrakcji: gang Kongij-

czyków z blond czubami, dzieciak w roli capo di tutti capi, Cassel jako umysłowo ociążony amator spiskowych teorii, Adjani z wyprasowaną twarzą jako hazardzistka i złodziejka.

W tym teatrze groteski jedyną sympatyczną postacią jest maminsynek Fares, któremu marzy się uczciwy biznes i domek z siedmiometrowym basenem. Nie mając innego wyjścia, kibicujemy temu nudziarzowi, mając nadzieję, że przechrzty całą resztę. Scenarzyści, siłą się na dowcip, ukuli nowy termin: „islami-styczny narkoteroryzm”, ale nie dajmy się zwieść. Ten film powstał głównie po to, by pokazać, jak francuski safandula upokarza arogancję Angolę. ©©

Wiesław Chęłmianiak



★★★★★

REŻ. ROMAIN GAVRAS
„THE WORLD IS YOURS”
(„LE MONDE EST À TOI”)
FRANCJA 2018

wyst. Isabelle Adjani, Vincent Casel, Karim Leklou



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CUD NA PRZEDMIEŚCIACH

Robił je Frank Capra, ale dziś nie kręci się już poważnych bajek dla dorosłych. A jednak cud się wydarzył i do kin trafił film „Tully” – najlepsze, obok „W chmurach”, osiągnięcie Jasona Reitmana (i współpracującej z nim regularnie scenarzystki Diablo Cody – razem stworzyli „Juno” i „Kobietę na skraj dojrzałości”). Na ekranie króluje Charlize Theron, której pominięcie w oscarowych nominacjach będzie zbrodnią. Gra zmagającą się z wewnętrznym kryzysem panią domu, którą narodziny trzeciego dziecka doprowadzają na skraj wytrzymałości psychicznej. Marlo nie potrafi poradzić sobie ze swoim życiem, choć odrzuca wszelkie próby pomocy dopóty, dopóki jedna z nich nie wyda się jej akceptowalna. Tak na scenę wkroczy Tully (Świetna Mackenzie Davis), ale zaskoczenia dopiero nadejdą. Kto wszędzie widzi problemy, tego życie jest jednym wielkim problemem, kto kocha, ten musi widzieć więcej. Sprawdźcie, co zobaczą bohaterowie tej delikatnej, przemysłnie utkanej opowieści.



wyst. Charlize Theron, Mackenzie Davis, Ron Livingston

★★★★★

REŻ. JASON REITMAN
„TULLY”
USA 2018,
M2 FILMS

PANIE BIJĄ PANÓW

Siostra Danny'ego Oceana (w filmach Soderbergha grał go George Clooney) też potrafi organizować śmiałe kradzieże. Po latach odsiadki wychodzi na wolność i natychmiast zabiera się do roboty. Celem są diamenty Cartiera. Debbie Ocean (Sandra Bullock) dobiera wyjątkowo żeńską ekipę. To staje się okazją do wprowadzenia na scenę kilku przezabawnych postaci, wśród których wyróżniają się Helena Bonham Carter jako podupadła projektantka mody oraz Anne Hathaway jako puściutka gwiazda kina. Postacie męskie są blade i nieciekawe, z wyjątkiem detektywa ubezpieczeniowego (James Corben). Zabawa jest dobra, dialogi cięte. Kinowa błyskotka. Rozczarowuje nieco jedna osoba – poprawianie urody Sandry Bullock skalpelem sprawiło, że jest w stanie dobrze wyglądać, ale grać już nie bardzo. Nie zmienia to tego, że powstanie „Ocean's 9” i „Ocean's 10” wydaje się przesądzone. ©©



wyst. Sandra Bullock, Cate Blanchett, Helena Bonham Carter, Anne Hathaway

★★★★★

REŻ. GARY ROSS
„OCEAN'S 8”
(„OCEAN'S EIGHT”)
USA 2018,
GALAPAGOS

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „RED DEAD REDEMPTION 2”

Zmierzch Dzikiego Zachodu, początek intensywnej industrializacji Ameryki i jeden z ostatnich gangów, który szuka swojego miejsca w nowym świecie. Tak z grubsza wygląda fabuła najgłośniejszej premiery jesieni. Czy dźwiga ona ciężar oczekiwań, który zawsze spoczywa na barkach twórców

słynnego GTA? Zdecydowanie tak. Grafika jest piękna i pełna szczegółów, fabuła, choć rozwija się powoli, z czasem przyspiesza. Stany, wykreowane przez Rockstar Games, po prostu żyją własnym życiem, w którym główny bohater czasami wygląda jak gość. Minusem są momentami toporne



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sterowanie i błędy techniczne, które czekają na patcha. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG/TPP
- **Platforma:** PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Rockstar Games/Cenega
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 18+



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kossaków sprawy poważne

W ostatni dzień 1856 r. w Paryżu, w niewielkim mieszkaniu malarza Juliusza Kossaka, akuszerka odbierała poród jego żony Zofii. Była to ciąża bliźniacza; pierwszy chłopiec – Wojciech, urodził się jeszcze przed północą, w 1856 r., drugi – Tadeusz, już w roku 1857. Starszy zostanie malarzem, dorównującym w sławie ojcu, młodszy miał być lekarzem, w końcu jednak zabrał się do gospodarowania. Podobni do siebie jak dwie krople wody za żony wzięli sobie panny Kisielnickie, kuzynki Marię i Annę. Ich posagi pomogły zbudować i umocnić dom w Krakowie, gdzie w Kossakówce zamieszkał postrzegany jako człowiek sukcesu Wojciech, i dwór w Koźminie na Lubelszczyźnie, pierwszy dom Tadeusza, wkrótce przez niego stracony, podobnie jak kolejne majątki.

O nich i ich rodzinach – a przypomnijmy, że Tadeusz był ojcem pisarki Zofii Kossak-Szczuckiej, Wojciech zaś poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, satyryczki Magdaleny Samozwaniec i malarza Jerzego Kossaka – opowiada Joanna Jurgała-Jureczka w trochę, ale tylko trochę, zbeletryzowanej historii tej wyjątkowej rodziny. Korzysta z wszystkich dostępnych źródeł, dociera do potomków Kossaków, otwiera niepublikowane wcześniejsze listy, ujawnia skrywane dotąd skandale. Dba też jednak o wizerunek rodu, jak najdalsza jest od epatowania czytelników sensacyjkami i niesprawdzonymi wiadomościami, tyle że nie zamyka pod dywan tego, o czym do tej pory mówiono, owszem, całkiem głośno, nie pisano jednak otwarcie. Są to bowiem sprawy niełatwe.

Dość przypomnieć, że prawdziwe nazwisko wywiezionej w czasie okupacji do Auschwitz Zofii Kossak zdradził Niemcom zięć Magdaleny



FOT. KAREL OLECH

Samozwaniec, mąż jedynej jej córki, z którą potem zerwała stosunki. Odstawiona na warszawski Pawiak autorka „Pożogi” skazana została na śmierć. Szczęśliwie, wykupiona przez władze Polskiego Państwa Podziemnego, przeżyła i ten wyrok, i powstanie warszawskie, i całą wojnę. Rodzinna zadra jednak pozostała, a jest ich – niemal tak samo poważnych – więcej. Dowiadujemy się np., że o współpracowanie z Niemcami podejrzewana była też żona Jerzego Kossaka, Ewa. Zdekonspirowanie Zofii Kossak to jednak nie podejrzenie; z akt IPN wynika, że ów zięć Magdaleny Samozwaniec, pochodzący z hrabiowskiej rodziny Henryk Plater-Zyberk, był agentem gestapo o pseudonimie Bill. Prowadzono przeciwko niemu śledztwo, ale niemal od razu po wojnie wyjechał z żoną z kraju.

„Magdalena rozmawiała z Zofią o swojej córce – pisze Joanna Jurgała-Jureczka – z innymi rozmowę na jej temat uciniała. To była ich tajemnica. Rodzinna. To była ich sprawa. Jak zareagowała Zofia Kossak na

wiadomość o zdradzie? Nie wiemy. Na pewno musiały sobie spojrzeć w oczy. Bardzo poważnie. To była przecież sprawa życia i śmierci”.

A co z Jerzym Kossakiem, z pewnością malarzem gorszym od ojca i dziadka, ale i nieciekawym człowiekiem? Czy jednak, jak wynika z innej książki o Kossakach: „Kossakowie bez cenzury” Rafała Podrazy, Jerzy kolaborował z Niemcami, a po 1945 r. współpracował z Urzędem Bezpieczeństwa? W każdym razie w dokumentach UB figurował jako „Malarz”. Zofia Kossak nazwała go „wykolejonym, smutnym typem”.

Trzeba też powiedzieć, że stosunki między stryjczym rodzeństwem do wzorowych nigdy nie należały. Zofia Kossak chyba najlepszy tom Marii Pawlikowskiej „Pocałunki” określiła, z wyraźnym lekceważeniem, jako „wytrząsanie piórek z rękawa”. A gdy ukazała się „Maria i Magdalena” Magdaleny Samozwaniec, też nie okazała zadowolenia. „Z jednej strony – czytamy – śmieszyły ją niezliczone powiedzenia i dowcipuszeki Madzi, a drugiej – raziła jej nadmierna szczerość [...]». «Marię i Magdalenę» oceniła jako książkę przeraźliwie posępną przez swój cynizm (naiwny?) czy też naiwność cyniczną”.

Dla Lilki i Madzi była ich stryjeczna siostra „Pożoga”, gdy wróciła do kraju po powojennej emigracji, Samozwaniec złośliwie nazywała ją „Zosią Paxosią”. I gdy na warszawskim lotnisku witała pisarkę „cała Polska”, wśród witających autorki „Marii i Magdaleny” nie było. Nie wiadomo nawet, czy w PRL choć raz spotkały się osobiście. Gdy Zofia Kossak umarła w 1968 r., jej prawie siostra też nie przyjechała do Górek, tylko wysłała telegram. Sama umrze cztery lata później. Na świecie nie było już Marii – od 1945 r., ani Jerzego – od 1955 r. A Kossakówka obracała się w ruinie w tempie przyspieszonym. ©©



★★★★★
JOANNA JURGAŁA-JURECZKA
„KOSSAKOWIE.
BIAŁY MAZUR”
ZYSK I S-KA 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W kraju intymności

Spodziewałem się najgorszego. Cóż bowiem zwiastował tytuł? „Ten kraj” to wszak ulubiony zwrot tych, którzy za Polską niezbyt przepadają i zamiast „w Polsce” mówią „w tym kraju”, „tego kraju”, koniecznie z odpowiednią nutką pogardy pomieszanej z wyższością. Anna Arno do tego chóru nie dołącza, jej książka to raczej nostalgiczny list miłosny do miejsca, w którym przyszło jej żyć. I nie jest z tego powodu nieszczęśliwa.

„W moim kraju lubię nawet to, czego nie lubię” – przekornie informuje już na wstępie autorka, a potem przeplata wspomnienia z trzeźwymi ocenami, trochę nawet prostując zwolenników upatrywania „w tym kraju” przyczyn wszelkiego zła. Nie wszędzie najładniejszy, fakt, ale inne kraje lepiej nie wyglądają. Wenecja przecież Polska nie jest. Jednak który kraj jest w całości Wenecją? „Brzydota nie jest naszym przywilejem. Ohyda zdarza się również w innych krajach”. I ludzie, na których tak bardzo rodzimi ojkofoobi lubią narzekać: że nie najlepiej ubrani, często z nadwagą, krzykliwi, czasem skąpi – Arno przykładą miarę do swoich oraz do innych i wychodzi jej remis, bo aniśmy specjalnie lepsi, ani gorsi. A kiedy spojrzymy na ból historii, na ciężkie doświadczenie, które każdy tu zrodzony – chcąc nie

chcąc – nieść musi, to nawet okaże się, że może w swym wycofaniu jesteście bardziej eleganccy? „Nie chcieliśmy się swoją biedą chlubić. Ciężkim losem, bocznym torem historii. Woleliśmy trzymać klasę jak zdegradowana arystokratka, w jednej sukni, ale za to ze świetnego materiału”. Duma ma swą cenę oczywiście. „Fałszywie skromni, czekamy, aż ktoś nas wyróżni”.

„Ten kraj” nie jest jednak książką publicystyczną o narodowym charakterze Polaków, lecz delikatną prozą, która czasem mogłaby być wierszem. Drobne, krótkie impresje pod piórem Podsiadły zamieniałyby się pewnie w kolejne rozdziały jego poetyckiego życiopisania. U Arno są pocztówkami z przeszłości, gdy wspomina podwórka, zapachy i szkoły z dzieciństwa, albo ciekawymi zabawnymi obserwacjami z teraźniejszości, tak jak wtedy, gdy pięknie (choć z humorem) portretuje pasażerów pociągu gnającego do Warszawy. To proza intymna, mocno kobieca tam, gdzie autorka rozważa niedole cielesności,



★★★★★
ANNA ARNO
„TEN KRAJ”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018

niby w szerszym kontekście, ale ewidentnie wychodząc od własnych traum. Nie wini jednak za swoje kłopoty „tego kraju” (który polubiła i pokochała) i to czyni jej książkę wyjątkową, na tle rozmaitych pełnych pretensji do Polski dzieł młodzi aspirującej do salonów literackich III RP. ©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W encyklopediach stoi: „żeglarz”. Jednak Krzysztof Grabowski oprócz tego, że jako pierwszy Polak samotnie przepłynął Atlantyk, był także strzelcem z polskiego Dywizjonu 301 oraz uciekinierem z obozu internowania. Oto jego barwna biografia.



ADAM HAŁAT
„MIŁOŚĆ
AŻ PO GRÓB”
ARCA

Drony, aktywne opancerzenie (niszczy nadlatujące pociski mikrokulkami), rakiety, satelity. Czyli rzecz o tym, jak najbardziej obłożone państwo świata inwestuje w nowatorskie technologie militarne i osiąga niezwykle rezultaty.



YAAKOV KATZ,
AMIR BOHBOT
„CZARODZIEJE
BRONI”
REBIS

Książka omówiona na wszelkie sposoby w prasie sportowej, ale warta zauważenia i przez innych czytelników. To bowiem opowieść nie tyle o piłce, ile o przerażających skutkach choroby alkoholowej pożerającej karierę. I duszę.



DAWID JANCZYK
„MOJA
SPOWIEDŹ”
SQN

Jak kolumbijski narkobiznes wszedł na rynki Europy? Przez hiszpańską Galisję, gdzie przymyt od wieków był sposobem na życie. Na podstawie książki hiszpańskiego dziennikarza powstał już serial „Kokainowe wybrzeże”. ©



NACHO
CARRETERO
„GRAM KOKI”
POST FACTUM

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- 1. Anja Rubik „Sxed.pl” (W.A.B.)** – modelka Anja Rubik „łamię tabu” w 18 rozmowach o seksie. Tyleż puste, co głupie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.
- 2. Harlan Coben „Nie odpuszczaj” (Albatros)** – małe miasteczko i jego sekrety, od słodkich lat 50. do 90. Znany autor kryminałów wraca w dobrej formie.
- 3. Heather Morris „Tatażysta z Auschwitz” (Marginesy)** – opowieść o Lale Sokołowie.
- 4. Nicholas Sparks „Z każdym oddechem” (Albatros)** – facci też piszą bestsellery dla pań. Nowa powieść autora „Listu w butelce” i „Dla ciebie wszystko”.
- 5. Wiesław Myśliwski „Ucho igielne” (Znak)** – dwukrotny laureat Nike o śmierci, miłości i przede wszystkim strachu przed życiem w niepewnym świecie.
(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 8 do 21.10.2018 r.)

Anna Maria z Mazowsza

FOT. ROBERT WOLANSKI/MATERIAŁY PRASOWE



Cieszy się wolnością w swojej twórczości Anna Maria Jopek. Jak mówi – wybrała jazz, „bo jest wolnością, a ta była dla mnie zawsze najważniejsza”. Wolność przejawia się również w tym, że AMJ – artystka doceniona, chyba spełniona – nie musi próbować przystosować się masowemu gustowi, może tworzyć całkowicie po swojemu, bez chodzenia na kompromisy. I taki jest jej najnowszy album „Ulotne”. Singiel promujący album jest w pierwszej trzydziestce listy przebojów Trójki. Jednak tam słuchacz jest specyficzny, w stacjach masowych raczej żaden z utworów z tej płyty nie przebiega zbyt wysoko.

Na „Ulotne” nie ma materiałów na przeboje w stylu „Ja wysiadam”. Jest za to 14 klimatycznych utworów (w wydaniu bonusowym, wydanie podstawowe to 10 piosenek), w których Annie Marii Jopek towarzyszy amerykański saksofonista Branford Marsalis. Na tle subtelnych podkładów muzycznych jego

wejścia są wyraziste, dodają płycie charakteru.

Utwór otwierający płytę – „W polu lipieńka” – już „po pierwszej nutce” pachnie folkową inspiracją. Nie jest to jednak inspiracja nachalna, nie znajdziemy jej w każdym utworze, płyty nie powinni więc skreślać ci, którym wszystko, co

pachnie folkiem, pachnie źle. Anna Maria Jopek przyznaje, że folk, zwłaszcza zespół Mazowsze, w którym występowała jej rodzina – tata wokalistki, tenor Stanisław Jopek, i mama, Maria Stankiewicz – wywarł ogromny wpływ na całą jej twórczość. Bardzo wyraźnie odczuwamy to, słuchając albumu „Ulot-

ne”. „Muzyka ludowa to były moje pierwsze piosenki, one mnie ukształtowały. I życie z rodzicami za kulisami ich zespołu. Najwspanialsze momenty mojego dzieciństwa to te, gdy »Mazowsze« koncertowało w Sali Kongresowej” – mówiła Anna Maria Jopek w radiowej Dwójce. ©©

Radosław Wojtas



**GRZEGORZ
BRZOSOWICZ**

NA SŁUCH

Król Dawid

Album w tydzień osiągnął 30-tysięczny nakład (płyta platynowa), a trasa koncertowa (100 tys. biletów) została wyprzedana w mig.

Piosenka tytułowa była niekwestionowanym przebojem ostatniego lata, czego dowodem jest choćby 17 mln odsłon w Internecie. „To piosenka o moich rówieśnikach, którzy po przyjeździe do większego miasta chcą zatrzeć ślad rodzinnego miejsca” – tłumaczy Dawid Podsiadło.

Na trzeciej płycie 25-latek z Dąbrowy Górniczej, wyzwalając się z własnej małomiasteczowości, śpiewa już wyłącznie po polsku. Dzięki temu swym słodko-kruchym falsetem tak przekonująco wyklada prawdę młodego

pokolenia Polski B („Z małego miasta, wielkie sny”). Jego wielbicielom nie przeszkadza, że reklamuje bank, bo przecież ich największym marzeniem jest praca dla korporacji. Jeszcze kilka lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Jednocześnie Dawid, jako ten, który już wygrał, nie puszy się, tylko szczerze opowiada o słabościach i lękach: „Choć jestem, tak naprawdę nie ma mnie”; „Cyfrowych cwaniaków już za dobrze znam”; „Z tobą wszystko będzie szarzyć się”. I w tych wszystkich opowieściach jest naprawdę prawdziwy.

A same piosenki? Są na tyle melodyjne i mają klejące się do mózgu refreny, że ich ocena nie jest konieczna. ©©



★★★★★
GRETA VAN FLEET
„ANTHEM OF THE
PEACEFUL ARMY”
REPUBLIC

Trzej Amerykanie

o swoim nazwisku Kiszka mieli wskrzesić ducha prawdziwego rocka. Wyszła duszka, mimo że odniesienia w ich muzyce do Led Zeppelin były oczywiste. Niby wszystko jest jak we wzorcu, tyle że nie kręci to tak, jak by się chciało.



★★★★★
QUEEN
„BOHEMIAN
RHAPSODY”
VIRGIN

Ścieżka dźwiękowa

z filmu o zespole Queen musiała zawierać największe hity. Żeby ta kolejna składanka różniła się od poprzednich, połowa nagrań pochodzi z koncertów. I tylko ze względu na cztery nagrania z festiwalu Live Aid może warto nabyć płytę. ©©



★★★★★
DAWID PODSIADŁO
„MAŁOMIASTECZKOWY”
SONY

Być może Edward Dwurnik byłby zadowolony z takiego obrotu spraw – cenił to, że zarobił i dorobił się dzięki malarstwu, nawet manifestował swój majątkowy status. Markowe ciuchy, mercedesy i ferrari, nonszalancja, z jaką wydawał pieniądze...

To była fasada, za którą krył się fantastycznie utalentowany i nieludzko pracowity Dwurnik. Jak mówił, jego pędzel „zawsze był mokry” (jeden z licznych bon motów artysty, mieszczących się między prowokacją a skrajną szczerością).

Odbiegał od normy polskiego artysty, lekce sobie ważącego stan posiadania. On posiadał i umiał korzystać. Na pozór – wieczny król życia. Bezcenny wobec tych, którym imponował i którzy chcieli zaskarbić sobie jego „przyjaźń”. Pokorny wobec najskromniejszego ze skromnych – Nikifora, przed którym padł na kolana i bił pokłony. To nie metafora, to dosłowność! Swoją śmiercią zaskoczył, choć wiosną skończył 75 lat, co przy intensywności jego życia można uznać za osiągnięcie. W sztuce nie gonił za oryginalnością, za siłowym wypracowaniem własnego stylu, swojego „pazura”. To przyszło samo, z niego, z wczesnych rysunków i obserwacji – dlatego chwyciło.

Urodzony jeszcze w czasie wojny (1943) nie czuł się obciążony tym traumatycznym doświadczeniem. Dzieciństwo i młodość zapamiętał jako dostatnie i beztrudne, w otoczeniu dużej rodziny i ciągłej obecności sąsiadów oraz pracowników ojca, przywacza od galanterii metalowej. Grójec, Radzymin, pobliska re-miza strażacka, amerykańskie komiks (dziecko przywacza!), serwowane przez matkę kanapki z kawiozem (który nie smakował sąsiadom) i burdy pomiędzy pracownikami ojcowskiego warsztatu



zycję emigracji, jednak pozostawał w Polsce, bo „... malarz, muzyk czy poeta – każdy artysta tkwi w ojczyźnie. Malarz, tak jak pisarz, czerpie z tradycji ojców i dziadów, korzysta z lokalnego klimatu. Jeśli jego sztuka ma być szczerą i prawdziwą, to nie może się temu przeciwstawić” – tak tłumaczył swą niechęć do opuszczenia ojczyzny na zawsze.

Dwurnik deklarował się jako artysta szczęśliwy i spełniony. Może dzięki temu stać go było na wyprawy w zakazane rewiry? Tam, gdzie szukał (czy znajdował? – nie wiem) prawdy o Polsce, Polakach. Kiedy już był znany i uznany, zbaczał z komercyjnej trasy. Rzucał się na tematy tak „niepokupne”, formy tak toporne i nieprzyjazne dla oczu, jak cykl poświęcony zesłańcom na Sybir, ukrzyżowaniom czy monumentalnych rozmiarów dialogi z klasykami – „Konstytucja 3 maja” lub „Bitwa pod Grunwaldem”.

Zapewne Edward Dwurnik większości będzie się kojarzyć z widokami miast i miasteczek; z portretami osób znanych lub tylko wystarczająco zamożnych, by zamówić wizerunek u słynnego artysty; ze scenkami rodzajowymi z życia PRL-owskiego gminu.

Chciałabym, żeby był też zapamiętany za sprawą mniej efektownych dokonań, ze zmagania ze sobą – z własną łatwością tworzenia. Właśnie żeby nie wpaść w rutynę, miał się tematów i technik jakby wbrew sobie: dekoracyjne i obojętne szeregi tulipanów, abstrakcyjne drippingi (metoda Jacksona Pollocka), pozbawione horyzontów morskie żywioły.

Zostawił po sobie ok. 6 tys. płócien. Mam wrażenie, że mimo to nie skończył dzieła. Za to wiedział, czym jest sztuka: nieokiełznaniem. I to nijak nie przekłada się na cenę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Sztuka to żywioł



Monika Małkowska

Zmarł w niedzielę rano, 28 października. I już następnego dnia, w poniedziałek, dealerzy sztuki podnieśli ceny jego prac dostępnych na rynku. Tak współcześnie wyraża się sukces: w wymiernych kwotach

wyznaczyły jego młodzieńczy horyzont poznawczy.

Na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, na którą dostał się w 1963 r., nie było wielu jemu podobnych.

Poszedł do pracowni Eugeniusza Eibischa, kolorysty. Na drugim roku podjął jeszcze rzeźbę u Jerzego Jarnuszkiewicza – z przyczyn pozaartystycznych. „Podobały mi się dziewczyny z tego wydziału, zwłaszcza Teresa Gierzyńska. Została wkrótce moją żoną” – wyznawał.

Sposoby podpatrzone u Nikifora Dwurnik przetransponował na styl własny, odpowiadający atmosferze PRL-owskiej prowincji. Podróżował

po niej autostopem – jak się okazało, było to doskonałe narzędzie poznawcze. Codzienna małomiasteczkowa miałość, ogólna brzydota i brak nadziei. W takim entourage'u mieszkańcy Polski B i C: agresywne typki, uderzające w końskie zaloty ze wspomaganiami gradusów. Jednak wkrótce obok leserów i obiboków z serii „Sportowcy” (palący papierosy Sporty) pojawili się naprawdę heroiczni bohaterowie codzienności – „Robotnicy”.

Czy można się dziwić, że Dwurnik stał się dla Zachodu artystą tyleż rozpoznawalnym co egzotycznym?

Oczywiście pożądanym. Miał niejedną okazję i propo-

Władimir Bukowski – mieszkający od ponad 40 lat w Wielkiej Brytanii, prawdopodobnie najbardziej znany na świecie były sowiecki dysydent, obrońca praw człowieka i współczesny polityk rosyjski – dziś, mimo ciężkiej choroby, jest prawdopodobnie najostrzejszym krytykiem prezydenta Rosji Władimira Putina. Oskarża go o zbudowanie państwa mafijnego, opartego na wszechwładzy KGB – FSB. Mówi wprost, że Putin jest namaszczony przez tę, jak się okazało, wszechwładną organizację na bycie prezydentem i wykonuje swoje zadanie wzorcowo.

Skazany na długoletnie więzienie za tzw. propagandę antysowiecką Władimir Bukowski w 1975 r. został wymieniony przez władze ówczesnego ZSRS na sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chile Luisa Corvalána, więzionego przez reżim gen. Pinocheta. Po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego kilkakrotnie próbował wrócić do polityki we własnym kraju, startując w wyborach mera Moskwy i prezydenta Rosji. Bezskutecznie. Jego czas jeszcze nie nadszedł, jak twierdzą rosyjscy i zagraniczni analitycy. Nato- miast na Zachodzie został, jak się wydaje, jedną z pierwszych ofiar „internetowego” i „gazowego” ataku. Nie zaryzykowano wykorzystania wobec niego nowiczoka, lecz zastosowano przeciwko niemu nieco łagodniejsze środki: wrzucono mu do komputera nagrania pornografii dziecięcej i jednocześnie doniesiono na niego policji brytyjskiej. Służby Putina wiedziały, co robią: 75-letni Bukowski, niebędący okazem zdrowia, ciężko zachorował. Przez kilka miesięcy znajdował się w szpitalu. Z wielkim trudem wyszedł z tego, ale zdrowia już nie odzyskał. Był to prawdopodobnie jeden z pierwszych ataków potężnego FSB i GRU na wybitnych przeciwników reżimu. Później byli Borys Niemcow, Aleksander Litwinienko, Badri Patarkaciszwili, Borys Bieriezowski, Skripalow i inni...

Z ROSJĄ TRZEBA ROZMAWIAĆ

Władimir Bukowski, mimo swojego polskiego pochodzenia, po polsku nie czyta. O tym, co się dzieje w Polsce, dowiaduje się przeważnie z rosyjskiego Internetu. Ostatnio podczas rozmowy telefonicznej ze mną wyraził zdumienie atakiem na swego przyjaciela, z którym łączy go wspólna walka z komunizmem, Kornela Morawieckiego. Jest on zdumiony tym, że każde słowo Kornela do polskich środków masowego



Mikołaj Iwanow

Przyjaźnię się z Kornelem Morawieckim od 40 lat. Oskarżanie go o to, że sprzyja Kremlowi, to absurd



FOT. BETA ZAWIŁEL/REPORTER

przekazu na temat Rosji natychmiast jest podchwytywane i niesamowicie rozdmuchiwane przez rosyjskie środki masowego przekazu. Tak jakby stał za tym niewidoczny, wspinały dyrygent. Jak to wytłumaczyć? – pyta. Może to kolejna prowokacja FSB – GRU, wycelowana tym razem w rząd syna legendarnego przywódcy Solidarności Walczącej?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie Wołodii. Nie mam dowodów, aby potwierdzić opinię Bukowskiego, lecz jego rozważanie na ten temat wydaje się niepozbawione logiki.

Jeden z ostatnich numerów „Polityki” wyszedł ze zdjęciem Kornela Morawieckiego na okładce i artykułem Rafała Kalukina pt. „Tata premiera”. Kalukin oskarżył Kornela Morawieckiego o uleganie Rosji, o to, że jest on zwolennikiem Putina. Nic bardziej mylnego. Nieraz dyskutowałem z Kornelem na temat obecnego przywódcy

walczących przeciwko III Rzeszy w okresie II wojny światowej.

W Rosji pod wpływem propagandy putinowskiej powstaje potężny duchowy mur nieufności i wrogości wobec Polski, który pozostawimy jako obciążające dziedzictwo następnym pokoleniom Polaków i Rosjan. Nie wolno do tego dopuścić. Trzeba z Rosjanami rozmawiać. Trzeba im tłumaczyć, informować ich, że likwidacja symboli komunistycznego totalitaryzmu nie ma nic wspólnego z niszczeniem mogił.

Nawet Amerykanie, stosując wobec Rosji niezwykle ostre sankcje, prowadzą z nią stały dialog. Ostatnie rozmowy w Moskwie doradcy prezydenta Trampa Johna Boltana są tego wyraźnym dowodem.

Bezpodstawnie stwierdza Rafał Kalukin również, że w związku z ostatnio wypowiedzianymi poglądami Kornela na temat Rosji nasze drogi teraz się rozeszły. Łączy nas prawie 40-letnia przyjaźń i poróżnić

Walcząca od samego początku zajmowała się również pracą na tzw. odcinku sowieckim. W dużej Solidarności był on, prawdopodobnie jedynym (albo jednym z nielicznych), działaczem, który od początku stawiał sprawę jasno: Solidarność dopóty nie będzie w stanie zwyciężyć, dopóki nie upadnie komunizm w Moskwie. Dlatego jeszcze przed powstaniem SW Kornel Morawiecki zdecydowanie chciał przekroczyć granice PRL i walczyć z komuną również na terenie Związku Sowieckiego.

Kiedy Kornel po raz pierwszy poprosił mnie o przetłumaczenie na język rosyjski tekstu ulotki dla żołnierzy sowieckich – zdębiałem. Nie ze strachu, ale z przerażenia. Był to rok 1981. Wszyscy w kraju zastanawiali się: „Wejdą? Nie wejdą?”. Po tym, co na własne oczy zobaczyłem w Polsce, byłem raczej pesymistą, tak jak Kornel myślałem, że wejdą. Dlatego za namową Morawieckiego napisałem w „Biuletynie

Kornel nie jest putinofilem

Rosji. Nie we wszystkim się zgadzamy, lecz w jednym jesteśmy zgodni: Putin jest to poważny przeciwnik, nie wolno go bagatelizować i w polskim interesie narodowym jest prowadzenie z nim dialogu. Dialogu otwartego, nieustępliwego, broniącego polskiego interesu narodowego, ale dialogu rzeczowego.

Ignorowanie Rosji sprzyja kolejnym „sukcesom propagandy rosyjskiej”, która przedstawia Polaków i ich elity polityczne jako głównych rusofobów Europy i świata. Wystarczy jedynie przypomnieć, jak traktuje się w Rosji polską politykę „usunięcia symboli totalitaryzmu komunistycznego”. Zwykły Rosjanin oglądający programy telewizyjne (zarówno te rządowe, jak i niezależne) jest święcie przekonany, że w Polsce dochodzi do totalnego niszczenia wszystkich mogił żołnierzy sowieckich,

nas może jedynie śmierć. Nie zgadzamy się w wielu kwestiach. Od lat kłócimy się o to, czyja poezja jest lepsza: polska czy rosyjska. Dla mnie Puszkina i Brodskiego to najwyższe osiągnięcia poezji światowej, Kornel natomiast myśli, że Norwid jest nieprześcigniony. Ja uważam (nie bez wpływu naszego wspólnego przyjaciela Władimira Bukowskiego), że Putin zbudował w Rosji państwo mafijne, które prowadzi w wielu kwestiach politykę imperialną. Kornel uważa to za przesadę.

SOLIDARNOŚĆ NA WSCHODZIE

Kornel był jednym z nielicznych polskich działaczy opozycyjnych, który rozumiał, że warunkiem upadku polskiego komunizmu jest upadek komunizmu sowieckiego. Dlatego stworzona przez niego podziemna organizacja Solidarność

Dolnośląskim” artykuł pt. „Wejdziemy”. Była to swoista instrukcja, jak zachowywać się w przypadku agresji, co robić, aby nie powtórzyć czeskiego błędu z 1968 r.

Działalność SW na odcinku wschodnim była bardzo owocna głównie dzięki szerokim kontaktom z przedstawicielami sowieckich dysydentów. Honorowymi członkami SW stali się Władimir Bukowski i Natalia Gorbaniewska. Nie jest to członkostwo symboliczne, lecz jak najbardziej konkretne i prawdziwe. Natalia była mocno zaangażowana w zbieranie w Paryżu funduszy dla podziemnej działalności SW, a Władimir, razem z braćmi Eduardem i Tengizem Gudawą, przez fundusz Democracy and Independence praktycznie w całości sfinansował początek działalności SW na odcinku wschodnim w połowie lat 80.



Kornel Morawiecki (w białym garniturze) na antywałęsowskim proteście Solidarności Walczącej w 1992 r. w Warszawie. FOT. MICHAŁ SADOWSKI/FORUM

Podstawą moich i Kornela Morawieckiego poglądów na stosunki polsko-rosyjskie jest przekonanie, że dziś istnieją dwie Rosje: mafijne państwo Putina i Rosja Władimira Bukowskiego, Aleksieja Nawalnego, Ludmiły Aleksiejewej, Siergieja Kowalowa i innych demokratów rosyjskich, którzy dążą do ucywilizowania własnego kraju, rezygnacji z intencji imperialnych i zakończenia konfrontacji z Zachodem. Nie przypadkiem najbardziej wpływowa opozycyjna organizacja współczesnej Rosji nosi nazwę „Solidarność”, a jej założyciele i dzisiejsi przywódcy (Borys Niemcow, Harry Kasparow, Ilja Jaszyn, Władimir Bukowski) otwarcie mówią, że ich ruch jest inspirowany polskim zrywem sprzed prawie 30 lat. Główne programowe zadanie tej partii to „deputinizacja” Rosji.

Rosja jest potencjalnie niezwykle bogatym krajem. Tylko rezygnacja z nowego wyścigu zbrojeń ze Stanami Zjednoczonymi i z NATO może prawie dwukrotnie podnieść poziom życia Rosjan. Likwidacja systemu oligarchicznego, który powoduje wielomiliardowe odpływy potencjalnych inwestycji z Rosji, jest w stanie jeszcze bardziej podnieść stopę życiową zwykłych obywateli. W historycznej perspektywie zwycięstwo tej drugiej Rosji uważam za nieuniknione. Nie ma innej drogi i Polska obecnie musi robić wszystko, co w jej mocy, aby zwycięstwo tej drugiej Rosji przyspieszyć.

Kornel Morawiecki zupełnie nie pasuje do dzisiejszej polskiej rzeczywistości politycznej z taśmami nagrań z Sowu i Przyjaciół, że wzajemnym ocernianiem się ludzi, którzy jeszcze niedawno razem walczyli z komunizmem w szeregach Solidarności. Nie we wszystkim się zgadzam z Kornelem, ale muszę stanowczo zaprotestować przeciwko przypisywaniu mu putinofilstwa.

Jest on utopistą. Jestem przekonany, że za 30–50 lat, kiedy stosunki między Rosją a Polską będą przypominać dzisiejsze stosunki między Francją a Republiką Federalną Niemiec, między Polską a Niemcami. Kolejne pokolenia Polaków będą zaś w wdzięcznością wpisywać do swej historii działalność SW i Kornela Morawieckiego.

NIE WZMACNIAĆ PUTINA

Nie wiem, czy trzeba rozmawiać dziś z Putinem, kiedy zastosował on broń chemiczną przeciwko Skripalom, kiedy prowadzi imperialną politykę na terenie byłego Związku Sowieckiego, kiedy gwałci prawo międzynarodowe. Jestem jednak przekonany, że ignorowanie Rosji to droga donikąd.

Tak jak wspominałem, rosyjska propaganda umiejętnie wykorzystuje polską politykę dekomunizacyjną do ogłupienia własnego społeczeństwa. Likwidację symboli komunistycznych w rosyjskich środkach masowego przekazu przedstawia się jako niszczenie świętych dla Rosjan gmoł żołnierzy sowieckich, „walczących heroicznie z faszyzmem”. Jest to celowa dezinformacyjna polityka kształtowania w społeczeństwie rosyjskim polonofobii. Polityka ta już niestety przynosi realne wyniki. Prawie każda z moich wizyt w Moskwie (ostatnio mniej licznych) kończy się troskliwymi pytaniami przyjaciół, byłych dysydentów: Co się dzieje u was, w Polsce? Dlaczego wzmacnacie pozycję Putina niszczeniem cmentarzy?

Tutaj konieczne jest jedno wytłumaczenie: świadomość wygrania największej wojny w historii ludzkości jest jedynym, niekwestionowanym fundamentem dzisiejszej rosyjskiej świadomości narodowej i państwowości Federacji Ro-

syjskiej. Świadomość ta przechodzi przez duszę prawie każdego Rosjanina. Trudno w tym kraju znaleźć rodzinę, która by nie ucierpiała w trakcie tej wojny. Fakt ten Putin i jego otoczenie wykorzystują bardzo umiejętnie.

Jestem jednak pewien, że naród rosyjski, na którego żywym ciele komunistów urządzili swój krwawy eksperyment, z jego kulturą i dorobkiem intelektualnym zasługuje na miano cywilizowanego narodu europejskiego. Rosja Putina to zaprzeczenie Rosji Borysa Niemcowa, Siergieja Kowalowa, Ludmiły Aleksiejewej, Władimira Bukowskiego, Aleksieja Nawalnego. Rosjan, którzy chcą widzieć swój kraj pozbawiony choroby imperialnej, jako kraj normalny, którego najważniejszym zadaniem jest szczęśliwe życie jego obywateli i przyjaźń z narodami ościennymi.

ZWYCIĘŻĄ ROSJANIE

Andriej Amalik napisał w 1969 r. głośny esej „Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?”, w którym proroczo przewidywał nieuchronny rozpad ZSRS. Pomylił się jedynie o kilka lat.

Dzisiaj można przewidzieć, że Rosja osiągnie wspomnianą normalność za góra 15 lat. Związane to będzie z jej nieuchronnym rozpadem. Nie można bowiem być jednocześnie imperium ciemiejącym mniejszości narodowe i cywilizowanym, demokratycznym społeczeństwem na miarę XXI w. Taka transformacja będzie przede wszystkim zwycięstwem narodu rosyjskiego. Czy my, Polacy, gotowi jesteśmy na taką ewentualność?

Imperializm rosyjski nie przetrwa kolejnego kryzysu ekonomicznego. Zniknie tak, jak zniknął imperializm brytyjski czy niemiecki. W latach 90. naród rosyjski przeżył upadek imperium sowieckiego bez specjalnego sprzeciwu. Jednak bakcyl imperialny w tym narodzie okazał się bardzo żywotny. Odrodzenie autokracji w Rosji prawdopodobnie jest wynikiem również naszych błędów.

Dzisiejsze odrodzone imperium jest dla nas bardzo groźne. Ani Kornel, ani ja nie negujemy tego faktu. Uważamy jednak, że złagodzenie rosyjskich imperialnych tendencji leży w granicach naszych możliwości. Jak widać, nowe sankcje jedynie wzmacniają Putina, jednoczą naród rosyjski wokół niego i jego reżimu. Czy zatem tędy droga?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem nadzwyczajnym historii Polski, przyjacielem Kornela Morawieckiego.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Sarri pali Londyn

Na początek ostrzeżenie: ten felieton będzie opowiadał o piłce nożnej. Ale spokojnie: tak naprawdę to nie będzie o piłce nożnej.

W mojej ulubionej lidze angielskiej pojawiła się postać, która mnie urzekła. To nowy trener londyńskiej Chelsea, a jako że sam kibicuję Manchesterowi United (co oznacza, że ostatnio czuję się mniej więcej jak wyborca Kukiz'15), powinienem patrzeć na typka spode łba. Nic jednak nie poradzę na to, że Maurizio Sarri to postać jedyna w swoim rodzaju i absolutnie urzekająca.

Przed wszystkim dlatego, że pali papierosa. Przy czym powiedzieć, że pali, to tak, jakby stwierdzić, że w Dolinie Śmierci bywa dość ciepło. Sarri kopci na potęgę, w trakcie sezonu dochodząc do imponującej liczby 80 wypalonych papierosów dziennie. To w ogóle dziwne, że jeszcze żyje.

Co w tym takiego fajnego? Ja sam nie palę i nie lubię, gdy przy mnie palą. Wspaniale jest jednak obserwować, jak dzisiejszy wielki świat, plastikowy do bólu, musi znosić ekscentryczność Sarriego. Futbol to wbrew pozorom świat niebywale wręcz ugrzecznony i przeniknięty poprawnością polityczną. A już zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Kiedy ostatnio trener United José Mourinho wymamrotał coś pod nosem w rodzimym portugalskim, władze ligi wynajęły portugalskojęzycznych specjalistów od czytania z ust, żeby spraw-

dzić, czy przypadkiem nie przeklął. No i teraz przeciw Mourinho toczy się prawdziwe śledztwo, bo może użył brzydkiego słowa. Jeśli to się potwierdzi, zostanie straszliwie ukarany.

Piłka nożna w ogóle jest hej do przodu. Przejawem tej postępowości jest choćby to, że na słynnym stadionie Old Trafford mają wkrótce powstać bezpłatne toalety, bo – jak wiadomo – podział na kibelki męskie i żeńskie jest boleśnie dyskryminujący. Piłkarze zaś nie dość, że są wytatuowani od stóp do głów, to jeszcze przed każdym meczem odwiedzają stylistę fryzur, po czym demonstrują swe owłosienie na Instagramie.

W takiej rzeczywistości funkcjonuje facet żywcem wyjęty z lat 80. ubiegłego stulecia, kiedy to – dzieci w to nie uwierzą – jarało się w pracy i podczas zebrań. Chelsea przyjmując Sarriego do pracy, zażądała od niego, by przynajmniej zakładał garnitury, bo tak trzeba. Sarri się zgodził, ale przyłazi na mecze w rozciągniętych dresach. Jeśli chodzi o fajki, to Sarri wygrał na całej linii. Klub zorganizował mu kąpek do jarań, nieopodal trenerskiej ławki.

Często podczas transmisji meczu można zobaczyć Włocha (z Neapolu oczywiście), jak ćmi papierocha, obserwując swych graczy. Jest po prostu tak dobry w tym, co robi, że może. Nie musi być wygładzony, pozbawiony kantów, idealniutki i bezglutenowy. Po prostu rozwala system. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Syndrom przystawek

Zawsze zastanawiam się, czy fobie i przyzwyczajenia mogą być silniejsze od instynktu samozachowawczego.

Od dnia wyborów samorządowych w szeregach lewicy i ludowców zapanowało zamieszanie, jakiego najstarsi żurnaliści nie pamiętają. Przywódcy zadziwiająco pomniejszych formacji, przypominający balony, z których wypuszczono powietrze, wygłaszają buńczuczne

Czy opłaca się tworzyć zjednoczony front totalnej opozycji? Zwłaszcza gdy wiatry wiejące na świecie niekoniecznie wróżą wygraną partiom mainstreamu. W dodatku przykład Nowoczesnej pokazuje, jak się kończy partnerski związek z silniejszym. PO połknęła młodszą siostrę, ale ani od tego nie urosła, ani nie zmądrzała. Być może paru działaczy za cenę utraty niezależności zyskało kilka posad, ale ile i na jak długo, kiedy tort się kończy – trudno powiedzieć.

Czy opłaca się tworzyć zjednoczony front totalnej opozycji, gdy wiatry wiejące na świecie niekoniecznie wróżą wygraną partiom mainstreamu?

O sobiście gdybym miał doradzać przystawkom – powiedziałbym: „Trzeba różnić się za wszelką cenę”. Znaleźć jakąś niszę, demonstrować swoją odrębność i grać na to, że się nie jest ani PiS, ani Platformą, licząc, że jest elektorat, który chciałby mieć jakiś wybór.

Wbrew pozorom nie ma dziś, i to w całym świecie, dobrej pogody dla systemów koalicyjnych. Na naszych oczach załamuje się on w Niemczech, rozsypał się we Włoszech. Spoza progów wyborczego wyrastają różne poważne i niepoważne formacje, które jednak znajdują jakichś zwolenników.

Przez pewien czas taką szansę mieli Paweł Kukiz i jego ludzie, sprawiający wrażenie świeżego powiewu w klasie politycznej. Jeśli właśnie stracili tę szansę, to tym ciękawsze pole rysuje się dla tych, którzy przedstawiają nowe pomysły. Jeśli nie (wspominając klasyka), to wyginą jak dinozaury. A może nawet już wygineli. ©©

oświadczenia, próbując dyscyplinować teren, i snują wizję kordonu sanitarnego, który odgrodzi PiS od możliwości sprawowania władzy. Partyjne doły reagują dokładnie odwrotnie. Najchętniej – nie oglądając się na zaszczości – zawarłyby jakiejkolwiek koalicje (oczywiście lepiej ze zwycięzcami), chroniąc swoje posady, synekury, a także przyszłość swych dzieci, żon i kochanek. Jak zwykle wiele jest odruchów stadnych, jednak tu i ówdzie przebijają się trzeźwa kalkulacja.



Łukasz Warzecha

Wybory do Parlamentu Europejskiego będą dla PiS szczególnie trudne. A zaraz po nich będą wybory krajowe

Najważniejsze cechy wyborów do PE w Polsce są następujące: bardzo niska frekwencja (niecałe 24 proc. pięć lat temu, 24,5 proc. w 2009 r.), głosowanie najbardziej zmobilizowanych elektoratów, w tym zwłaszcza w dużych miastach (w 2014 r. w Warszawie frekwencja wyniosła 38 proc., w tym na Żoliborzu i w Wilanowie ponad 45 proc.), mała frekwencja w mniejszych miastach i na prowincji (w wyborach do PE w 2014 r. w powiecie lubelskim głosowało tylko 23 proc., podczas gdy w ostatnich wyborach samorządowych – prawie 56 proc.) oraz mocno niejasny system dzielenia miejsc.

PiS chciał zmienić system, ale musiał z tego zrezygnować z powodu weta prezydenta. Andrzeja Dudę przekonała do tego dość egzotyczna koalicja, stworzona przez jedno z najważniejszych dziś środowisk eksperckich – Klub Jagielloński. W jej skład weszły Prawica Rzeczypospolitej (partia Marka Jurka), Partia Razem, Kukiz'15 i PSL. Miały mocną motywację, bo wedle wszelkich szacunków, gdyby zapowiadane zmiany weszły w życie, efektywny próg wyborczy wzrósłby na tyle, że mniejsze ugrupowania miałyby problem z uzyskaniem choćby jednego miejsca w PE.

Tymczasem dla ugrupowania Pawła Kukiza wybory europejskie mogą być ostatnią deską ratunku. Brak własnych europosłów będzie zapewne oznaczać ostateczną klęskę w wyborach do parlamentu krajowego. Dla ruchów takich, jak Bezpartyjni Samorządowcy, Razem, nowy ruch Roberta Biedronia, hipotetyczne przymierze partii wolnościowych (gdyby do niego doszło) czy Ruch Narodowy, są okazją do wywalczenia sobie trwalszego miejsca w dużej polityce.

WAŻNE DLA MAŁYCH

Relatywnie rzecz biorąc, mniejsze ugrupowania będą miały bowiem większe korzyści z obecności w PE niż te duże i okrzepłe.

Po pierwsze – to pieniądze, za które europosłowie mogą zatrudnić ludzi, wykonujących pracę możliwą do wykorzystania przez ich ugrupowania także w kraju. Dla tych, którzy subwencji w Polsce nie dostają, pieniądze z PE mogą być bazą do kampanii wyborczej w kraju. Oczywiście tylko pośrednio, bo formalnie rzecz biorąc, nie można ich w ten sposób wprost wykorzystywać.

Po drugie – to infrastrukturalna baza dla takich ugrupowań. Każdy europoseł ma własne biuro z obsługą, i to podwójne: w Brukseli i w Strasburgu.

Mniejsze ugrupowania myślą też na ogół inaczej o kandydaturach do PE niż te duże, rozleniwione wieloletnią polityczną rutyną. To może mieć szczególne znaczenie właśnie w najbliższych wyborach, które mogą się okazać przełomowe pod względem składu PE, który w ich wyniku się wyłoni. W dużych partiach tradycją jest wysyłanie do PE na lukratywne wygnanie lub emeryturę tych partyjnych towarzyszy, których nie można się całkiem pozbyć z ugrupowania, ale liderzy nie chcą ich mieć na miejscu. Dobrą pozycję na listach dostają także ci,



O co powalczą?

Europoseł ma też pieniądze na zapraszanie gości. Może się ubiegać o dofinansowanie konferencji czy debat. Takie przedsięwzięcia finansują też grupy, do których należą eurodeputowani.

Po trzecie – miejsce w PE to większa obecność w mediach w Polsce. Wszystko to razem może zostać przekute w mocniejszą pozycję na krajowej scenie.

którzy szczególnie się zasłużyli i trzeba ich nagrodzić wygodną posadą.

Owszem, w niektórych przypadkach wejście do PE może się okazać dobrym rozwiązaniem nawet dla nieco już zużytego polityka, który w dłuższej perspektywie myśli o powrocie do krajowej rozgrywki – tak może być w przypadku choćby Beaty Szydło. Ale jaką wartość

dodaną stanowiłaby obecność na listach osób takich, jak Jacek Kurski, Marek Kuchciński czy wieczny europoseł Ryszard Czarnecki? Taka sama wątpliwość powstaje w przypadku zadomowionej w PE profesury – prof. Ryszarda Legutki czy Zdzisława Krasnodębskiego.

Druga strona sceny politycznej nie ma lepszej sytuacji. Ewa Kopacz jako debutantka czy prof. Dariusz Rosati, nestor w delegacji PO do PE, wielkiego wrażenia nie robią. To zgrane karty, potęgujące odczucie, że partia nie traktuje wyborów do Parlamentu Europejskiego poważnie.



Oczywiście nie miałyby to wielkiego znaczenia, gdybyśmy mieli do czynienia po prostu z kolejnym plebiscytem: PiS kontra anty-PiS, jak w przypadku wyborów do sejmików. Jeśli jednak w atmosferze istotnych przewartościowań na europejskiej scenie politycznej do rywalizacji z nudnawymi aktorami mainstreamu staną świeże postaci – z jednej strony z nowej lewicy, takiej jak Razem, czy drugiej choćby z Ruchu Narodowego czy Wolności – wynik może wcale nie być oczywisty. Jak można wykorzystać swoją obecność w PE, pokazali już Dobromir Sośnierz, młody europoseł Wolności, który zajął w PE miejsce Janusza Korwin-

-Mikkego po jego rezygnacji z mandatu. Sośnierz, choć wchodząc do parlamentu, miał przed sobą tylko połowę kadencji, aktywnością w mediach społecznościowych dawno już przegonił opatrzonych i nudnych europosłów z PiS, SLD czy PO. Można zakładać, że duża część wyborców w maju 2019 r. będzie szukała takich właśnie kandydatów.

CO ZAPROONUJĄ?

Można też przewidzieć, z jakimi przesłaniami do eurowyborów pójda poszczególne ugrupowania. Ruch Narodowy będzie zapewne podkreślał problem migracji, ze szczególnym uwzględnieniem imigracji zarobkowej do Polski – co będzie sporym problemem wizerunkowym dla PiS. Wolnościowcy postawią na piętnowanie przeregulowania UE i być może przedstawią postulat rozluźnienia Unii lub nawet polexitu. Lewica pójdzie być może w stronę antysystemowości na kształt Koalicji Radykalnej Lewicy Alexisa Tsiprasa.

Co natomiast mogą proponować partie mainstreamu? Względnie łatwo będzie się odnaleźć Koalicję Obywatelskiej, ta bowiem może wystąpić z radykalnie proeuropejskim przesłaniem i zagrać na polexitowych obawach Polaków.

PiS nie jest w stanie przeciwstawić żadnego wyrazistego przesłania ani małym ugrupowaniom – z natury rzeczy akceptującym większy radykalizm – ani skrajnej proeuropejskości KO. Partia Kaczyńskiego nie może zagrać na antyunijnych resentymencie. To mogłoby się dla niej źle skończyć, co pokazało spowolnienie korzystnej dla niej dynamiki tuż przed wyborami samorządowymi, związane niemal na pewno z wnioskiem Zbigniewa Ziobry do TK, kwestionującym możliwość kierowania do Trybunału Sprawiedliwości UE pytań prejudycjalnych przez polskie sądy. U wyborców odezwały się wtedy obawy przed opuszczeniem UE. PiS bronił się zresztą zawsze przed łatką ugrupowania eurosceptycznego. Gdyby poszedł w tę stronę, zyski w żaden sposób nie wyrównałyby strat.

Nie może też jednak pójść w kierunku euroentuzjazmu, bo nie tego oczekują jego wyborcy. W rezultacie pozostaje mu nieco rozmyte i nijakie przesłanie: Unia tak, ale trochę inna, niż się nam proponuje. W dodatku nie możemy doczekać się całościowej i spójnej wizji UE, którą partia Kaczyńskiego zapowiadała już dawno jako polską ripostę na plany

przede wszystkim Emmanuela Macrona. Jednak poza bardzo ogólnymi wywodami ministra Jacka Czaputowicza niczego konkretnego nie usłyszeliśmy.

Nie ma też jasności, jakie miejsce widzi dla siebie PiS w przyszłym Parlamencie Europejskim. Owszem, trudno coś jednoznacznie planować, gdy może nas czekać zasadnicze przetasowanie. Jednak koncepcja wejścia do Europejskiej Partii Ludowej, w której jest Platforma Obywatelska, raczej nie jest już aktualna. Tymczasem Grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której obecnie należą europosłowie PiS, właściwie traci sens wraz z brexitem. W jej składzie są dziś 73 osoby, z czego aż 18 z brytyjskiej Partii Konserwatywnej (plus jeden poseł z Partii Ulsterskich Unionistów). Po ich odejściu trzecia dziś co do wielkości grupa straci na znaczeniu. Polskich europosłów jest w EKR 18, w tym 16 z PiS. Reszta to niewielkie, czasem jednoosobowe delegacje z innych krajów. Przed wyborami do PE PiS będzie musiał zadeklarować, jakie są jego plany w tej kwestii.

Cała strategia PiS od 2015 r. jest nastawiona wyłącznie na dopieszczenie „zwykłych Polaków”, czyli akurat tej części elektoratu, która w wyborach do PE głosuje mniej licznie. Nie jest zresztą wcale pewne, czy partia Kaczyńskiego zamierza tu w ogóle coś zmieniać. Część bliskich jej komentatorów twierdzi, że miasta należy zostawić opozycji, bo i tak niczego się tam nie uzyska, a skupić się trzeba na dopieszczeniu twardego elektoratu. Jednak z punktu widzenia wyborów do PE byłaby to strategia bardzo groźna.

A może PiS mógłby machnąć ręką na PE i uznać, że to po prostu nie są istotne wybory? To również byłby błąd. Po pierwsze dlatego, że nowy Parlament Europejski będzie działał w czasie politycznego przełomu i będzie pierwszym od 1973 r., w którym nie zasiądą przedstawiciele Wielkiej Brytanii. Mniejsza w nim reprezentacja oznacza mniejszy wpływ na wydarzenia. Po drugie, ponieważ słaby wynik PiS mógłby zachwiać korzystną dla tego ugrupowania dynamiką i spowolnić ją zaledwie pół roku przed wyborami do Sejmu i Senatu.

Czas, gdy Pe był spokojną przystanią dla politycznych emerytów, chyba mija. W siłę rosną antyestablishmentowcy – a do takich PiS się nie zalicza, choć tak chciałby być widziany.



Z lewej: popiersie Winckelmanna z 1807 r. dłuta Salvatore de Carlisa. Po prawej: kopia „Apolla Belwederskiego”

FOT. PIOTR SEMKA

Śmierć w Trieście



Piotr Semka z Monachium

Johann Joachim Winckelmann był artystycznym celebrytą XVIII-wiecznej Europy. Syn szewca ze Stendalu potrafił pisać o tajemnicach sztuki antyku poruszającym, ale prostym językiem. I za to pokochali go ludzie jego epoki

W zajeździe Locanda Grande w austriackim porcie nad Adriatykiem, 250 lat temu, doszło do ponurej zbrodni. Przybysz z Wiednia, oczekujący na statek do Ancony, zawarł przypadkową znajomość z bezrobotnym kucharzem. Jako że nieopatrznie pochwalił się posiadanymi cennymi monetami, padł ofiarą rabunku, podczas którego otrzymał liczne ciosy nożem. Rany nim zadane okazały się śmiertelne. Dopiero po pewnym czasie świat dowiedział się, że ofiarą mordu padł Johann Joachim Winckelmann, najśłynniejszy ówczesny badacz antyku i pionier nowoczesnej

archeologii. Przypadającą w tym roku 250. rocznicę jego śmierci uświetnia wystawa w Muzeum Państwowych Zbiorów Sztuki Antycznej w Monachium.

Winckelmann na nowo odkrył dla XVIII-wiecznej Europy antyk. Podzielił greckie rzeźby na grupy, wyróżnił ich style i swoimi traktatami stworzył modę na wszystko, co kojarzyło się z Helladą.

Dla Niemiec był i jest wzorem wyrwania się z ciasnej germańskości na rzecz „snu o Południu” i obywatelstwa świata. Nic dziwnego, że od początku XIX w. okrągłe rocznice związane z jego życiem są okazją do wielkich wystaw.

Rok temu 300-lecie urodzin Winckelmanna świętował Weimar – stolica niemieckiego klasycyzmu. Dwieście pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci uczciło Monachium, stolica filhellenizmu.

TALENT Z NIZIN

Rodzinna miejscowość Winckelmana, położony w środkowych Niemczech Stendal, była wzorowym protestanckim miastem Brandenburgii. Ojciec przyszłego uczonego, niezamożny szewc, początkowo planuje, że syn odziedziczy ojcowski warsztat, ale gdy chłopiec zdobywa coraz więcej pochwał w miejscowej szkole za wyjątkowy pęd do wiedzy,

zaczyna marzyć o karierze pastora dla syna.

Młody Johann szybko jednak porzuca teologię na rzecz medycyny, by pięć się dalej, i podejmuje pracę guwernera w domach coraz wyżej urodzonych. Gdy obejmuje posadę bibliotekarza na zamku Nothnitz w Saksonii, odkrywa w książkach świat antyku i sztuki greckiej. Szybko zaczyna być w Dreźnie na dworze Augusta III Sasa. Mierzi go przepychy i blichtr wettyńskiego baroku. Na zasadzie kontrastu odkrywa księżęcą galerię figur antycznych – wówczas największy taki zbiór na północ od Alp. Po latach będzie narzekał, że figury w galerii „stały ściśnięte jak śledzie w beczce, tak że nie dało się ich ani dobrze oglądać, ani podziwiać”. To jednak refleksja po latach. Wtedy w Dreźnie młody Winckelmann chłonie piękno sztuki starożytnej. Najbardziej ceni Herkulaniki, rzeźbę wykopaną na zboczach Wezuwiusza – „powabne, kształtne ciała w płytce okrywających je szatach”.

W 1755 r. wydaje w Dreźnie „Myśli o naśladowaniu dzieł greckich w malarstwie i rzeźbie”. Stawi w nich greckie arcydzieła jako niedościgniony wzorzec dobrego gustu.

Młody Niemiec myślami jest już w Rzymie – stolicy antyku. Zdobywa pa-



tronat nuncjusza papieskiego w Saksonii, biskupa, a potem kard. Alberica Archinto. Przechodzi na katolicyzm. Dzięki protekcji nuncjusza i z pomocą stypendium króla Augusta III wyjeżdża do Rzymu. Tam jako bibliotekarz Archinto zaczyna opisywać różne kolekcje zabytków starożytnych. Zwraca na niego uwagę kolejny możny mecenas – kard. Alessandro Albani – wybitny znawca i kolekcjoner sztuki antycznej. Winckelmann otrzymuje zadanie stworzenia zespołu artystycznych zbiorów purpurata w Villi Albani. A gdy pomyślnie wykona to zadanie, w 1763 r. obejmuje papieski urząd commissario per antichità, a potem funkcję scriptore w Bibliotece Watykańskiej, co ułatwi mu dostęp do najważniejszych dzieł o antyku z epoki renesansu. W 1768 r. ukazuje się jego dzieło życia: „Dzieje sztuki starożytnej”, w którym klasyfikuje style sztuki antycznej. Píše pięknym językiem, którym potem zachwycał się sam Goethe. Książka staje się w XVIII-wiecznej Europie bestsellerem, szybko tłumaczonym na liczne języki. W Polsce przetłumaczył ją w 1815 r. – wraz ze swoimi komentarzami – polski koneser antyku, Stanisław Kostka Potocki.

Winckelmann był naukowym celebrytą ówczesnej Europy. Z portretu pędzla Angeliki Kauffmann z 1754 r., który oglądamy na wystawie, spoziera na nas człowiek subtelny, wrażliwy na piękno i zmagający się z problemem, jak to piękno zdefiniować. Z racji swych obowiązków papieskiego komisarza do spraw starożytności musiał oprowadzać po Wiecznym Mieście utytułowanych młodzieńców odwiedzających Rzym w ramach „grand tour”. „Z wyjątkiem artystów i uczonych wszyscy dżentelmeni przybywają tu jako głupcy i odchodzą stąd jak ośły. Nie zasługują na to, by ich nauczać i edukować” – pisał zgryźliwie w jednym z listów.

Winckelmann jest też pionierem nowoczesnej archeologii. Walczy, by prace wydobywcze nie były szabrem dla zdobycia dzieł na sprzedaż, ale naukowym badaniem wykopalisk.

W 1758 r. postanawia raz jeszcze odwiedzić Niemcy. Północ go jednak szybko rozczarowuje. W Ratyzbonie odczuwa tak silną tęsknotę za słońcem Południa, że rzuca wszystko i przez Wiedeń wraca do Italii. W Wiedniu Maria Teresa obdarowuje go cennymi monetami, które staną się przyczyną jego śmierci. Taki jest tragiczny kres życia skupionego na

poszukiwaniu i opisywaniu piękna człowieka.

ECHA DAWNEJ ŚWIETNOŚCI

Na monachijskiej wystawie zgromadzono te nieliczne eksponaty, które ocalały z Villi Albani, z epoki, gdy zbiorami opiekował się Winckelmann. Kardynał Alessandro Albani (1692–1779) był wtedy w Rzymie wpływową postacią. Jako bratanek Klemensa XI, ówczesnego papieża, miał środki i wpływy. Nic dziwnego, że stworzył jedną z najlepszych ówczesnych kolekcji dzieł antycznych.

Duża część eksponatów pochodziła z wykopalisk z Villi Hadriana w Tivoli. Winckelmann jako bibliotekarz kardynała od 1759 r. opisywał i zakwalifikowywał te zbiory w 10 krótkich tekstach opublikowanych w tym czasie. Po śmierci kardynała przejął je wnuk jego brata – Carlo Albani. Gdy w 1799 r. Rzym zajęły wojska Napoleona, republikańscy urzędnicy zrabowali z Villi Albani 156 dzieł, z czego 132 trafiły potem do Muzeum Napoleona, czyli dzisiejszego Luwru, a resztę składowano w magazynie na brzegu Tybru.

Gdy w 1815 r. kongres wiedeński zarządził oddanie cesarskich zdobyczy, Carlo Albani stanął przed problemem. Nie stać go było na koszty transportu rzeźb do Rzymu, więc wystawił spo-



Głowa Fauna, marmur, II w. p.n.e. Winckelmann poświęcił temu dziełu antyku mistrzowski fragment w swoich „Dziejach sztuki starożytnej”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rać część kolekcji na aukcji. I tu na scenie pojawia się następca tronu Królestwa Bawarii – Ludwik Wittelsbach (1786–1868). Był zafascynowany książkami

Winckelmanna. Od swej pierwszej wizyty we Włoszech w 1804 r. zakochał się w antyku i kolekcjonował starożytne dzieła sztuki.

W grudniu 1815 r. pełnomocnicy Ludwika zakupują 46 rzeźb z kolekcji Carla Albaniego, której kształt stworzył Winckelmann. To, czego nie dało się zdobyć w oryginale, w kolekcji kronprynza występowało w formie mistrzowskich kopii. Wszystko to, co zostało w Niemczech z Winckelmannowskich zbiorów, zobaczyć można właśnie tu, w Gliptotece – klasycystycznym muzeum wybudowanym przez Leo von Klenzgo. Dzięki tej fali fascynacji Grekami Monachium w XIX w. zyska przydomek „Ateny nad Izarą”.

Miłość do Grecji skłoniła nawet Ludwika I – od 1825 r. króla Bawarii – do posadzenia na tronie wyzwolonej spod władzy Turcji Hellady swego syna Ottona (1815–1867).

Ludwik zawsze pamiętał, dzięki komu poznał czar greckiego antyku. Przy wejściu na wystawę stało popiersie Winckelmanna zamówione przez bawarskiego księcia już w 1807 r. u rzeźbiarza Salvatore de Carlisa. Kult badacza zaczął się jednak wcześniej. Obok stoi popiersie odkrywcy antyku dłuta Friedricha Wilhelma Dölla z 1777 r. Popiersie powstało już dziewięć lat po morderstwie w Trieście.

ZROZUMIEĆ PIĘKNO

„Statua Apolla to najwyższy ideał sztuki między wszystkimi dziełami starożytności” – pisał Winckelmann. Na wystawie w Monachium obejrzeć możemy tylko kopię. Oryginał „Apolla Belwederskiego” znajduje się w muzeum watykańskim. Rzeźbę odkryto w 1489 r. w posiadłości rodziny Della Rovere pod Anzio, po czym zakupił ją papież Juliusz II. Umieszczona na stałe w krużganku posiadłości papieskiej zwanym Belvedere



Portret Winckelmanna pędzla Angeliki Kauffmann z 1754 r. Ten obraz rozstawił malarz na całą Europę. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Klasycystyczny salonik z przełomu wieków XVIII i XIX odtworzony na wystawie w Monachium. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W ten sposób uzyskała swoją nazwę. Tuż obok inne skarby z dawnej kolekcji w Villi Albani – głowa satyra z brązu, chłopiec z opaską zwycięzcy czy głowa Fauna. Wszystkie opisywane przez Winckelmanna w swoich dziełach.

Kiedy się krąży między oryginałami i kopiami zgromadzonymi na wystawie, przychodzić muszą do głowy najważniejsze myśli pisarza, które weszły do kanonu historii sztuki. Syn szewca ze Stendalu potrafił pisać o tajemnicach sztuki antyku poruszającym, ale prostym językiem. I za to pokochali go ludzie jego epoki.

Wyszedł od pewnika – „zadaniem sztuki winno być przedstawianie piękna”. Jak zdefiniować to pojęcie? „Piękno jest [...] jedną z wielkich tajemnic natury, której oddziaływanie widzimy i odczuwamy, ale ogólnie, wyraziste pojęcie o istocie tego oddziaływania należy do prawd wciąż nieodkrytych. Gdyby pojęcie to było wyraziste na modłę geometryczną, to sądy ludzi o tym, co piękne, nie byłyby tak zróżnicowane, a przekonanie kogoś o pięknie prawdziwym byłoby rzeczą prostą” – pisał bohater wystawy w „Dziejach sztuki starożytnej”.

Zgodnie za tą myślą watykański historyk postawił za niedościgły wzór rzeźby prastarej Hellady. „Ujmującą cechą rzeźby Greków jest wspaniała prostota i cicha wielkość” – ta myśl Winckelmanna wybita jest dużymi literami na wystawie.

„Ich posagi stoją we wspanialej prostocie, spokojne, całe w sobie zawarte i wykończone, jak posagi bogów przed nami” – pisał. „Tak jak morze w głębi zawsze jest spokojne, chociaż powierzchnia jego się burzy; również wyraz we wszystkich greckich posągach okazuje przy wszystkich namiętnościach – wielką

i spokojną duszę”. Jak głosił: „Dobry gust wykształcił się pod greckim niebem”.

Z tego zachwyty niemiecki pisarz wyprowadzał jasny wniosek – artyści winni iść za przykładami z antyku. „Pierwowzory greckie studiujcie w dzień i w nocy”.

ANTYK DLA MAS

Dziś trudno zrozumieć, dlaczego książki Winckelmanna zrobiły w XVIII w. aż tak ogromne wrażenie. Najwidoczniej moda na antyk odpowiadała jakimś pragnieniom ówczesnych ludzi. Była reakcją na zmęczenie przepychem baroku. Nową modę szybko podchwycili w całej Europie handlarze sztuką i producenci dóbr luksusowych.

Wystawa ciekawie opowiada o tym, jak myśl Winckelmanna wykreowała cały przemysł dzieł w stylu klasycyzmu, produkcję odlewów w brązie lub w gipsie rzeźb greckich czy rzymskich. Najbardziej przedsiębiorczy okazał się Brytyjczyk Josiah Wedgwood (1730–1795), który załał rynek imitacjami waz etruskich. Ostra konkurencja między producentami przyczyniła się z czasem do spadku cen i umasowienia produkcji. Kopie „Apolla Belwederskiego” w różnej skali czy „Grupy Laokoona” stały się dekoracją domu dostępną nie tylko dla arystokraty, lecz także dla coraz bogatszej burżuazji. „Szlachetna i prosta sztuka antyku” zawojowała salony i saloniki od amerykańskiej Filadelfii do Sycylii. Klasycystyczne kolumny stały się symbolem silnej władzy w Wielkiej Brytanii i Rosji.

A antyczne wzory republikanizmu pchnęły do działania myślicieli antymo-

narchistów ku stworzeniu republik – w USA, a potem we Francji. Damy z epoki dyktatoratu, a potem empire pozować będą w zwiewnych tunikach, udając Greczynki i Rzymianki. Na wystawie z pietyzmem odtworzono salon klasycystyczny z XVIII w. Oczywiście z portretem Winckelmanna na ścianie.

EROS I THANATOS

„Śmierć w Trieście” – nazwa wystawy kojarzy się z nowelą Tomasza Manna „Śmierć w Wenecji”. Nie jest tajemnicą, że Winckelmann był homoseksualistą. Jego morderstwo przez przygodnego znajomego przywodzi na myśl los Pasoliniego. Fascynacja męskim ciałem musiała odgrywać znaczącą rolę w zachwycie nad grecką rzeźbą, choć autorzy wystawy nie wchodzą w rozważania nad korelacją obu czynników.

O ile kiedyś „grecka miłość” odkrywcy antyku była wstydliwie pomijany rysem jego życia, o tyle teraz sytuacja jest diametralnie inna. Fabularyzowany dokument w telewizji Arte poświęca gustom seksualnym bohatera sporą część filmu. Tak jak dziś „cool” jest jednak pisanie o homoseksualizmie Winckelmanna, tak z jego konwersją na katolicyzm jest na odwrót. Badacze uznają za oczywiste, że był ateistą, a zmiana wiary była tylko wynikiem chęci zrobienia kariery w papieskim Rzymie. Skoro tak, to dlaczego na łożu śmierci – agonia bez utraty świadomości trwała ponad pięć godzin – poprosił o księdza i ostatnie namaszczenie w zgodzie ze swoją wiarą?

I jeszcze jedno. Na tle oschłego i ascetycznego niemieckiego protestantyzmu papieski Rzym z XVIII w. przyciągał jako stolica antyku i sztuki. Jak się to ma do wizji katolicyzmu jako ciemnego wstęcznictwa? Jak łączył to wszystko w sobie syn szewca ze Stendalu? Winckelmann, jego złożona osobowość i tragiczna śmierć na zawsze pozostaną pewną tajemnicą. Łazienki Królewskie w Warszawie wydały niedawno jego „Myśli o naśladowaniu dzieł greckich w malarstwie i rzeźbie” w pięknym tłumaczeniu Justyny Górny i Tomasza Ososińskiego. Lektura tej książki być może rozjaśni nieco tę tajemnicę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Śmierć w Trieście” w Muzeum Państwowych Zbiorów Sztuki Antycznej w Monachium czynna jest do 9 grudnia. Szczegóły na: www.antike-am-koenigsplatz.mwn.de.

XXVII TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO



1918-2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany
w ramach obchodów stulecia
odzyskania niepodległości

29 LISTOPADA – 2 GRUDNIA 2018 R. GODZ. 10:00-18:00

WSTĘP WOLNY

TARGI KSIĄŻKI
HISTORYCZNEJ



www.historiaikultura.pl

Ponad 200 wystawców z całej Polski • Największa oferta książek historycznych • IX Salon Książki Muzealnej
Pokazy grup rekonstrukcyjnych • Zajęcia dla młodzieży i dzieci • Konferencje i spotkania z autorami

Organizatorzy



NARODOWY
INSTYTUT MUZEALNICTWA
I OCHRONY ZBIORÓW



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

eprasa.pl d118d10839



Nieznana rewolucja



Łukasz Czarnecki

Ostatniemu cesarzowi władzę odebrali chińscy demokraci, a w roku 1911, kiedy za Wielkim Murem Chińskim wybuchła rewolucja, Komunistyczna Partia Chin nie istniała

Pierwsza dekada XX w. była dla Państwa Środka trudnym okresem. Wskutek zakończonego chińską klęską powstania bokserów (1899–1901), w czasie którego cesarskie władze sprzymierzyły się z hordami zabobonnych, żądných cudzoziemskiej krwi rebeliantów, Chiny zostały obarczone olbrzymią kontrybucją przez zwycięskie mocarstwa. Dzierżąca od XVII w. władzę nad Jangcy dynastia Qing była całkowicie zdyskredytowana w oczach swoich poddanych, a jej notowania pogarszało dodatkowo to,

że na Tronie Smoka zasiadali nie rdzenni Chińczycy, lecz potomkowie przybyłych z północy najeźdźców – Mandżurów. Dopóki żyła jeszcze przebiegła Cesarzowa Wdowa Cixi, dopóty cesarstwo jeszcze jako tako działało. Kiedy jednak w 1908 r. trzęsąca przez 47 lat Państwem Środka monarchini zmarła, zabierając ze sobą do grobu otrutego dzień przed jej śmiercią prawowitego imperatora Guangxu, a na tron wyniesiono niespełna trzyletniego Puyi, dla wszystkich stało się jasne, że chiński reżim przypomina rozdygotany domek

Chiński rewolucjonista Sun Yatsen odwiedza grobowiec dynastii Ming
FOT. HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES



z kart, na który wystarczy chuchnąć, by się zawalił.

DOKTOR SUN

Najważniejszym człowiekiem, który marzył o zburzeniu zmuszonego gmachu cesarstwa, był dr Sun Yatsen (rocznik 1866). Była to wyjątkowo ciekawa postać: chrześcijanin, wykształcony na brytyjskiej uczelni lekarz, twórca chińskiej myśli narodowej i niestrudzony romantyczny bojownik o demokrację. Choć jego poglądy wydawać się mogły marginal-

ne, to dzięki swej niezwyklej charyzmie dr Sun przekonał do swej fantastycznej wizji Republiki Chińskiej rozproszoną na całym świecie chińską diasporę, która nie szczędziła mu datków przeznaczonych na organizację rewolucji w kraju przodków. Warto podkreślić, że chociaż konta rewolucyjnych organizacji Suna (kolejno Stowarzyszenia Odrodzenia Chin, a następnie powstałej wskutek reorganizacji tegoż Ligi Związkowej) zasilają olbrzymie sumy, sam pionier chińskiej demokracji żył tak ubogo, iż zdarzało mu się nocować na podłogach kościołów odwiedzanych przez niego miast. Kryształowa uczciwość lekarza-rewolucjonisty, cecha tak rzadko spotykana w przeżartym korupcją ówczesnym społeczeństwie chińskim, przyciągała do niego kolejnych, fanatycznie wręcz mu oddanych zwolenników.

Niestety, trochę gorzej wyglądał zmysł praktyczny bojownika o demokrację. Już pierwsze powstanie, zorganizowane przez niego w 1895 r., zakończyło się kompletną porażką, która zmusiła go do ucieczki z Chin i osiedlenia się w Japonii. Potem było już tylko gorzej. W ciągu 16 lat wygnania Sun Yatsen zorganizował jeszcze 10 zrywów – co prawda nad wyraz bohaterskich, ale przegranych. W efekcie co trzeźwiejsi obserwatorzy chińskiej sceny politycznej zaczęli go w końcu przezywać „generałem klęską”. Najlepiej opinie wielkich tego świata na temat wiecznego buntownika wyraził brytyjski poseł w Pekinie, sir John Jordan, który przyznawał, że dr Sun jest najsympatyczniejszym żyjącym Chińczykiem, ale równocześnie podkreślał, iż trudno traktować go poważnie.

REWOLUCJA Z PRZYPADKU

W kwietniu 1911 r. w Kantonie wybuchła kolejna rebelia zorganizowana przez przywódcę Ligi Związkowej. Podobnie jak w przypadku poprzednich zrywów zakończyła się katastrofą, a ci spośród towarzyszy dr. Suna, którzy nie zdołali salwować się ucieczką, położyli głowy pod katowski miecz. Rozczarowany niepowodzeniem lider rewolucjonistów postanowił na chwilę odpocząć od knucia kolejnych spisków i wyjechał do USA, by tam promować swoje idee. Ani on, ani nikt z jego otoczenia nie przypuszczali nawet, że lađa moment wybuchnie oczekiwana od półtorej dekady rewolucja, która zmiecie mandżurski reżim z powierzchni ziemi.

10 października w należącym do trójmiasta Wuhanu Wuchangu zbuntował się oddział saperów. Pucz był wywołany

wydarzeniami z dnia poprzedniego: w rosyjskiej koncesji (pod rosyjską jurysdykcją) innej z części aglomeracji Hankou doszło do przypadkowej eksplozji bomby, będącej w posiadaniu grupy zwolenników Suna. W efekcie policyjnej akcji kilkudziesięciu spiskowców zostało uwięzionych, a w ręce miejscowego namiestnika trafiła lista zawierająca nazwiska ich towarzyszy. Jako że garnizon Wuhanu od dawna sympatyzował z opozycją, żołnierze postanowili nie czekać na aresztowanie i wzięli sprawę w swoje ręce. Do saperów rychło zaczęły dołączać kolejne oddziały. W wyniku krwawego starcia między buntownikami a lojalistami kontrola nad Wuhanem przeszła w ręce tych pierwszych. Zrewoltowani wojsacy wpadli następnie do mieszkania brygadiera Li Yuanhonga, wyciągnęli go spod łóżka, gdzie się skrył, i grożąc mu rozstrzelaniem, zmusili go do stanięcia na czele puczu.

Buntownikom poparcia udzieliły miejscowe elity, mające już serdecznie dość Mandżurów. Pożoga rebelii rozprzestrzeniła się błyskawicznie, obejmując kolejne miasta; w przeciągu zaledwie kilkunastu dni cała prowincja Hubei wyrwała się spod władzy cesarskiego reżimu. Wieści o kolejnych sukcesach buntowników dodawały skrzydeł opozycji w całym kraju, aż w końcu wszystkie tereny Państwa Środka położone na południe od rzeki Huang He znalazły się pod kontrolą rewolucjonistów, głoszących potrzebę wprowadzenia demokracji.

Tymczasem dr Sun przebywał w Kolorado. Dostał wprawdzie depeszę z Chin, informującą go o przebiegu wypadków i wzywającą do powrotu do ojczyzny, ale jej nie przeczytał. Powód był banalny – lekarz-rewolucjonista w trakcie swego amerykańskiego tournée zawieruszył gdzieś ściśle tajną książeczkę, zawierającą kody używane przez jego organizację. Ostatecznie o zwycięskich postępach rebeliantów pionier chińskiej demokracji dowiedział się z amerykańskiej prasy. Natychmiast odwołał wszystkie spotkania i popłynął do Wielkiej Brytanii, by w Londynie zabiegać o wsparcie rządu Jego Królewskiej Mości dla rewolucji. Celu tego wprawdzie nie osiągnął, ale przynajmniej Brytyjczycy postanowili nie pomagać chwiejącemu się mandżurskiemu reżimowi. Odniósłszy to drobne zwycięstwo, dr Sun ruszył w rejs ku krajowi przodków. W dniu Bożego Narodzenia był już w Szanghaju, skąd udał się do Nankinu, gdzie zgromadzili się przedstawiciele zbuntowanych prowincji. Tutaj został obwołany tymczasowym

■ prezydentem Republiki Chińskiej, której powstanie proklamował 1 stycznia 1912 r.

UPADEK MONARCHII

Mimo proklamacji Sun Yatsena sytuacja wciąż jeszcze była niepewna, ponieważ Mandżurowie kontrolowali północ Chin. Swoją nadzieję na ocalenie dynastia Qing pokładała w odwołanym z emerytury (na którą go wysłano, gdy kilka lat wcześniej popadł w niełaskę) gen. Yuan Shikai, któremu powierzono stanowiska premiera i głównodowodzącego cesarską armią. Nowy wódz naczelny odniósł wkrótce pierwszy sukces, rozbijając siły rewolucji w jej matczyniku w Wuhanie.

Yuan był jednak zbyt szcwanym lisem, by nie zorientować się, że ma bronić przegranej sprawy. Jako Chińczyk nie darzył Mandżurów miłością. Co więcej – pozostał w osobistym konflikcie z ojcem dziecięcego cesarza. Ambitny ponad wszelką miarę generał postanowił wykorzystać szalący chaos, żeby ugrać jak najwięcej dla siebie, i zamiast wojować z buntownikami, wdał się z nimi w pertraktacje. Uzyskawszy od Sun Yatsena obietnicę przekazaniu mu urzędu prezydenta, wykorzystał podległe sobie oddziały, aby dosłownie położyć nóż na cesarskim gardle i zmusić otoczenie Puyi (bo sam pięcioletni monarcha wszak nie był w stanie pojąć tego, co się wokół niego działo) do ogłoszenia abdykacji imperatora, który to akt prawny został obwieszony 12 lutego 1912 r. Byłemu cesarzowi pozwolono zostać w Zakazanym Mieście, ale epoka monarchicznych rządów się skończyła.

Doktor Sun dotrzymał danego Yuan Shikaiowi słowa i 1 kwietnia zrzekł się prezydentury na jego korzyść. W nowym republikańskim rządzie duchowy ojciec rewolucji miał pełnić funkcję ministra kolei. Jak się szybko okazało, przekazanie stanowiska głowy Republiki Chińskiej ambitnemu generałowi było najgorszym krokiem w życiu Sun Yatsena.

YUAN ZDRADZA DEMOKRACJĘ

Rok 1912 przyniósł pierwsze i – jak się niestety później okazało – ostatnie wolne wybory parlamentarne w Chinach. Na ich potrzebę zwolennicy dr. Suna dokonali kolejnej reorganizacji, zmieniając się z tajnej organizacji, jaką była Liga Związkowa, w nowoczesną Partię Narodową, czyli Kuomintang. Chociaż oddawać głosy mógł tylko niewielki procent Chińczyków spełniających wyśrubowane cenzusy majątku i wykształcenia, wybory okazały się



Sun Yatsen jako prezydent nowej Republiki Chińskiej w Nankinie w 1911 r.

FOT. GAMMA-KEystone/GETTY IMAGES

ogromnym sukcesem nowej formacji, której kandydaci zdobyli ok. 45 proc. głosów w parlamencie. Największa była w tym zasługa młodego, 30-letniego działacza Song Jiaorena, kierującego kampanią wyborczą. Po ogłoszeniu wyników wyborów stał się on naturalnym kandydatem zwycięskiego ugrupowania na premiera.

Niestety, historia wczesnych lat Kuomintangu nie ma szczęśliwego zakończenia. Zaniepokojony silną pozycją zwolenników dr. Suna Yuan postanowił wyeliminować zagrożenie. Jego pierwszym krokiem była próba przekupstwa Songa, któremu wręczył gruby plik podpisanych in blanco czeków. Młody polityk okazał się jednak równie kryształowo uczciwy co jego mentor i nie przyjął łapówki. Zrobił to na swoją zgubę, bo wkrótce potem zginął, zastrzelony przez szanghajskiego gangstera. Śledztwo, które pociągnęła za sobą ta śmierć, wykazało (mimo iż oskarżony w tajemniczych okolicznościach zszedł z tego świata), że zleceniodawcą mordu był prezydent. Ustalenia te wywołały oburzenie zwolenników Kuomintangu, a sam dr Sun, widząc, jak bardzo się mylił w stosunku do Yuana, wezwał swych popleczników do zbrojnego wystąpienia, które do historii przeszło jako Druga Rewolucja. Niestety, prześladowane lekarza rewolucjonistę, złote fatum ponownie dało o sobie znać i zryw zakończył się totalną klęską, sam przywódca Partii Narodowej ponownie znalazł się zaś na emigracji w Japonii.

Zdusiwszy opór, były generał zdeleglizował Kuomintang, przeciągnął na swoją stronę rzeszę posłów, przekupując ich dzięki pieniądзом uzyskanym z nielegalnie

zaciągniętej u obcych mocarstw pożyczki, a na koniec rozpuścił parlament i już jawnie zaczął sprawować dyktatorską władzę. To przyniosło mu miano „podwójnego zdrajcy”, niegodziwca, który najpierw zdradził swojego monarchę, a później Republikę. W efekcie do dziś Yuan jest uważany za jednego z najgorszych czarnych charakterów w dziejach Chin.

Dożywotnia dyktatura nie zaspokoila w pełni ambicji dawnego generała. W roku 1915 Yuan rozpoczął przygotowania do koronacji. Znienacka w prasie zaczęły się pojawiać informacje, że nad prezydencką karetą widziano smoka, czyli symbol cesarskiej władzy.

23 grudnia 1915 r. prezydent z wielką pompą został wyniesiony na Tron Smoka, czego jawnym dowodem było przywdzianie przez niego cesarskich szat i odprawianie zarezerwowanych dla cesarzy rytuałów w pekińskiej Świątyni Niebios. Wydawało się, że sen o Republice Chińskiej gwałtownie się skończył, w rzeczywistości był to jednak dopiero pierwszy akt tragedii. Marzenie Sun Yatsena miało teraz bowiem przemienić się w krwawy koszmar.

Intronizacja Yuana nie spotkała się z poparciem ze strony jego zwolenników. Wojskowi, którzy pomogli mu zdobyć władzę, uświadomili sobie, że skoro proklamowana została nowa dynastia, to ich szanse na następcę wodza zmalały do zera. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Kolejni gubernatorzy prowincji wypowiadali posłuszeństwo Pekinowi. Żaden z nich nie miał jednak konstruktywnego programu; wszyscy dążyli wyłącznie do jak największej władzy i jak najszybszego napchania sobie kiesy.

Zanim nowy cesarz zdołał się zorientować w grożącym mu niebezpieczeństwie, Chiny rozpadły się na wiele autonomicznych dzielnic, których udziałni władcy toczyli przeciwko sobie niekończące się wojny. Przerażony Yuan ogłosił, że rezygnuje z Tronu Smoka, ale było już za późno, Państwo Środka pogryzło się w chaotycznej wojnie domowej, mającej trwać w różnych konfiguracjach aż do roku 1949. Niedoszły cesarz już jednak tego nie doczekał, gdyż dręczony chorobą nerek zmarł 6 czerwca 1916 r. Republika Chińska przemieniła się w ruinę, którą kolejne pokolenia Chińczyków ze wszystkich sił starały się odbudować. Do normalności kraj za Wielkim Murem Chińskim powrócił jednak dopiero kilkadziesiąt lat później, wskutek reform Deng Xiaopinga.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Zmieniamy się dla Państwa



Niedziela w samo
południe

POLITYCZNA
kawa

Niedziela 12:00

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl d118d10839


REALHISTORIK

Wspomnienia żydowskiego przestępcy

To jedna z najgłośniejszych, najbardziej skandalizujących książek dwudziestolecia międzywojennego. Wydana po raz pierwszy w 1933 r., wywołała olbrzymie zainteresowanie czytelników. A jej autor Urke Nachalnik z drobnego rzeźmieszcza przystąpił się w rozchwytywanego celebrytę.

Czyż można bowiem wyobrazić sobie bardziej elektryzujący temat? Złodziej recydywista, który połowę życia spędził w więzieniach, odsłania przed czytelnikiem najgłębiej skrywane tajemnice świata przestępczego. Żargon, obyczaje i sposoby działania kryminalistów. Pro-wadzi czytelnika przez tanie speluny, burdele, nielegalne domy gry, meliny, areszty i więzienia. Kreśli sylwetki zdeprawowanych przestępców, dziwek, kasiarzy i klawiszów.

Mało tego, autor był Żydem (prawdziwe nazwisko – Boruch Farbarowicz), który uczył się w religijnej szkole i o mało nie został rabinem! W swojej książce opisał „od kuchni” hermetyczny i niedostępny dla gojów świat chasydów. A że zrobił to w sposób zjadliwy i przejawiony – przysporzyło mu to jeszcze większej popularności.

Współczesnego czytelnika bez wąt-

pienia zaskoczy to, że spore fragmenty książki napisane przez żydowskiego autora można – w świetle obowiązujących obecnie standardów – uznać za antysemickie.

Weźmy choćby postać rabina ze szkoły religijnej, do której chodził Nachalnik. Jest to jakaś przerażająca kreatura, która bije swoich podopiecznych kańczugiem, dokonuje kuglarskich sztuczek i zije nienawiścią do gojów. Nieprawdopodobnie skąpy rabin mieszka w „brudnej norze” pospołu z gromadą zaniedbanych, niedorożwiniętych dzieci i żarłocznych kóz.

Podobnych fragmentów jest w książce znacznie więcej. Przeplatają się one z opisami kolejnych skoków, rozrób i libacji. Sporą część książki Nachalnik poświęca również swoim przygodom erotycznym, o których pisze bez najmniejszego skrępowania.

Niestety, Urke Nachalnik – który w latach 30. napisał jeszcze wiele podobnych, choć mniej udanych powieści – długo swoją sławą się nie nacieszył. W październiku 1939 r. w Otwocku uratował z płonącej synagogi zwój Tory. W odwecie został aresztowany i rozstrzelany przez Niemców. ©©



★★★★★
URKE NACHALNIK
„ŻYCIORYS
WŁASNY
PRZESTĘPCY”
REPLIKA 2018


HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zapomniana rocznica

Stosunek do sprawy polskiej w Wiedniu i Berlinie ewoluował w miarę trwania I wojny światowej. Teoretycznie Niemcy nie wyrażali zainteresowania Królestwem Kongresowym, a w ich parlamencie padły nawet słowa, że dość mają problemów ze „swoimi” Polakami, by byli im jeszcze potrzebni następni. Faktycznie jednak Berlin zamierzał zaanektować przygraniczne terytoria, by wyrównać przebieg granicy. Z kolei Austriacy deklarowali chęć zjednoczenia ziem polskich pod berłem Habsburgów, jednak politycy

osiągnięcia przewagi nad Francuzami.

Polacy jednak nie chcieli umierać za państwa centralne i w tej sytuacji w Wiedniu oraz Berlinie przygotowano rozwiązanie polityczne mające spowodować wzrost poparcia dla państw centralnych. 5 listopada 1916 r. ogłoszono manifest, w którym Wilhelm II i Franciszek Józef zapowiedzieli powstanie samodzielnego Królestwa Polskiego. Zabrakło tylko słowa „suwerenność”, a w zamian pojawiły się zapowiedź sojuszu nowo utworzonego królestwa z państwami centralnymi, a także stwierdzenie, że wytyczenie granic nastąpi po wojnie. Powszechnie odebrano to jako zwiastun dalszego okrojenia ziem Kongresówki, a zatem kolejnego rozbioru.

Akt 5 listopada 1916 r. spotkał się w Królestwie Polskim z chłodnym przyjęciem, chociaż powszechnie rozumiano jego doniosłość. Wprawdzie nie dawał Polakom niczego konkretnego, ale polska sprawa zyskała wymiar międzynarodowy. Na deklarację dwóch cesarzy musieli zareagować Rosjanie i faktycznie już 15 listopada obiecali, że „rząd rosyjski ma na widoku utworzenie Królestwa Polskiego, które obejmować ma wszystkie ziemie polskie”. Co więcej, rosyjską deklarację podchwyciły rządy i parlamenty innych państw ententy, a także wówczas neutralnych Stanów Zjednoczonych.

Był to niewątpliwie sukces Polaków. Pierwszy raz od lat sprawa polska przestała być uważana za wewnętrzny problem państw zaborczych. ©©

5 listopada 1916 r.
ogłoszono manifest.
Zabrakło tylko słowa
„suwerenność”

z Wiednia, a szczególnie z Budapesztu, obawiali się siły polskiego żywiołu. Nie było w tym przesady, jako że nasi rodacy mogli się stać najlicniejszym narodem naddunajskiej monarchii.

Do lata 1916 r. nie poruszano tematu, gdyż byłaby to deklaracja polityczna, komplikująca ewentualne negocjacje pokojowe. Jednak krwawa bitwa pod Verdun na froncie zachodnim i ofensywa Brusilowa na wschodzie pokazały, że wojna będzie trwała jeszcze bardzo długo. Polacy mogli się stać kluczem do zwycięstwa, nowo sformowane Wojsko Polskie mogłoby zastąpić w walce z Rosjanami żołnierzy niemieckich, których skierowano by na zachód w celu



**DODATEK SPECJALNY
NAJWAŻNIEJSZE OSIĄGNIĘCIA
OSTATNIEGO STULECIA**

Polskie wynalazki i hity eksportowe



Partnerzy strategiczni:



Bank Polski



Polska Grupa Energetyczna

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

2018

*wspieramy
pamięć*



**Polska Grupa
Energetyczna**

**MECENAS OBCHODÓW
SETNEJ ROCZNICY
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**



1917–1920

Gabriel Narutowicz (1865–1922) według udoskonalonego przez siebie projektu zbudował elektrownię wodną Mühleberg na rzece Aare w pobliżu Berna w Szwajcarii, jedną z największych podówczas i najnowocześniejszych w Europie. Stworzył w tym celu sztuczne jezioro



Gabriel Narutowicz FOT. NAC

o pojemności ok. 10 mln m sześć. Spadająca z wysokości 17–20 m woda napędzała sześć turbin Francisa o łącznej mocy 48,6 KM. Po osiągnięciu pełnej mocy w 1923 r. (64,8 KM) elektrownia wytworzyła 98 mln kWh energii elektrycznej.

1921

W Alpach nakręcono krajobrazowy film barwny systemem addytywnym wynalezionym przez **Jana Szczepanika** (1872–1926) i przy użyciu skonstruowanej przez niego aparatury. System ten miał wiele zalet, m.in. oddawał kolory naturalne, ale wymagał użycia skomplikowanych projektorów i nie wytrzymał konkurencji subtraktywnych systemów amerykańskich, zwłaszcza technicoloru.

W Babcach pod Warszawą pierwszą w Polsce radiostację transatlantycką (10 stalowych wież mających po 126 m wysokości) zbudował **Stanisław Olszewski** (1858–1929), wcześniej twórca kratowych mostów stalowych na wielkich rzekach Rosji, m.in. Wołdze, Amu-darii, Irtyszu, Omie i Dońcu.

1922

Józef Tykociner-Tykociński (1877–1969), urodzony we Włocławku, 9 czerwca na University of Illinois w Urbana podczas konferencji American Institute of Electrical Engineers zademonstrował publicznie pokaz filmu dźwiękowego własnego systemu – jednego z pierw-

szych wykorzystujących tzw. zapis gęstościowy na taśmie filmowej. Mimo sukcesu i entuzjazmu prasy amerykański przemysł filmowy nie zainteresował się tym wynalazkiem.

16 sierpnia **Karol Adamiecki** (1866–1933) objął na Politechnice Warszawskiej specjalnie utworzoną dla niego Katedrę Zasad Organizacji Pracy i Przedsiębiorstw Przemysłowych. Był on jednym z twórców naukowej organizacji pracy w skali światowej od lutego 1903 r., kiedy na zebraniu oddziału Rosyjskiego Cesarskiego Towarzystwa Technicznego w Jekaterynosławiu wygłosił odczyt „O zasadach organizacji pracy zbiorowej”, w którym po raz pierwszy uznał har-

delfii Benjamin Franklin Bridge przez rzekę Delaware, zaprojektowany przez **Rudolfa Modrzejewskiego** (Ralph Modjeski, 1861–1940) – pierwszą przeprawę z charakterystycznych dla naszej epoki mostów wiszących o rekordowej podówczas rozpiętości przeszła podwieszono (533 m) i stalowych sprężystych pylonach nośnych o wysokości 110 m.

1926–1928

Imigrant z Polski **Juliusz Edgar Lilienfeld** (1882–1963), urodzony we Lwowie, uzyskał w USA trzy patenty na urządzenia służące do wzmacniania sygnału elektrycznego, będące w istocie prototypami tranzystorów polowych (MESFET

Wielcy polscy wynalazcy i konstruktorzy



prof. Bolesław Orłowski



Krzysztof Michalski,
dziennikarz, Polskie Radio SA

monizację robót w czasie za konieczny warunek powodzenia procesu produkcji.

1923

Do znajdującego się we wstępnej fazie budowy morskiego portu w Gdyni 13 sierpnia wpłynął pierwszy statek pełnomorski (francuski „Kentucky”). Port zlokalizował, zaprojektował i do 1937 r. kierował jego budową **Tadeusz Apolinary Wenda** (1863–1948).

1926

W ramach świętowania 150-lecia Stanów Zjednoczonych otwarto w Fila-

i MOSFET), tranzystora półprzewodnik-metal-półprzewodnik (SMST) oraz tranzystora metal-półprzewodnik-metal z efektem Schottky’ego (MSMT). Przewidywał zastosowanie jako półprzewodnika siarczku miedzi i podał w opisie sposób nanoszenia jego warstw. Sprawili to trudności w patentowaniu nowoczesnych tranzystorów wynalezionych w Bell Laboratories (1948–1951).

1929

12 sierpnia w Maurzycach pod Łowiczem na rzece Słudwi otwarto pierwszy w Europie stalowy drogowy most



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl





■ spawany o rozpiętości 27 m, zaprojektowany przez **Stefana Bryłę** (1886–1943), pioniera stosowania spawania w budownictwie, autora pierwszych na świecie dotyczących tego przepisów dla Ministerstwa Robót Publicznych (1928).

W sierpniu odbył się pierwszy lot samolotu myśliwskiego PZL P.1 zaprojektowanego przez **Zygmunta Puławskiego** (1901–1931), pierwszego z serii nadzwyczaj udanych polskich myśliwców o tzw. płacie polskim (w wersji PZL P.11 były pierwszymi w świecie myśliwcami metalowymi, oblatanymi w sierpniu 1931 r.).

W ramach Komisji Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów **Maksymilian Tytus Huber** (1872–1950) – prekursor teorii plastyczności na skalę światową – wygłosił w Zurychu cykl wykładów na temat pionierskich badań nad płytami ortotropowymi, jakie prowadził od 1914 r.

1932

Zespół kryptologów: **Henryk Zygałski** (1908–1978), **Marian Rejewski**



Maszyna szyfrująca typu Enigma FOT. FOTOLIA

(1905–1980) i **Jerzy Różycki** (1909–1942) złamał kod niemieckiej elektromechanicznej maszyny szyfrującej typu Enigma; jej repliki przekazano w lipcu 1939 r. wywiadowi francuskiemu i brytyjskiemu, co ukierunkowało skuteczną działalność brytyjskiego ośrodka wywiadowczego Bletchley Park podczas drugiej wojny światowej.

1933

Stanisław Skarżyński (1899–1942) w dniach 7–8 maja dokonał przelotu ponad Atlantykiem z Saint Louis we Francuskiej Afryce Zachodniej do Macelo w Brazylii na górnopłacie RWD-5bis o rozpiętości skrzydeł 10,2 m z silnikiem



Samolot RWD-5bis FOT. NAC

o mocy 120 KM, ustanawiając międzynarodowy rekord odległości (3582 km) dla samolotów sportowych (do 450 kg).

Tadeusz Sędzimir (1894–1989) w Kostuchnie pod Katowicami uruchomił pierwszą na świecie linię ciągłego wyżarzania i cynkowania blach stalowych na skalę przemysłową według własnego pomysłu, a w Hucie Pokój w Chorzowie pierwszą walcarkę do ciągłego walcowania stali na zimno swego systemu. Wynalazki te zrewolucjonizowały w następnych dziesięcioleciach stalownictwo światowe.

Oddano do eksploatacji kolejową magistralę węglową Herby-Gdynia (551 km, w tym 457 całkowicie nowych), kluczową ze względów gospodarczych, zbudowaną pod kierownictwem **Józefa Nowkuńskiego** (1868–1952).

W Warszawie otwarto 2 września kluczową dla funkcjonowania komunikacji miejskiej kolejową linię średnicową zaprojektowaną przez **Aleksandra Wasiutyńskiego** (1859–1944), wybitnego pioniera badań doświadczalnych rzeczywistej pracy toru kolejowego podczas eksploatacji, nagrodzonego za to złotym medalem na wystawie powszechnej w Paryżu (1900).

1936

Powstał nowoczesny bombowiec PZL.37 Łoś o laminarnym profilu skrzydła zaprojektowany przez **Jerzego Dąbrowskiego** (1899–1967), wyposażony w pierwowzór nowoczesnego podwozia wielokołowego pomysłu **Piotra Kubickiego** (1903–1990), o udźwigu bomb wynoszącym 2580 kg, rozwijający prędkość maksymalną 460 km/h (nieosiągalną dla większości ówczesnych myśliwców).

19 sierpnia **Rudolf Gundlach** (1892–1957) uzyskał patent brytyjski (nr 452263), a niebawem także francuski (nr 801142) na czołgowy peryskop od-



PZL.37 Łoś FOT. NAC

wracalny G wzór 34, zapewniający pełne pole widzenia (360°), który upowszechnił się podczas drugiej wojny światowej, stanowiąc jedno z najdonioślejszych ulepszeń broni pancernej w tym czasie.

1937

Janusz Groszkowski (1898–1984) i **Stanisław Ryzko** (1910–1974) zbudowali pierwszy magnetron z katodą tlenkową, co stanowiło podówczas ważny postęp w tworzeniu techniki radarowej.

Z inicjatywy wicepremiera i ministra skarbu RP **Eugeniusza Kwiatkowskiego** (1888–1974) podjęto rozbudowę w tzw. trójkącie bezpieczeństwa w widłach Wisły, Dunajca i Sanu Centralnego Okręgu Przemysłowego, mającego zwiększyć potencjał obronny państwa na podstawie zaplecza surowcowo-energetycznego oraz rozwiązać problemy demograficzno-społeczne w tym regionie; planowano budowę ok. 300 nowoczesnych zakładów przemysłowych.

Władysław Cetner (1903–1992) podjął eksperymenty telewizyjne, emitując próbne programy z nadajnika zainstalowanego na szczycie gmachu Prudentialu w Warszawie.

1938

W Dębicy uruchomiono produkcję syntetycznego kauczuku butadienowego KER w oparciu o technologię opracowaną pod kierownictwem **Wacława Szukiewicza** (1896–1992).

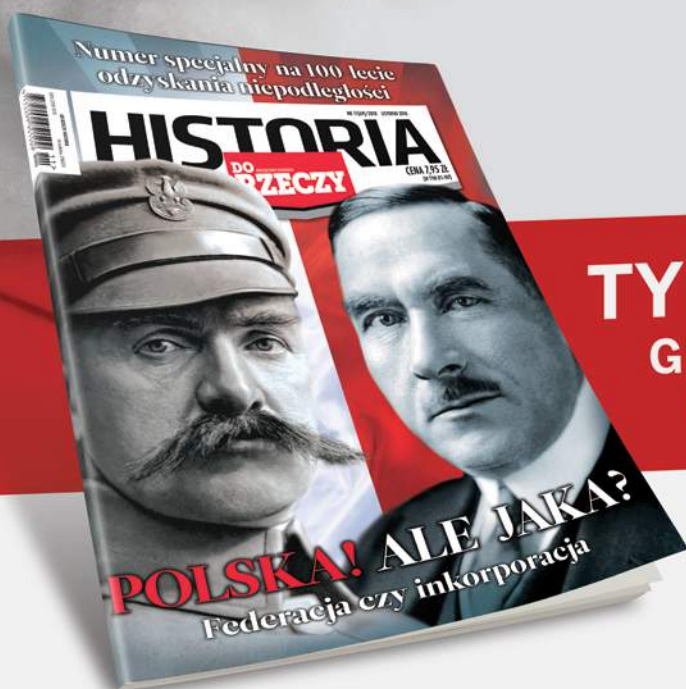
1941

Józef Kosacki (1909–1990) skonstruował w polskim Centrum Wyszkożenia Łączności w Szkoci elektromagnetyczny wykrywacz min (opatentowany ■



Wykrywacz min FOT. SPENDER/IMPERIAL WAR MUSEUM

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

GIERTYCH KONTRA GLUZA:

Ostra debata na temat Piłsudskiego

Piotr Zychowicz – **Federacja czy inkorporacja?**

Saul David – **Izraelscy komandosi w Ugandzie**

Sławomir Koper – **Piękna hrabina - szpieg**

Mikołaj Iwanow – **Władca GUŁagu**

Marcin Bartnicki – **Zbrodnie Teda Kaczynskiego**

Gideon Greif – **Sonderkommando w Auschwitz**

Zbigniew S. Siemaszko – **Sowietom nie wolno ufać**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



■ jako: Mine Detector Polish Mark I), kilkakrotnie wydajniejszy od będących w użyciu, zastosowany po raz pierwszy w bitwie pod El-Alamejn w listopadzie 1942 r.

W wytwórni de Havilland of Canada w Toronto **Wacław Czerwiński** (1900–1988) projektował i kształtował na gorąco ze sklejk drewnianej wynalezioną przez siebie metodą elementy konstrukcyjne samolotów bojowych NA-66 Harvard II, Anson i DH.98 Mosquito, co było ważne z uwagi na materiałowe ograniczenia wojenne.

1943

Pracujący od sierpnia 1940 r. w Admiralty Signal and Radar Establishment w Haslemere w Wielkiej Brytanii **Wacław Struszyński** (1904–1980), gdzie skonstruował goniometryczną antenę namiarową umożliwiającą skuteczną lokalizację niemieckich okrętów podwodnych, kiedy w wynurzeniu kontaktowały się radioowo z bazą (instalowano ją na okrętach eskortujących alianckie konwoje), uzyskał w urzędzie patentowym Generalnego Gubernatorstwa w Warszawie patent (nr 32442) na związany z jej funkcjonowaniem schemat radiowy (wniosek nań złożył w 1938 r.).

Jerzy Rudlicki (1893–1977), pracujący w filii amerykańskiej wytwórni lotniczej Lockheed przy bazie sił powietrznych USA w Belfaście w Irlandii Północnej, opracował wyrzutnik do bombardowań powierzchniowych, zastosowany na bombowcach Boeing B-17 Flying Fortress.

1944

Od czasu inwazji na Włochy, a także na Pacyfiku, armia amerykańska korzystała z przenośnych radiostacji (walkie-talkie) typu SCR-300 FM, skonstruowanych przez firmę Galvin w Chicago (od 1947 r. Motorola) na podstawie trzech patentów **Henryka Magnuskiego** (1909–1978).

6 czerwca, podczas inwazji na Normandię, dowództwo alianckie komunikowało się z oddziałami walczącymi na plażach przez nowatorskie 8-kanalowe dupleksowe łącze radiowe WS no. 10, pracujące w paśmie mikrofalowym 4 GHz z modulacją szerokości impulsu, skonstruowane przez zespół kierowany przez **Zygmunta Jelonka** (1909–1994), przed wojną twórcy generatora wzbudzającego Radiostacji Wileńskiej (1935–1936), o najlepszej podówczas w Europie stabilności częstotliwości.



Działko przeciwlotnicze Polsten FOT. WIKIPEDIA

W Wielkiej Brytanii rozpoczęto produkcję ponad 50 tys. maszynowych działek przeciwlotniczych Polsten kalibru 20 mm (uproszczonej wersji Oerlikonu, złożonej ze 119 części zamiast 250, równie niezawodnej, a kilkakrotnie tańszej), której twórcą był **Jerzy Podseńkowski** (1900–1962), zatrudniony od 1941 r. w Armament Design Department brytyjskiego Ministry of Supply w Cheshunt.

1949

Wiosną użyto elektroiniekcyjnej metody zeskalania gruntów (tzw. ceberetyzacji), wynalezionej w Eidgenössische Technische Hochschule w Zurychu przez **Romualda Cebertowicza** (1897–1981) do skutecznego przeciwdziałania osuwaniu się kościoła św. Anny w Warszawie ze skarpy przy Trasie W-Z.

1950

Zatrudniony w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu, były powstaniec warszawski, **Jerzy Nomarski** (1919–1997), udoskonalił tzw. kontrast interferencyjny, co zaowocowało trzema

generacjami coraz znakomitszych mikroskopów optycznych, od 1970 r. wyposażonych także w pryzmat Nomarskiego.

1951

Stefan Kudelski (1929–2013) skonstruował w Szwajcarii pierwszy przenośny model magnetofonu Nagra z unikatowym wówczas systemem stabilizacji prędkości. Ciągłe doskonalone magnetofony Nagra były przez wiele lat używane przez reporterów radiowych, telewizyjnych,



Magnetofon Nagra FOT. NAGRA/MATERIAŁY PRASOWE

a także przez studia filmowe na całym świecie, a Kudelski otrzymał dzięki nim nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej (w latach: 1965, 1977, 1978 i 1990) i dwukrotnie nagrodę Emmy.

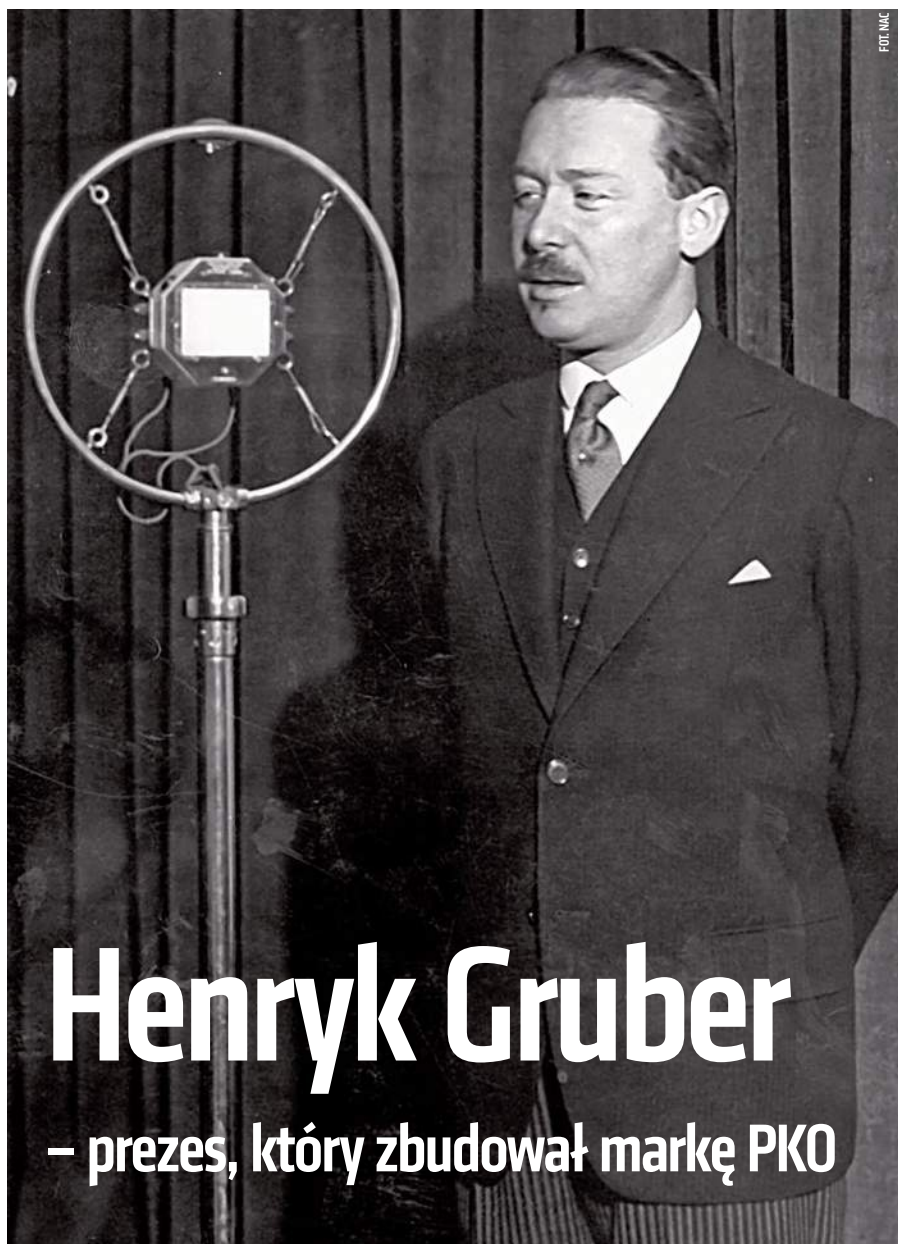
1952

Światowej klasy matematyk **Stanisław Marcin Ulam** (1909–1984) wniósł kluczowy wkład w wynalezienie przez Edwarda Tellera (1908–2003) bomby wodorowej.

W Raleigh w stanie Karolina Północna oddano do użytku halę wystawową (obecnie Dorton Arena), zaprojektowaną (wraz z W.H. Dietrickiem) przez **Macieja Nowickiego** (1910–1950), znaną jako Paraboleum. Budowla została uznana za jedno z najwybitniejszych dzieł architektury modernistycznej (dwa przeciwstawne łuki paraboliczne podtrzymują wiszący dach).



Dorton Arena FOT. WIKIPEDIA



FOT. NAC

Henryk Gruber

– prezes, który zbudował markę PKO

Czy legionista, urzędnik państwowy, ochotnik wojny polsko-bolszewickiej, poeta, doktor prawa, kawaler Orderu Virtuti Militari, twórca polskiego systemu ubezpieczeń, publicysta mógł potraktować powołanie na funkcję prezesa Poczтовой Kasy Oszczędności jedynie jako intratną synekurę?

W 1928 r., gdy powierzono mu tę posadę, Henryk Gruber miał 36 lat. Tak nietuzinkowa postać musiała odcisnąć piętno na zarządzanej aż do wojny instytucji. Choć działający od 1919 r. bank był już wtedy bardzo ważnym elementem systemu

finansowego w Polsce, to za prezesury Grubera zyskał powszechnie rozpoznawalną markę. Inwencja i osobiste zaangażowanie prezesa spowodowały, że Poczтова Kasa Oszczędności stała się w latach 30. XX w. instytucją szanowaną, a nawet lubianą. Jej cele społeczne,

wartości, etos funkcjonowania stawały się wspólnie dla obywateli odrodzonego państwa.

Wymyślony przez prezesa Grubera slogan reklamowy „Pewność i zaufanie” zaistniał w umysłach milionów Polaków. Można go było przeczytać w gazetach, na afiszach i reklamach umieszczanych na tramwajach. Symbolika PKO widniała na produktach codziennego użytku, a neony, wówczas niezwykle mocno poruszające emocje, lansowały swoim błyskiem prosty przekaz: PKO to instytucja dająca pewność, że powierzone jej pieniądze są inwestowane bezpiecznie, są w dobrych rękach i przynoszą korzyści zarówno ich właścicielom, jak i całej Polsce.

Maksyma „Pewność i zaufanie” żyła w społeczeństwie własnym życiem. Wielu deponowało w Kasie swoje oszczędności, również dlatego, że gwarantowała ona stabilność i pewność poręczoną przez Skarb Państwa. W okresie światowego kryzysu gospodarczego, gdy wycofywano depozyty z banków prywatnych, duża ich część wciąż wpływała do cieszącej się zaufaniem Poczтовой Kasy Oszczędności.

Prezesa Grubera rozpierała energia. Działanie było jego żywiołem. Uruchomił w Kasie Dział Ubezpieczeń na Życie prowadzący działalność na terenie całego kraju. Stworzył Bank Polska Kasa Opieki (dzisiaj Pekao SA), obsługujący finanse Polonii oraz handel zagraniczny, którego akcje były własnością PKO. Pod jego wodzą PKO prowadziła politykę lokacyjną wspierającą gospodarkę państwa oraz jego cele społeczne – budownictwo mieszkaniowe, drogownictwo, koleje żelazne, port i miasto Gdynię, Centralny Okręg Przemysłowy, telefonię. Kasa pełniła funkcję mecenasa polskich organizacji naukowych, kulturalnych, artystycznych, bibliotek, klubów sportowych, ochronek dla dzieci, szkół oraz organizacji wojskowych.

Wojna przerwała rozwój kraju. Kto przeżył, ten musiał raz jeszcze budować swoją historię. Henryk Gruber osiadł w Argentynie, gdzie pracował w branży ubezpieczeń. PKO, którego markę budował, to dzisiaj największy bank uniwersalny w Polsce, znajdujący się na liście 2 tys. największych firm świata magazynu „Forbes”. A „Pewność i zaufanie” to hasło, które dla PKO Banku Polskiego nie jest wyłącznie historią.

Bogdan Kowalski

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z PKO BANKEM POLSKIM



1953

Pionier prefabrykacji i stosowania betonu wstępnie sprężonego, **Tomasz Kluz** (1897–1987), doprowadził do powstania pod jego kierownictwem pierwszych w Polsce tego rodzaju mostów drogowych: kablobetonowego w Starym Młynie koło Końskich oraz zbrojonego deskami strunobetonowymi we Wzdole.

1958

Wszelchstronny wynalazca **Stefan Tyszkiewicz** (1894–1976) uzyskał Grand Prix na Wystawie Powszechnej EXPO '58 w Brukseli za pionierskie podówczas elektroniczne systemy zdalnego dyktowania i odtwarzania, w wysokim stopniu zautomatyzowane i wyposażone w zabezpieczenia kodowe: Stenovox i Stetyphone.

W przemysłowym zakładzie doświadczalnym w Luboniu koło Poznania została pozytywnie zweryfikowana oryginalna kwasowa metoda wytwarzania hutniczego tlenku glinowego i siarczaniu glinowego z glin i innych podobnych surowców krajowych, wynaleziona przez **Stanisława Bretsznajdera** (1907–1967). Nie doczekała się jednak pełnej realizacji przemysłowej.

1961

Tadeusz Rut (1925–2018) pracujący w Centralnym Laboratorium Obróbki Plastycznej w Poznaniu opracował Metodę TR – technologię kucia wałów korbowych o ciągłym przebiegu włókien wzdłuż całej długości, co znacząco zwiększa ich wytrzymałość, skraca czas wytwarzania, oszczędza energię i materiał. Licencję na technologię polskiego wynalazcy wraz z dedykowanymi urządzeniami zakupiło kilkanaście światowych firm (m.in. Thyssen, Krupp, Sulzer, Japan Steel Works).

1967

Olgięrd Cecyl Zienkiewicz (1921–2009) wpisał się na listę czołowych światowych pionierów obliczeniowej metody elementów skończonych i jej zastosowań w mechanice budowli, wydając książkę „The Finite Element Method”.

1968

Zygmunt Stanisław Makowski (1922–2005), międzynarodowej klasy specjalista w dziedzinie konstrukcji przestrzennych, kierował budową dwóch wielkich hangarów o dachach z prefabrykowanych elementów stalowych

mających po 153 m rozpiętości na lotnisku Heathrow w Londynie [w związku z wejściem do eksploatacji samolotów pasażerskich Boeing 747 (zwanych jumbo jet)].



Aston Martin. FOT. ASTON MARTIN/MATERIAŁY PRASOWE

Firma brytyjska Aston Martin wypuściła na rynek bardzo udany i głośny (m.in. dzięki serialowi z Jamesem Bondem) samochód sportowy AM DBS V8 z 8-cylindrowym silnikiem o układzie widlastym o pojemności 5,3 dm sześć. skonstruowanym przez **Tadeusza Marka** (1908–1982).

1969

Wacław Olszak (1902–1980) objął kierownictwo utworzonego przy jego udziale Centre International des Sciences Mécaniques (CISM) w Udine we Włoszech i pełnił tę funkcję do końca życia.

1971

Żałoga wyprawy Apollo 15 użyła pojazdu księżycowego Lunar Roving Vehicle skonstruowanego w laboratorium badawczym General Motors Corporation AC w Santa Barbara w Kalifornii przez zespół kierowany przez **Mieczysława Grzegorza Bekkera** (1905–1989).

Firma Nagra, kierowana przez **Stefana Kudelskiego** (1929–2013) i oparta na jego wynalazkach, wprowadziła na rynek wysokiej klasy zminiaturyzowane magneto-fony szpiegowskie typu SN (Série Noire).

Jacek Karpiński (1927–2010) skonstruował znakomity modułarny 16-bitowy

mikrokomputer K-202 o rozwiązaniach nowatorskich w skali światowej (m.in. stronicowym adresowaniu pamięci operacyjnej), o szybkości miliona operacji na sekundę.

1974

Zenon R. Mocarski (1930–2012), wynalazca i przemysłowiec urodzony w okolicach Łomży, opatentował w USA najbardziej udaną wersję dyszy odrzutowej wykorzystującej efekt Coandy (nr 3806039).

Zakończona została budowa masztu w Radiowym Centrum Nadawczym w Konstantynowie. Licząca 646 m konstrukcja była wówczas najwyższą na świecie. Jej projektantem był Jan Polak, a budowę kierował Andrzej Szepczyński. Maszt runął w 1991 r. podczas wymiany odcigłów.

1976

Wieżę telewizyjną CN Tower w Toronto w Kanadzie, podówczas najwyższą na świecie (553 m), wznosił **Andrzej Rozwadowski** (ur. 1938).

1990

Wynalazca **Leszek Filipczyński** (1923–2004) opatentował ultradźwiękowe urządzenie do nieinwazyjnego kruszenia kamieni nerkowych (nr 149842).

1992

Projekt OGLE (Optical Gravitational Lensing Experiment) – eksperyment prowadzony przez zespół **Andrzeja Udalskiego** (ur. 1957) z Obserwatorium Astronomicznego UW, a zainicjowany przez prof. **Bohdana Paczyńskiego** (1940–2007), autora metody mikrosoczewkowania grawitacyjnego do wykrywania obiektów kosmicznych, wykładowcę Uniwersytetu



Teleskop projektu OGLE w Obserwatorium Las Campanas w Chile. FOT. KRZYSZTOF ULACZYK

Stulecie odzyskania niepodległości **xm przystanek niepodległość**
muzeum Historii Polski **zaprasza do udziału w grze rodzinnej**
Labirynt Niepodległości



WSTĘP WOLNY

10.11.2018, godz. 10-20
11.11.2018, godz. 11-19
Plac Teatralny 1, Warszawa

www.muzehp.pl

Organizator



niepodległa

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Sponsor



Patroni medialni



Dofinansowano ze środków MKiDN w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022

eprasa.pl d118d10839



Stadion olimpijski w Sydney FOT. WIKIPEDIA

■ Princeton i CAMK PAN, kilkakrotnie nominowanego do Nagrody Nobla. Dzięki zastosowaniu metody mikrosoczewkowania grawitacyjnego zespół OGLE odkrył wiele planet pozasłonecznych.

1993

Sylwester Porowski (ur. 1938) opracował wysokociśnieniową technologię wzrostu monokryształów azotku galu (GaN) o doskonałej strukturze i o wielkości umożliwiającej wykorzystanie ich jako doskonałego podłoża do budowy przyrządów optoelektronicznych, takich jak diody i lasery niebieskie. Technologia ta została opatentowana w wielu krajach. W 2001 r., dzięki zastosowaniu idealnych podłoży azotku galu, udało się zaobserwować po raz pierwszy akcję laserową (niebieski laser na monokryształach GaN), a w 2004 r. w Instytucie Wysokich Ciśnień PAN Unipress powstał pierwszy na świecie niebieski laser wytworzony metodą PA MBE (bezwodorowej epitaksji – polska technologia opatentowana w wielu krajach).

1995

W Klinice Kardiologii Ślaskiej Akademii Medycznej w Zabrzu **Zbigniew Religa** (1938–2009) wszepił pacjentowi pierwszą polską protezę serca skonstruowaną w Fundacji Rozwoju Kardiologii.

1999

W Sydney zakończyła się budowa największego w historii igrzysk olimpijskich stadionu, którego projektantem i budowniczym był **Edmund Obiała** (ur. 1946). Absolwent Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Bydgoszczy i Politechniki Poznańskiej zaprojektował wielofunkcyjny obiekt na

115 tys. miejsc, z najnowszymi rozwiązaniami technologicznymi i ekologicznymi, którego budowa trwała zaledwie 29 miesięcy. Obiała był też m.in. dyrektorem naczelnym budowy nowego stadionu Wembley i przebudowy Opery w Sydney.

2002

W Japonii i USA rozpoczęto przemysłową produkcję polimerów metodą kontrolowanej polimeryzacji rodnikowej z przeniesieniem atomu ATRP (Atom Transfer Radical Polymerization). Metodę tę odkrył **Krzysztof Matyjaszewski** (ur. 1950) pracujący na Carnegie Mellon University w Pittsburghu i w PAN. Używała ona ponad 100 patentów amerykańskich i międzynarodowych, a do wytwarzania nią polimerów powstało konsorcjum ponad 30 firm chemicznych z Europy, Ameryki i Azji. W 2011 r. Matyjaszewski został laureatem prestiżowej Nagrody Wolfa, a w roku 2013 otrzymał nagrodę AkzoNobel North America Science Award w dziedzinie chemii.

2002

Henryk Skarżyński (ur. 1954) opracował nową elektrodę i procedurę kliniczną, które stały się podstawą programu leczenia częściowej głuchoty u osób dorosłych. Metoda ta uważana za polską specjalność – znana jako „metoda Skarżyńskiego” – została wdrożona w dziewięciu światowych ośrodkach. Skarżyński w 2003 r. uruchomił Międzynarodowe Centrum Słuchu i Mowy, a w 2012 r. Światowe Centrum Słuchu.

2005

Andrzej Nowicki (ur. 1945) z Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN wdrożył do produkcji ultrasonografy

z obrazowaniem kolorowym przepływu krwi, których podstawy teoretyczne opracował już w 1998 r. Na podstawie tego wdrożenia powstała rodzina nowoczesnych urządzeń diagnostycznych – od małych aparatów przenośnych do dużych, stacjonarnych. Wysoka jakość ultrasonografów Nowickiego została doceniona za granicą – są one eksportowane m.in. do Wielkiej Brytanii i Holandii.

2005

Tomasz Dietl (ur. 1950), jeden z twórców nowej dziedziny nauki – spintroniki półprzewodnikowej – otrzymuje za pionierskie prace z tej dziedziny nauki prestiżową nagrodę Europejskiego Towarzystwa Fizycznego (Agilent Technologies Europhysics Prize 2005). Dietl opracował teorię rozcieńczonych półprzewodników ferromagnetycznych, która została potwierdzona doświadczalnie.

2006

Maciej Wojtkowski (ur. 1975) pracujący po powrocie z USA (MIT) na UMK w Toruniu opracował (1999) i wprowadził do praktyki okulistycznej nowy bezinwazyjny sposób obrazowania wnętrza gałki ocznej – metodę spektralnej tomografii optycznej SOCT (Spectral Optical Coherence Tomography), stukrotnie szybszą od już istniejącej metody tomografii optycznej OCT. Dzięki zwiększeniu prędkości pomiaru umożliwia ona obserwację struktur oka w czasie rzeczywistym. Seryjną produkcję tomografu SOCT Copernicus – pierwszego na świecie tomografu do badania dna oka w technologii spektralnej, umożliwiającego nieinwazyjną i błyskawiczną obserwację patologicznych zmian siatkówki (np. jaskry czy zwyrodnienia plamki), podjęto w 2006 r.



Tomograf SOCT Copernicus FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wierzimy w to, co robimy.

Wierzimy w beton komórkowy.

SOLBET – nowoczesność zbudowana na tradycji

SOLBET jest liderem oraz największym producentem betonu komórkowego w Polsce. Możliwości produkcyjne wszystkich zakładów Grupy SOLBET sięgają ponad 2 milionów metrów sześciennych rocznie. Fundamentem pozycji lidera jest dotychczasowy dorobek, prawie 70-letnie doświadczenie, stały rozwój oraz pasja, jaką jest beton komórkowy.

Beton komórkowy firma SOLBET produkuje od 1951 roku. Obecnie to siedem zakładów produkujących materiały ściennie. Centrala firmy mieści się w Solcu Kujawskim, zakładzie o największej dobowej produkcji betonu komórkowego w Europie. Pozostałe zakłady mieszczą się w Lubartowie, Podnieśnie, Stalowej Woli, Głogowie Małopolskim, Rurce i Lipiu. Do Grupy Kapitałowej SOLBET, należą również zakłady mechaniczne, które produkują linie technologiczne do produkcji betonu komórkowego. Dzięki temu SOLBET wprowadza nowe technologie, uzyskując najwyższą jakość oraz nowoczesne materiały.

Marka SOLBET to nie tylko beton komórkowy. To również szeroka gama wyrobów chemii budowlanej w postaci zapraw, tynków, klejów, systemów ociepleń. Zakład w Aleksandrowie Kujawskim zajmuje się wytwarzaniem tej grupy produktów od ponad 20 lat. Z kolei zakład SOLBET w Rogowcu produkuje wyroby na bazie gipsu. Zakład w Kolbuszowej zajmuje się produkcją prefabrykowanych elementów żelbetowych.

Dzięki tak bogatej ofercie firma SOLBET jest jedynym oferentem tak szerokiego i kompletnego systemu, oferując materiały ściennie oraz chemię budowlaną. Systemowe podejście do procesu budowlanego przynosi korzyści inwestorom, projektantom, wykonawcom i partnerom handlowym. W ten sposób SOLBET realizuje misję lepszego budowania.



Poza obecnością na polskim rynku wyroby SOLBET są znane i dostępne również w wielu krajach europejskich.

Firma stale się rozwija, wykorzystując swoje możliwości, wierząc, że jest to niezbędne, by sprostać wymaganiom współczesnego rynku nowoczesnych inwestycji. Jako nieliczna, od lat realizuje badania materiałowe oraz badania konstrukcji z betonu komórkowego, współpracując na stałe z najlepszymi ośrodkami akademickimi oraz laboratoriami materiałowymi. Potwierdzeniem rzetelności oraz profesjonalizmu Grupy Kapitałowej SOLBET są stali i nowi klienci oraz szereg zdobytych nagród.

Motto firmy SOLBET: „Wierzimy w to, co robimy. Wierzimy w beton komórkowy” trafnie opisuje zaangażowanie firmy w propagowanie idei łatwego, energooszczędnego i trwałego budowania z betonu komórkowego.



2006

Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w obszarze nauk technicznych otrzymał **Leon Gradoń** (ur. 1947) za opracowanie teorii procesów powstawania i transportu aerozoli i mikrocząstek w gazach i cieczach (1982–1983) oraz jej wykorzystanie w urządzeniach technicznych (technologie wykorzystywane do filtracji paliwa, powietrza i spalin) oraz medycznych. Oparte na jego badaniach rozwiązania techniczne są stosowane w wielu firmach i przedsiębiorstwach polskich i zagranicznych [destylacja próżniowa kwasów tłuszczowych – Pollena, technologia filtrów do wody i innych płynów – Microspun Products, filtry CCV do silników Diesla – Cummins Filtration (USA, 2005) czy filtry membranowe do oczyszczania produktów spożywczych – Biodesign (Anglia)].

2006

Michał Kaszczuk (ur. 1979) i **Łukasz Osowski** (ur. 1978), absolwenci Politechniki Gdańskiej, tworzą technologię syntezy mowy Ivona, która zostaje uznana za najlepszą na świecie przez naukowców uczestniczących w międzynarodowej konferencji Interspeech w USA. Ivona pokonuje prace kilkudziesięciu zespołów, m.in. uczelni z USA, Chin, Niemiec, Japonii, a także firm: m.in. IBM i Microsoft. W 2018 r. synteza mowy Ivona udziela głosu najpopularniejszemu asystentowi głosowemu na świecie, mówi w blisko 30 językach i jest wykorzystywany przez ponad 50 mln ludzi na wszystkich kontynentach.

2010

Po czterech latach pracy **Włodzimierz Strupiński** (ur. 1957), pracujący wówczas w Instytucie Technologii Materiałów Elektronicznych w Warszawie, zgłosił do Urzędu Patentowego RP metodę wytwarzania wielkoformatowego grafenu poprzez osadzanie atomów węgla w warstwie o grubości jednego atomu

C na płytkach węgla krzemu (SiC), stosując klasyczną technikę epitaksji (nr P.391416). Kolejne technologie wytwarzania grafenu opracowane przez Strupińskiego – na podłożach miedzi (0,5 m x 0,5 m) i na germanie – uzyskały patenty w USA, Japonii, Chinach i Korei, a polski grafen o rekordowych parametrach elektrycznych wykorzystywany jest w pracach nad przyrządami elektronicznymi i spintronicznymi nowej generacji.

2010

Magazyn „Spectrum” – jedno z najbardziej prestiżowych pism branżowych na świecie – doniósł o wyhodowaniu kryształów azotku galu (GaN), które mogą być podstawą kolejnej rewolucji w elektronice i informatyce. Kryształy te udało się po raz pierwszy wyhodować oryginalną metodą Ammono (amonothermalnego wzrostu monokryształów azotków) już w 2000 r. Twórcami metody, nad którą prace rozpoczęto w 1992 r., są absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego, **Robert Dwiliński** (ur. 1965) i **Roman Doradziński** (ur. 1968), i Politechniki Warszawskiej – **Jerzy Garczyński** (ur. 1948) i **Leszek Sierżputowski** (ur. 1966).

2013

Dwa pierwsze miejsca w międzynarodowych zawodach University Rover Challenge rozgrywanych w czerwcu

w USA zajęły łaziki skonstruowane przez studentów z Polski. Zwyciężył Hyperion zespołu z **Politechniki Białostockiej**, a drugi był Scorpio III z **Politechniki Wrocławskiej**.

W listopadzie na orbicie Ziemi znalazł się pierwszy polski satelita naukowy LEM, który bada m.in. procesy fizyczne, jakie zachodzą w najjaśniejszych gwiazdach, co pozwoli na ustalenie ich rozmiarów, wieku, składu chemicznego i budowy wewnętrznej. LEM powstał w ramach projektu **BRITE-PL**, który realizuje konsorcjum CBK PAN i CAMK PAN.

2016

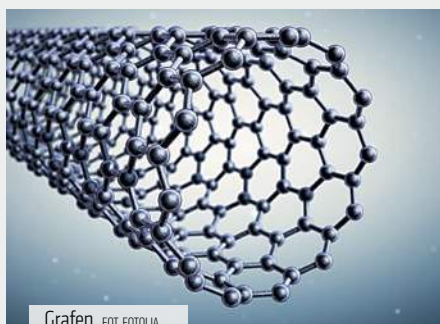
19 października na orbitę Marsa dotarła sonda Exo-Mars Trace Gas Orbiter wyposażona w kolorową kamerę stereo CaSSIS, której elementy (przełiczniki systemu zasilania) zaprojektowane w **Centrum Badań Kosmicznych PAN** wykonali inżynierowie firmy CreoTech.

2018

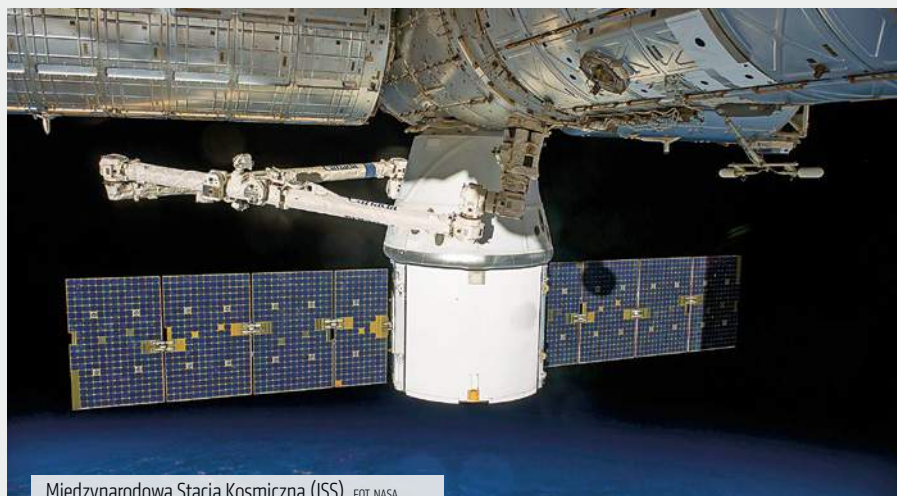
Do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) dostarczono urządzenie DESIS, które prowadzi hipspektralne obserwacje Ziemi w aż 235 zakresach promieniowania elektromagnetycznego. Jednym z jego kluczowych podwykonawców było **Centrum Badań Kosmicznych PAN**, którego inżynierowie zaprojektowali i wykonali system DESIS-POI odpowiedzialny za sterowanie i pozycjonowanie lustra sensora odbierającego promieniowanie z powierzchni Ziemi. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łazik Hyperion
FOT. ARTUR RESZKO/PAP



Grafen FOT. FOTOLIA



Międzynarodowa Stacja Kosmiczna (ISS) FOT. NASA

11 lat temu na polskim rynku pojawiły się pierwsze karty zbliżeniowe, które miały ogromny wpływ na kształtowanie się rynku płatniczego w naszym kraju. Kilka lat później rozpoczęła się eksplozja bankowych aplikacji mobilnych i bardzo szybko osiągnęła poziom kilku milionów aktywnych użytkowników. Dziś z aplikacji mobilnych banków w Polsce korzysta już 7 mln klientów, a liczba zarówno transakcji realizowanych przy użyciu kart płatniczych i telefonów, jak i punktów ich akceptacji rośnie w imponującym tempie.

Fenomenem na światową skalę jest system płatności mobilnych BLIK, który powstał na podstawie aplikacji IKO największego polskiego banku. Mimo że rodzimy rynek bankowy jest wysoce konkurencyjny, banki potrafiły osiągnąć do stołu i wspólnie stworzyć rozwiązanie, które przynosi korzyści całemu rynkowi i klientom.

– Nie tylko skutecznie wykorzystaliśmy światowy trend związany z mobilnością, lecz także pokazaliśmy, że potrafimy inicjować wspólne działania na rzecz całego rynku. Decyzja o udostępnieniu technologii IKO była rewolucyjna i całkowicie zmieniła obraz płatności mobilnych w Polsce – mówi Michał Macierzyński, dyrektor Departamentu Usług Cyfrowych w PKO Banku Polskim.

IKO i BLIK otworzyły nowe szanse dla polskiego sektora bankowego, a Polska między innymi dzięki temu systemowi znalazła się w gronie liderów płatności mobilnych w Europie i na świecie. Pomysł na stworzenie wspólnego, powszechnego i otwartego systemu płatności mobilnych okazał się strzałem w dziesiątkę także w praktyce. BLIK szybko stał się najpopularniejszym i najbardziej rozwiniętym systemem płatności mobilnych, umożliwiając milionom klientów dokonywanie bezpiecznych i wygodnych płatności w Internecie i tradycyjnych sklepach, wypłat i wpłat gotówki oraz przelewów natychmiastowych na numer telefonu bez znajomości numeru ich rachunku bankowego.

Dziś dostęp do BLIK-a ma ok. 90 proc. wszystkich klientów krajowych instytucji finansowych w aplikacjach bankowości mobilnej. Szeroka sieć akceptacji sprawia, że klienci banków chętnie z systemu korzystają, co poka-



Nowoczesny jak bank z Polski

Polska bankowość jest pod względem technologicznym jedną z najnowocześniejszych na świecie. Swoją rolę w tym mają nie tylko banki, które prześcigają się we wdrażaniu innowacyjnych rozwiązań, lecz także chętnie adaptujący nowinki klienci. Papierkiem lakmusowym całego systemu staje się coraz częściej obszar płatności, w którym zmiany i rewolucja dokonują się najszybciej

zują imponujące statystyki transakcyjności – w sumie w pierwszym półroczu 2018 r. użyto BLIK-a niemal 33 mln razy, czyli tyle samo, ile w całym 2017 r.

Nowoczesność polskich systemów bankowych oraz powszechny dostęp do nich zdecydowały także o współpracy jednostek rządowych z bankami w zakresie udostępnienia Polakom usług urzędowych on-line przy zachowaniu wysokiego poziomu bezpieczeństwa

danych. Poprzez m.in. serwisy transakcyjne iPKO i Inteligo mogą oni na przykład rejestrować on-line działalność gospodarczą, załatwiać sprawy w ZUS, składać wnioski o dokumenty i świadczenia socjalne. Dzięki temu znacząco zwiększyła się dostępność usług e-administracji – tylko klienci PKO Banku Polskiego założyli już przez bankowość internetową 350 tys. profili zaufanych.



Świat zajada się polskimi produktami spożywczymi, chodzi w ciuchach naszych marek i jeździ wyprodukowanymi nad Wisłą samochodami. Polski eksport od lat idzie w górę

Z Polski w świat

Kilkaset osób czekało w długiej kolejce kilka godzin. Niektórzy, by lepiej przetrwać niedogodności koczowania pod drzwiami galerii, wzięli ze sobą składane krzesła. Gdy drzwi sklepu się otworzyły, klienci wzięli lokal szturmem.

Do takich obrazków byliśmy przyzwyczajeni, gdy telewizja pokazywała np. premiery nowych części przygód Harry'ego Pottera lub najnowszego iPhone'a od Apple. „Ofiarą” takiego szturmego padł również pierwszy otwarty w Izraelu sklep marki Reserved. W liczącym ok. 800 mkw. salonie w centrum handlowym Ayalon Mall w Ramat Gan niedaleko Tel Awiwu sprzedawane są ciuchy produkowane przez właściciela kilku znanych marek odzieżowych, polską spółkę LPP.

POLSKI CIUCH

I choć głównym powodem tak ogromnego zainteresowania była bardzo atrakcyjna promocja na start salonu (przy zakupach za ok. 200 zł można było dostać bilet do Europy), nie zmienia to faktu, że polskie przedsiębiorstwa coraz pewniej czują się na światowych rynkach. Wartość eksportu z roku na rok rośnie, a od 2015 r. wartość sprzedanych za granicę towarów

jest wyższa niż wartość towarów sprowadzonych do Polski.

Reserved nazywany jest w branży polską Zarą. O tym, jak duża to nobilitacja, może świadczyć fakt, że właściciel Zary, spółka Inditex, kontroluje też m.in. takie marki jak Pull & Bear, Bershka, Stradivarius, Oysho, Massimo Dutti. Do hiszpańskiego giganta polskiej spółce jeszcze daleko, ale 2 tys. sklepów w 20 krajach musi robić wrażenie. LPP to nie tylko Reserved, lecz także House, Cropp, Mohito i Sinsay. Spółka obraca miliardami złotych, sprzedając rocznie ok. 170 mln sztuk odzieży. Również w najdroższym salonie w historii polskich firm. LPP zapłaci 226 mln zł za 10-letni najem lokalu na Oxford Street w Londynie, która jest jednym z najbardziej prestiżowych deptaków handlowych

w Europie. Firma, która wyrosła na fundamentach spółki zajmującej się handlem sprowadzanych z Azji ciuchów, zatrudnia 25 tys. osób i płaci w Polsce milionowe podatki. Tylko w ubiegłym roku było to aż 813 mln zł.

LPP nie jest jedyną spółką, której polskie marki udało się wypromować na świecie. Znana za granicą jest również marka sportowej odzieży 4F. W promocji pomaga to, że w strojach z metką 4F występują polscy sportowcy, w tym olimpijczycy. W Pjongjangu w strojach znad Wisły startowali również reprezentanci Grecji.

Właściciel marki, spółka OTCF, ma 174 salony sprzedaży w Polsce, ale rośnie jej międzynarodowa sieć dystrybucji. Sklepy 4F funkcjonują już m.in. na Łotwie, Słowacji, w Rumunii i Czechach. Poprzez sklepy multibrandowe ubrania 4F docierają do ponad 30 krajów na całym świecie. Kierunkiem, który teraz chce podbić OTCF, jest Azja. Polska firma ma już pierwszy salon w Tajlandii.

Na jedną z największych spółek obuwniczych w Europie Środkowej i jednego z największych producentów obuwia na całym kontynencie wyrosła polska spółka CCC. W ubiegłym roku zakupy w salonach polskiej firmy zrobiło 38,8 mln osób w 22 krajach, w których CCC ma swoje sklepy. A są to m.in.: Czechy, Węgry, Niemcy, Słowacja, Austria, Chorwacja, Słowenia, Rosja, Szwajcaria i Mołdawia.

Tylko w należącej do spółki fabryce w Polkowicach wyprodukowano w zeszłym roku 3,9 mln par obuwia. W salo-



Otwarcie pierwszego w Izraelu salonu Reserved. FOT. LPP/MATERIAŁY PRASOWE

Port morski w Gdańsku FOT. FOTOLIA



nach pod szyldem CCC sprzedaje się jednak również obuwie innych producentów (ok. 50 mln par obuwia rocznie) oraz inne przedmioty, m.in. galanterię skórzaną. Skonsolidowane przychody ze sprzedaży wyniosły w ubiegłym roku 4,1 mld zł. Duża

część przychodów przeznaczana jest na inwestycje, w tym roku ma to być łącznie ok. 550 mln zł. To powoduje, że spółka wciąż rośnie. Na początku tego roku akcje CCC na Giełdzie Papierów Wartościowych zanotowały rekordową cenę. 22 stycznia

za jedną akcję trzeba było zapłacić 312 zł, czyli o ponad 3 tys. proc. więcej niż w dniu debiutu w 2004 r. (9,95 zł).

Od lat tym, co kojarzy się z polskim eksportem najbardziej, jest ekologiczne czerwone, dojrzałe jabłko. Jest to obraz

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

Najważniejsze polskie produkty i wynalazki 100-lecia. Polskie hity eksportowe

Jednogłośnie wskazanie polskich produktów i wynalazków 100-lecia, ze szczególnym naciskiem na polskie hity eksportowe, nie jest łatwe. Wkład, jaki Polacy wnieśli na międzynarodowe areny, jest tak duży, że dziś jako polski hit eksportowy optymalne jest wskazać polskiego fachowca. Szczególnie ważna jest zmiana, która zaszła nie tylko w jego wizerunku, lecz także w jego kompetencjach, wiedzy i doświadczeniu. Polski fachowiec nie jest dziś „złotą rączką”, ale wyspecjalizowanym w swoim fachu ekspertem, który w realizacji powierzonych zadań często przewyższa kompetencjami zagranicznych rywali.



Wizerunek ten jest efektem dynamicznego rozwoju rynku i usług, możliwości swobodnego kształcenia się oraz dostępu do zagranicznych rynków pracy. Jest też efektem procesów zachodzących w polskich firmach,

dla których edukacja fachowców niejednokrotnie jest równie ważna jak dostarczanie rynkowi doskonałych technologicznie produktów.

Przykładem firmy o wyjątkowej, polskiej historii, a także

podmiotu dbającego o wizerunek fachowca i nieustannie podnoszącego jego kwalifikacje jest bez wątpienia łódzki ATLAS. Prowadzi on aktywny dialog z rynkiem wykonawców budowlanych. Skupiając wokół marki ponad 100 tys. fachowców, podnosi ich kompetencje i dzięki wsłuchiowaniu się w ich potrzeby skutecznie wprowadza zaawansowane technologicznie produkty chemii budowlanej. Dzieląc się wiedzą i doświadczeniem, ATLAS wpływa też na wizerunek Polski i Polaków – zwłaszcza fachowców, którzy realizują zlecenia poza granicami Polski. Tym samym stają się oni nieformalnymi ambasadorami marki, wpływają na jej rozpoznawalność, popularność i stają się nośnikami jej wartości.

W tym ujęciu polski fachowiec, nie tylko z branży budowlanej czy pokrewnych, jest dziś niewątpliwie jednym z naszych hitów eksportowych.



Fabryka Volkswagena we Wrześni pod Poznaniem FOT. RAFAŁ PIJAŃSKI/KINOTIK

■ nieco przerysowany, jednak w produkcji jabłek bez wątpienia Polska jest światową potęgą.

W sezonie 2016–2017 eksport jabłek z Polski sięgnął 1,09 mln ton. To o 11 proc. więcej niż w sezonie poprzednim. W całej Unii Europejskiej nie ma większego eksportera i producenta jabłek niż Polska. Po nałożeniu embarga przez Rosję na polskie jabłka największym zagranicznym rynkiem na te owoce stała się Białoruś, gdzie w sezonie 2016–2017 trafiło 504 tys. ton jabłek. Kolejnymi na liście państw, do których w omawianym sezonie trafiło najwięcej polskich jabłek, były Kazachstan i Rumunia.

Większość polskich jabłek eksportowanych jest poza Unię Europejską. Jada się je w ponad 70 krajach świata, m.in. w Egipcie, Jordanii, Mongolii, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Wietnamie czy Chinach.

Europa i świat zajądają się nie tylko polskimi jabłkami. Cenione są też zboża z naszych upraw, mięso i mleko z polskich hodowli. Powodzeniem cieszą się przetworzone już produkty spożywcze, w tym runo leśne oraz przetwory z owoców i warzyw.



Polska Grupa Zbrojeniowa w 2017 r. wyeksportowała sprzęt za 800 mln zł FOT. PGZ

Z powodzeniem eksportujemy pieczarki (jesteśmy największym ich producentem w UE), grzyby czy jagody, ogórki i kiszoną kapustę.

Dynamika wzrostu eksportu produktów rolno-spożywczych w 2017 r. zachowała wysoki 12-procentowy poziom. Zdecydowaną większość płodów rolnych sprzedajemy do krajów unijnych. Poza wspólnotę wyjeżdża ok. 20 proc. eksportowanych towarów. W 2017 r. polscy przedsiębiorcy sprzedali poza granice kraju żywność za 27,3 mld euro, co jest absolutnym rekordem. Polska żywność, kiedyś tak chętnie kupowana ze względu na niską cenę, dziś jest postrzegana jako zdrowa i ekologiczna. Wysoka wartość eksportu produktów rolnych to również efekt sprzedaży wyrobów tytoniowych.

PO PIERWSZE: MOTORYZACJA

Jednak to nie żywność ani odzież stanowią największą część polskiego eksportu. Na pierwszym miejscu jest bowiem branża motoryzacyjna. I to od dekady. Aż trzy produkty z tej branży uplasowały się w ubiegłorocznym zestawieniu w pierwszej dziesiątce polskich hitów eksportowych przygotowanym przez Bank Zachodni WBK (teraz Santander) we współpracy z Exact Systems i stanowiły ponad 12 proc. wartości całego ubiegłorocznego eksportu.

Na pierwszym miejscu zestawienia znalazły się części i akcesoria samochodowe i to dzięki ich producentom branża samochodowa stanowi o sile polskiego eksportu. – W 2007 r. udział eksportu części i akcesoriów samochodowych w eksporcie ogółem wynosił 4,9 proc. W roku 2017 było to 5,5 proc. Wydaje się, że to niewielki wzrost, ale warto zauważyć, że został osiągnięty przy ogromnej dynamice całego eksportu z Polski. W ciągu 10 lat wyniosła ona aż 225 proc. Jeszcze szybciej, bo w tempie 254 proc., rosła wartość eksportu części i akcesoriów do samochodów, z 18,8 mld zł w 2007 r. do 47,9 mld zł w 2017 r. – mówi Wojciech Żuk,

dyrektor kredytowy ds. sektorów w Banku Zachodnim WBK. Wartość eksportu części i akcesoriów samochodowych wyniosła w 2017 r. blisko 48 mld zł (7 proc. więcej niż w roku 2016).

Mimo że polski samochód elektryczny to jeszcze melodia przyszłości, a polska nie ma swojej marki samochodów osobowych, to właśnie produkcja osobówek znalazła się na drugim miejscu listy Top 10 eksportu za 2017 r. Chociaż udział tej gałęzi produkcji w polskim eksporcie spada i raczej będzie spadał. Jacek Opala z Exact Systems podkreśla, że już kilka lat temu samochody musiały oddać koronę eksportowego motolidera częściom i akcesoriom. – Polska mapa motoryzacji liczy jedynie trzech producentów osobówek, podczas gdy części i akcesoria wytwarza w naszym kraju kilkaset fabryk dostawców i poddostawców. Niższy w ubiegłym roku polski eksport aut osobowych to przede wszystkim pochodna spadającej dynamiki sprzedaży aut w całej Unii Europejskiej. W ubiegłym roku wyniosła ona nieco ponad 3 proc. r/r, podczas gdy w 2016 r. – 7 proc. r/r, a w 2015 – ponad 9 proc. r/r. A jak wynika z danych AutomotiveSuppliers.pl, do krajów wspólnoty eksportujemy niemal 84 proc. wyprodukowanych w Polsce osobówek – mówi Jacek Opala, członek zarządu Exact Systems.

W pierwszej dziesiątce eksportowych hitów ubiegłego roku znalazła się jeszcze jedna kategoria branży motoryzacyjnej – samochody ciężarowe. Uplasowały się na ósmej pozycji, stanowiąc 1,3 proc. udziału w całym eksporcie. Dynamika wartości eksportu samochodów ciężarowych wyniosła jednak aż 55 proc. rok do roku. Do tego wyniku mocno przyczyniło się uruchomienie nowej fabryki Volkswagena we Wrześni, która w 2017 r. wyprodukowała ponad 40 tys. pojazdów. W całym kraju z taśm produkcyjnych zjechało w 2017 r. niemal 170 tys. samochodów ciężarowych, co w XXI w. jest rekordową liczbą.

Ekspertki szacują, że branża motoryzacyjna jeszcze przez co najmniej najbliższe dwa lata pozostanie liderem polskiego eksportu. Jeśli nie zdywersyfikuje rynków zbytu, to może wkrótce oddać palmę pierwszeństwa, bo dystans między motoryzacją a innymi branżami wyraźnie się zmniejsza. – W 2007 r. produkty motoryzacyjne miały 16 proc. udziału w całości polskiego eksportu, podczas gdy produkcja kotłów, maszyn, urządzeń mechanicznych i ich części oraz produkcja rolno-spożywcza miała odpowiednio 9,8 i 9,4 proc. ■

Wszyscy znają Ignacego Łukasiewicza, polskiego wynalazcę lampy naftowej. Jednak to niejedyna innowacja, która została odkryta lub wymyślona przez polskich inżynierów i chemików

Od ponad 40 lat w gdańskiej rafinerii Grupy LOTOS przetwarzana jest ropa naftowa na paliwa i inne produkty. Zakład jest regularnie modernizowany, aby sprostać wymaganiom rozwijającego się rynku naftowego. Polscy inżynierowie szukają sposobów, aby z każdej baryłki „czarnego złota” wycisnąć jak najwięcej cennych produktów. Choć technologie przerobu ropy naftowej mają dość długą historię, to jednak wciąż ta gałąź gospodarki może zaskakiwać pomysłowością naukowców. LOTOS wyprodukuje więcej paliw dzięki innowacyjnej metodzie oczyszczania hydrowaksu, czyli nieprzereagowanego oleju (UCO) z hydrokrakingu MHC. Olej ten inżynierowie LOTOSU, jako pierwsi na świecie, poddali powtórnemu przerobowi na hydrokrakingu, zwiększając produkcję paliw o 70 tys. ton rocznie, co odpowiada wartości blisko 400 mln zł na stacjach paliw.

W zeszłym roku technologzy Grupy LOTOS pozyskali 6 mln zł dofinansowania z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju dla projektu opracowania nowej technologii oczyszczania hydrowaksu.

Shell – licencjodawca hydrokrakingu MHC, największej instalacji LOTOSU zbudowanej w wielkim Programie 10+ – zakłada, że hydrowaks, czyli UCO (Unconverted Oil), będzie stanowił aż 40 proc. produkcji hydrokrakingu i będzie sprzedawany. Sprzedaż jednak jest trudna i nieopłacalna. Inżynierowie LOTOSU znaleźli rozwiązanie, które zdumiało licencjodawcę, niespodziewającego się, że jego instalacja może być znacznie bardziej efektywna. Większość UCO zawrócili do ponownego przerobu w instalacji MHC, uzyskując z niego wysoko marżowe paliwa. Stopniowo zwiększyli, z 60 proc. do 90 proc., konwersję instalacji, czyli ilość wysoko marżowych paliw uzyskanych ze wsadu – wprowadzając innowacyjne zmiany w procesie produkcji.



UCOPURE

– filtracja, jakiej na świecie jeszcze nie było

Część hydrowaksu skierowali do przerobu na instalacji destylacji próżniowej. Okazało się, że na bazie hydrowaksu można wyprodukować wyższej klasy oleje smarowe (II grupy). Zwiększyła się produkcja olejów smarowych, a marże uzyskiwane z olejów są zwykle wyższe niż z paliw. Ponadto powstał nowy produkt rafinerii – woski niskosiarkowe, służące do wytwarzania specyfików parafinowych. Warto dodać, że LOTOS jako jedna z pierwszych firm na świecie stosuje deasfaltyzat DAO (z instalacji ROSE) jako wsad instalacji hydrokrakingu MHC, dzięki czemu jakość hydrowaksu jest unikatowa.

Obecnie, w ramach Projektu EFRA, została uruchomiona instalacja destylacji hydrowaksu – HVDU, która sprawiła, że znacznie wzrósł przerób ropy w rafinerii – do 11,2 mln ton zamiast dotychczasowego (maksymalnego) 10,5 mln ton – co istotnie zwiększyło produkcję. Ponadto rozwiązany został w dużym stopniu problem wytrącania się podczas przerobu hydrowaksu na MHC związków aromatycznych WWA – groźnych dla katalizatorów.

W pełni problem WWA rozwiąże wspólny, innowacyjny projekt LOTOSU z firmą Polymemtech – UCOPURE – zastosowania zintegrowanych technik filtracyjnych.

– W wyniku wdrożenia tej innowacyjnej technologii co najmniej 85 proc. produkowanego przez nas UCO będzie wykorzystane jako pełnowartościowy surowiec do produkcji paliw – przewidyuje Jan Biedroń, szef Biura Rozwoju Technologii w Grupie LOTOS.

W tej unikalnej technologii – UCOPURE – wykorzystuje się po raz pierwszy na świecie metodę zintegrowanej filtracji membranowej do usuwania WWA z hydrowaksu. Wymaga ona stworzenia nowatorskich systemów wykorzystujących membrany filtracyjne. W odróżnieniu od innych rozwiązań jest to proces niskotemperaturowy i niskociśnieniowy. Na potrzeby badań powstała laboratoryjna instalacja badawcza. Wyniki są bardzo obiecujące.



■ udziału. W 2017 r. dystans zdecydowanie się zmniejszył, gdyż udział wszystkich produktów motoryzacyjnych w polskim eksporcie spadł do 12,3 proc., podczas gdy udział dwóch wyżej wymienionych branż wzrósł odpowiednio do 12 i 11,9 proc. – mówi Wojciech Żuk z BZ WBK.

Oprócz nowych rynków zbytu w tej branży liczy się również innowacyjność. – Jeśli nasze rodzime zakłady nie postawią na innowacyjność, w szczególności związaną z autami elektrycznymi, hybrydowymi, a w niedalekiej przyszłości także autonomicznymi, ciężko będzie przyciągnąć nowe inwestycje i utrzymać wartość produkcji na wysokim poziomie. Warto jednak zauważyć, że zmienia się postrzeganie Polski przez zagranicznych inwestorów. Przestajemy być traktowani jedynie jako montownia i kraj „low cost country”, którego główną zaletą jest wykwalifikowana i tania siła robocza. Przykład LG Chem w Kobierzycach, gdzie będą produkowane baterie litowe m.in. do samochodów Jagu-

Polskie firmy na światowych rynkach poczynają sobie coraz śmielej. Coraz częściej więc słycać o dużych kontraktach. W ubiegłym roku jedną z umów opisywanych szeroko w mediach był kontrakt zawarty przez spółkę Ursus. Polski producent podpisał umowę opiewającą na 100 mln dol. Firma zobowiązała się dostarczyć 2694 ciągniki oraz przeszło 2,5 tys. maszyn rolniczych. Dla firmy ta umowa nie była pierwszym doświadczeniem w handlu z afrykańskimi krajami na dużą skalę. Wcześniej Ursus dostarczał swoje ciągniki do Etiopii, a cała Afryka jest dla spółki perspektywnym i obiecującym rynkiem zbytu.

Rekordowy pod względem eksportu był ubiegły rok dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej, która poza granice kraju wysłała swoje produkty warte ok. 800 mln zł. To wzrost wartości eksportu w porównaniu z rokiem 2016 o 43 proc. „Nieoceniony wkład w wypracowany wynik wniosła pomoc Ministerstwa Obrony Narodowej, wspólnie

Projekt w pierwszym kwartale tego roku wyniosły 93 mln zł, z czego większość zarobiły „Wiedźmin 3” wraz z dodatkami i stworzona na podstawie „Wiedźmina” gra karciana „Gwint”.

W 2017 r. spółka zanotowała skonsolidowane przychody ze sprzedaży na poziomie 463,18 mln zł, które przełożyły się na blisko 241 mln zł zysku. „W 2017 r. 95 proc. przychodów ze sprzedaży grupy kapitałowej CD Projekt pochodziło z działalności eksportowej. W 2017 r. 54 proc. sprzedaży realizowanej było na odbiorców w USA, a 24 proc. do odbiorców z krajów UE” – czytamy w raporcie CD Projekt RED.

Zysk ze sprzedaży najlepszej polskiej gry już w zeszłym roku przekroczył miliard złotych, a to niejedyny tytuł polskiego studia, który może podbić serca graczy na całym świecie. Wielkie nadzieje związane są również z grą „Cyberpunk 2077”. Do tego stopnia, że jeden tweet o treści „beep*” napisany w styczniu 2018 r. na oficjalnym koncie gry (nie pojawiało się na nim nic od 2013 r.) spowodował wzrost akcji spółki na GPW o 4 proc. w ciągu kilku godzin.

W DOBRĄ STRONĘ

Wartość polskiego eksportu sukcesywnie rośnie. W pierwszej połowie 2018 r. wyniosła 107,6 mld euro. W porównaniu z pierwszym półroczem 2017 r. to wzrost o 5,7 proc. Import rośnie jednak jeszcze szybciej i ten rok może być pierwszym od 2015 r., który zamknie się ujemnym bilansem. W roku 2016 byliśmy „na plusie” o 0,5 mld euro, a w 2015 – o 3,9 mld.

Rynkami, na które sprzedajemy najwięcej, wciąż pozostają kraje unijne (ok. 80 proc.). Liderem od wielu lat są pod tym względem nasi najbliżsi zachodni sąsiedzi. Do Niemiec w ubiegłym roku sprzedaliśmy towary za 55,8 mld euro, co stanowiło 27,4 proc. wartości całości naszego eksportu, który wyniósł 203,7 mld euro (10,2 proc. więcej niż w 2016 r.). W handlu z Niemcami utrzymujemy wysoki bilans dodatni. W poprzednim roku wartość sprzedanych im towarów była o 8,9 mld euro wyższa niż wartość kupionych od Niemców przez Polskę.

Rośnie też znaczenie Stanów Zjednoczonych. Co prawda w 2017 r. do USA w ubiegłym roku wyeksportowaliśmy towary za 5,5 mld euro, ale handel ze Stanami Zjednoczonymi charakteryzował się największą dynamiką wzrostu wynoszącą w ujęciu rocznym 26,5 proc.

Rafał Wdoba

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ursus eksportuje swoje ciągniki i maszyny rolnicze m.in. do Afryki. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ara wytwarzanych na Słowacji, pokazuje, że jesteśmy atrakcyjnym miejscem do ulokowania zaawansowanych i przyszłościowych projektów wykorzystujących nowe technologie – mówi Jacek Opala z Exact Systems.

TRAKTOR, KRZESŁO I KARABIN

Branży motoryzacyjnej depcze po piętach branża meblarska. Na trzecim miejscu zestawienia BZ WBK i Exact Systems znalazły się bowiem krzesła i fotele oraz meble tapicerowane (wartość eksportu w 2017 r. to blisko 23,4 mln zł), a na czwartym – pozostałe meble (ok. 17,4 mln zł). W pierwszej dziesiątce polskiego eksportu znalazły się jeszcze telewizory, monitory, rzutniki; maszyny do automatycznego przetwarzania danych; leki; wyroby tytoniowe oraz kable.

z którym prezentowaliśmy się na wielu prestiżowych targach zbrojeniowych. Tak było między innymi w Azji oraz na Bliskim Wschodzie, które to regiony malują się dla nas jako najbardziej perspektywiczne rynki w ciągu najbliższych kilku lat” – ocenia w komunikacie spółki Maciej Lew-Mirski, członek zarządu PGZ.

CYFROWE MILIARDY

Polskie firmy święcą ostatnio triumfy również w branży komputerowej. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że nie ma na świecie gracza, który nie kojarzyłby marki The Witcher. Trzecia część gry „Wiedźmin” wyprodukowanej przez CD Projekt RED stała się światowym hitem. I choć jej premiera odbyła się w 2015 r., to wciąż sprzedaż gry przynosi polskiej spółce krocie. Przychody CD



**RAZEM BUDUJEMY
POLSKĘ!**



**100-LECIE
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**



Pożegnanie z Merkel



Jacek Przybylski

Po koszarnej porażce CDU w Hesji los Angeli Merkel jest już przesądzony. Za miesiąc, po 18 latach rządów twardej ręki, 64-letnia polityk odda stery partii chadeków. To wstęp do utraty kanclerstwa

Luty 2004 r. Coraz mniej lubiany kanclerz Niemiec Gerhard Schröder zrzeka się przewodnictwa w SPD. Miesiąc później jego stanowisko obejmuje przewodniczący frakcji tej partii w Bundestagu, a wcześniej wieloletni sekretarz generalny SPD i współautor zwycięstw wyborczych socjaldemokratów – Franz Müntefer-

ring. Schröder musiał zrezygnować, ponieważ forsowany przez niego program „Agenda 2010” sprawił, że jego partia zaczęła gwałtownie tracić poparcie wśród wyborców. Szczwany lis niemieckiej polityki walczył jednak do końca i ani myślał o rezygnacji z fotela kanclerza. Na stanowisku tym udało mu się dotrwać do listopada 2005 r.

To właśnie z tym schyłkowym etapem rządów Schrödera można porównać obecną sytuację Merkel. Pierwszej kobiety na stanowisku kanclerza Niemiec nie pogrążyły cięcia socjalne, lecz otwarcie drzwi dla ponad półtora miliona imigrantów z Syrii, Afganistanu oraz wielu innych krajów Bliskiego Wschodu i Afryki. Sprawilo ono, że w kraju, w którym ogólny poziom przestępczości spadał, nagły skok liczby popełnianych przestępstw od roku 2015, a zwłaszcza morderstwa, gwałty i rozboje popełniane przez imigrantów stały się szczególnie widoczne i niepokojące. Szacuje się, że chociaż imigranci i azylanci to zaledwie 2 proc. niemieckiego społeczeństwa, to jednocześnie stanowią 11,9 proc. podejrzanych



FOT. KRZYSZTOF BOGUSIAD/BERG/CITY IMAGES

wybory w kolejnych landach, zamiast – jak to zwykle bywało – skoncentrować się na sprawach lokalnych, zdecydowana większość wyborców zaczęła traktować jako manifest przeciwko Angeli Merkel i rządowi wielkiej koalicji.

Tak było w połowie października w Bawarii, gdzie koalicyjna CSU otrzymała najmniej głosów od wielu dekad. Tak też było pod koniec października w Hesji, gdzie mimo świetnych wyników lokalnej gospodarki i wyjątkowo niskiego bezrobocia chadecy dostali od wyborców czerwoną kartkę: zdobyli 28 proc. głosów, czyli o 10 punktów procentowych mniej niż w wyborach w roku 2013. Tak niskiego poparcia Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna nie miała w tym landzie od ponad pół wieku. Już wcześniej Merkel naraziła się partyjnym działaczom, gdy w wyborach do Bundestagu w 2017 r. kierowani przez nią chadecy osiągnęli najgorszy wynik od 1949 r.

„Żelazna kanclerz”, która ster rządów – choć w Niemczech bardziej trafne byłoby porównanie kierownicę rządów – trzyma twardą ręką od 2005 r., nie chce jednak odchodzić z polityki w atmosferze historycznej porażki. Marzy, by pozostać na stanowisku szefa rządu do końca obecnej kadencji, czyli do roku 2021. Później – jak obiecuje – wycofa się z życia politycznego. – Nie urodziłam się kanclerzem i nigdy o tym nie zapomniłam – ogłosiła, podkreślając, że jest zaszczytna, iż mogła piastować ten urząd przez ostatnie 13 lat.

Konserwatywni chadecy mogą jednak nie chcieć zgodzić się na model, w którym lider partii rządzącej nie jest jednocześnie szefem rządu w Berlinie. Zresztą sama Merkel przez lata stanowczo przekonywała, że władzę w kraju i władzę w rządzącej partii powinna sprawować ta sama osoba. Rozdzielenie tych dwóch ról to niezdrowy model, który sprawia, że nie wiadomo, kto naprawdę rządzi i – przede wszystkim – kto ponosi odpowiedzialność za błędne decyzje. Los niemieckiej kanclerz będzie jednak zależał nie tylko od partyjnych kolegów, lecz także od koalicyjnej SPD – tymczasem współtworzący rząd w Berlinie socjaldemokraci ponieśli w Hesji równie sromotną porażkę jak CDU, uzyskali 20 proc. głosów, czyli nieco ponad 10 punktów procentowych mniej niż przed pięciu laty. Tak słabego wyniku w Hesji nie mieli od 1946 r.

Niewykluczone jest więc nie tylko wewnątrzpartyjny bunt przeciwko Merkel, lecz także zerwanie koalicji na poziomie

narodowym. Wiele socjaldemokratów uważa bowiem, iż ich partia miałaby o wiele większe poparcie, gdyby zamiast współtworzyć nieudolny i targany ciągłymi sporami koalicyjny rząd CDU/CSU-SPD, po prostu pozostawała w opozycji.

Do rozpadu Wielkiej Koalicji wprost wzywa m.in. Christian Lindner. – Merkel wprawdzie rezygnuje ze swego stanowiska, ale nie z tego, co trzeba. Być może dla CDU nowy przewodniczący będzie korzystny, ale dla Niemiec byłoby dobrze, gdyby nowy lider stanął na czele rządu – komentował przywódca Wolnej Partii Demokratycznej. Do rezygnacji z kierowania rządem wezwali też Merkel przewodnicząca Lewicy Katja Kipping oraz jeden z liderów Alternatywy dla Niemiec Jörg Meuthen.

Jeśli rządowa koalicja rzeczywiście się rozpadnie, to konieczne będą przedterminowe wybory.

Kiedy? Niewykluczone, że już w przyszłym roku.

MŁODY GNIEWNY I MINI-MERKEL

Wśród polityków, którzy na grudniowym zjeździe CDU w Hamburgu mogą przejąć stery chadecji, wymieniani są m.in. obecna sekretarz generalna CDU 56-letnia Annegret Kramp-Karrenbauer, 38-letni minister zdrowia Jens Spahn oraz 62-letni były przewodniczący frakcji CDU/CSU Friedrich Merz.

Annegret Kramp-Karrenbauer, która z CDU związana jest od 1991 r., jest uważana za osobę namaszczonej na następcę przez Angelę Merkel. Ze względu na jej fizyczne podobieństwo do kanclerz oraz sposób sprawowania rządów w kraju związkowym Saary przyłgnał do niej przydomek Mini-Merkel. Kramp-Karrenbauer trudno odmówić niezbędnych kwalifikacji: w Saarze piastowała m.in. stanowiska ministra spraw wewnętrznych, polityki społecznej, a także edukacji.

Jens Spahn to reprezentant młodego pokolenia w Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej. To także przedstawiciel szczególnie konserwatywnego skrzydła w CDU i wielki fan 32-letniego kanclerza Austrii Sebastiana Kurza, to jednocześnie jeden z najgłośniejszych krytyków rządów obecnej kanclerz w całej CDU. Domaga się m.in. ograniczenia liczby imigrantów oraz wprowadzenia zakazu noszenia burek w miejscach publicznych. Aby go nieco uciszyć, Angela Merkel w marcu obecnego roku powierzyła mu w swym czwartym rządzie funkcję ministra zdrowia. Ambitny ekonomiczny liberał, który pierwszy raz

o przestępstwa na tle seksualnym oraz 10,4 proc. podejrzanych o morderstwa. Trudno się więc dziwić, że gdy przedstawiciele populistycznej Alternatywy dla Niemiec apelują o zrobienie porządku z muzułmańskimi przybyszami, szybko zyskują poparcie wyborców.

BUNT PRZECIW MUTTI?

Jednocześnie Niemcy konsekwentnie odwracają się od tradycyjnych partii. 29 października Angela Merkel ogłosiła, że podczas grudniowego szczytu chadeców nie będzie ubiegać się o reelekcję na stanowisko przewodniczącej CDU. Kanclerz, która przez wiele lat nazywana była przez wielu Niemców Mutti (Matka), zrozumiała bowiem, że zaczęła być ciężarem dla własnej partii. Regionalne



Annegret Kramp-Karrenbauer



Jens Spahn



Friedrich Merz

FOT. ODD ANDERSEN AND JOHN MACDONALD/ANP/PEST NEWS

■ w parlamencie zasiadł już jako 22-latek, marzy jednak, że to właśnie jemu zostanie powierzona misja zreformowania partii oraz kraju.

Friedrich Merz to z kolei niemiecki prawnik, który w latach 2000–2002 sprawował funkcję przewodniczącego frakcji CDU/CSU, ale ustąpił na rzecz Angeli Merkel. Merz formalnie wycofał się z życia politycznego w roku 2009. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że w obliczu potężnego trzęsienia ziemi wśród chadeków będzie chciał powrócić do polityki na najwyższym szczeblu.

Odejście Merkel nie może się też doczekać obóz 50-latków, którzy swego czasu zostali odsunięci od władzy przez żelazną kanclerz. Jego przedstawicielem jest 53-letni przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Bundestagu Norbert Röttgen. Niegdyś szycha. W 2012 r. Merkel zabrała mu jednak tekę ministra środowiska po tym, jak przegrał wybory regionalne. Na giełdzie nazwisk padają też nazwiska premiera Nadrenii Północnej-Westfalii Armina Lascheta, ministra rolnictwa i polityki żywnościowej Julii Klöckner, ministra obrony Ursuli von der Leyen czy też premiera Szlezwika-Holsztynu Daniela Günthera.

Wydaje się, że z punktu widzenia władz w Warszawie dobrze by było, gdyby po odejściu ze stanowiska wnuczki emigranta z Polski Ludwika Kaźmierczaka, w berlińskim Urzędzie

Kancelarza Federalnego zaczął pracować też będą poważne zmiany w Unii Europejskiej. Niemcy to bowiem najpotężniejszy płatnik do wspólnego budżetu, a Angela Merkel przez lata cieszyła się opinią najpotężniejszego przywódcy w Europie i jednego z najbardziej wpływowych polityków na całym świecie.

UNIA BEZ „CESARZOWEJ”

Przetasowania w Berlinie oznaczać też będą poważne zmiany w Unii Europejskiej. Niemcy to bowiem najpotężniejszy płatnik do wspólnego budżetu, a Angela Merkel przez lata cieszyła się opinią najpotężniejszego przywódcy w Europie i jednego z najbardziej wpływowych polityków na całym świecie.

Zapoczątkowana w 2015 r. polityka szeroko otwartych drzwi wobec imigrantów zgubiła nie tylko unijną „cesarzową”. Nieodpowiedzialna polityka migracyjna osłabiła największe niemieckie partie, lecz także doprowadziła do rozkwitu narodowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), której lider Alexander Gauland znany jest m.in. z publicznego wyrażania podziwu wobec „osiągnięć Wehrmachtu”. To właśnie dzięki irytacji wyborców na działania rządu Merkel przedstawicielom AfD udało się wejść już do wszystkich 16 regionalnych parlamentów.

Kwestia imigrantów doprowadziła również do ostrych podziałów wewnątrz europejskiej wspólnoty. W wielu krajach Europy coraz większym poparciem cieszą się partie populistyczne. Po odejściu „cesarzowej” Merkel spore zmiany czekają więc nie tylko Niemcy – największy kraj Unii Europejskiej – lecz także cały kontynent.

Brak silnego przywódcy w Niemczech może jeszcze bardziej utrudnić negocjacje związane z brexitem. Powody do radości miałyby również Kreml – odejście Angeli Merkel ułatwiłoby bowiem Moskwie walkę o zniesienie sankcji ekonomicznych nałożonych na Rosję po zbrojnej agresji na Ukrainę. Zmiana na stanowisku kanclerza może też wpłynąć na kształt samej Unii.

Obecna kanclerz jest bowiem nieprzychylna projektowi Unii dwóch prędkości, forsowanej przez francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona. Jeśli nowy kanclerz będzie inaczej patrzył na tę reformę, to władze w Warszawie może czekać okres jeszcze trudniejszych stosunków z Brukselą. Polska ma bowiem przeciwną do Francji wizję reformy Unii Europejskiej.

Na razie pewne jest to, że skończył się okres spokoju i stabilności. Zarówno w Niemczech, jak i w całej Unii Europejskiej. Najważniejsze pytanie dla Berlina brzmi, kto zostanie następcą żelaznej kanclerz i jaką pozycję uda mu się zbudować zarówno w Niemczech, jak i w Europie. Jeśli będzie zbyt słaby, to Niemcy nie będą zbyt poważnie traktowane przez tak silnych graczy jak Donald Trump, Władimir Putin czy Recep Erdoğan. A wówczas USA, Rosja czy Turcja łatwiej będzie rozgrywać swoje interesy z poszczególnymi członkami Unii. Taki scenariusz oznaczałby definitywny koniec wspólnoty w jej dotychczasowym kształcie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polowanie na opozycję



Olivier Bault

Liderzy opozycji we Francji tropieni są przez prokuratorów.
Partia Marine Le Pen ma w dodatku kłopoty finansowe



Chociaż partia ma tylko sześciu deputowanych w Zgromadzeniu Narodowym i dwóch senatorów w izbie wyższej francuskiego parlamentu, to Front Narodowy przemianowany w tym roku na Zjednoczenie Narodowe (Rassemblement National, RN) jest pierwszą partią opozycyjną w sondażach. I tak sondaż z połowy września, odnoszący się do nadchodzących wyborów do Parlamentu Europejskiego, pokazuje dalszą tendencję spadkową partii prezydenta Macrona Republika w Drodze (La République en Marche, LREM) do 21,5 proc. i tendencję wzrostową RN do 21 proc. Centroprawicowi Republikanie (Les Républicains, LR) mogą niedługo utracić status pierwszej partii opozycyjnej, gdyż na nich głosować zamierza tylko 14 proc. wyborców, pomimo że retoryka ich nowego lidera Laurenta Wauquieza – poza tym, że zarzeka się, iż nigdy nie pójdzie na współpracę z RN – niewiele się różni od retoryki partii pani Le Pen. Inna partia prawicowa, bardziej eurosceptyczna niż LR, może liczyć na dodatkowe 6 proc. To Debout la France (Powstań Francjo) Nicolasa Dupont-Aignana, który jako jedyny wsparł Marine Le Pen w drugiej turze ubiegłorocznych wyborów prezydenckich. Razem daje to

i jego partia podziela los Hollande'a oraz socjalistów. W maju 2014 r., dwa lata po wygranej Hollande'a i Partii Socjalistycznej (PS) w wyborach krajowych, wybory do PE dały prawie 25 proc. głosów Frontowi Narodowemu, 21 proc. centroprawicy, a tylko niecałe 14 proc. socjalistom.

Nieustanna kampania przeciw „skrajnej prawicy” prowadzona we wszystkich mainstreamowych mediach nie wystarczy, aby ratować prezydenta i jego zwolenników. Wydaje się, że jedyny ratunek to połączone działania mediów, sędziów i banków przeciwko partii Marine Le Pen.

Pierwsza partia opozycyjna oraz jej liderka są nękani na różne sposoby i mogą mieć problem z poprowadzeniem nowej kampanii. W Polsce znany jest epizod pożyczki rosyjskiej, czyli pożyczania 9 mln euro w 2014 r. przez Front Narodowy od First Czech-Russian Bank (FCRB). Pieniądze te miały pomóc w finansowaniu kampanii wyborczej do wyborów regionalnych we Francji, w których sondaże zapewniały FN wynik na tyle dobry, iż zwrot zainwestowanych środków był zagwarantowany z budżetu państwa. Wówczas żaden bank francuski nie zgodził się pożyczyć środków FN.

Tymczasem nowa ustawa zabrania teraz zaciągania pożyczek na rzecz finansowania

przyjmowania darowizn w formie wpłat kartą kredytową. To wszystko działało się kilka miesięcy po zakończeniu kampanii do wyborów prezydenckich i parlamentarnych, gdy partie polityczne jeszcze czekały na dotację z budżetu państwa. Partia Le Pen znalazła się w krytycznej sytuacji finansowej.

DORZĄC WATAHĘ

Jakby tego było mało, w lipcu dwóch sędziów śledczych z paryskiej prokuratury finansowej wstrzymało w ramach zastosowania środka zabezpieczającego wypłatę 2 mln euro z czteromilionowej rocznej dotacji publicznej, które należą się RN. Sprawa dotyczy zarzutów o defraudację pieniędzy Parlamentu Europejskiego poprzez wykorzystywanie pracy asystentów parlamentarnych opłacanych przez PE do celów innych niż praca posła (np. do celów partyjnych). Dla RN wstrzymanie tej wypłaty zabrzmiało jak wyrok śmierci. Tylko dzięki kwocie ponad pół miliona euro z datków zebranych od sympatyków w krótkim okresie udało się partii przetrwać lato, tnąc koszty i zamykając część biur. We wrześniu sąd apelacyjny zmniejszył środek zabezpieczający do miliona euro, umożliwiając wypłacenie RN pozostałej części pieniędzy. RN musiał się jednak zrzec na piśmie możliwości wniesienia kasacji.

A to niejedyną kłopoty Le Pen. Jest oskarżona o stworzenie zagrożenia dla osób nieletnich przez udostępnianie treści zawierających przemoc lub pornografię po tym, jak w grudniu 2015 r. opublikowała na Twitterze zdjęcia z egzekucji dokonanych przez Państwo Islamskie. W ten sposób zareagowała w sieci na słowa znanego dziennikarza radiowego Jeana-Luca Bourdina, który postawił znak równości między Frontem Narodowym a Państwem Islamskim.

Natychmiast po opublikowaniu zdjęć działająca na zlecenie socjalistycznego rządu Manuela Vallsa prokuratura w Nanterre koło Paryża, gdzie Front Narodowy miał swoją siedzibę, wszczęła postępowanie przeciwko Marine Le Pen. We wrześniu sędzia śledczy, któremu prokurator powierzył śledztwo i przygotowanie ewentualnego aktu oskarżenia w tej sprawie, nakazał w oficjalnym piśmie liderce RN stawić się na badania psychiatryczne. Wyznaczona przez sędziego lekarz psychiatra jest znaną specjalistką od transseksualizmu i transgenderyzmu. Za upublicznienie

Popularność Emmanuela Macrona jest już mniejsza niż François Hollande'a po tym samym okresie prezydentury

obozowi prawicy szansę na nieco ponad 40 proc. głosów w maju 2019 r., czyli prawie dwa razy więcej niż to, na co może w tej chwili liczyć skrajnie liberalna (w sensie obyczajowym) centrowa partia prezydencka. Wśród lewicowych partii w sondażach prowadzi – z 12,5 proc. we wrześniowym badaniu – La France Insoumise, FI (Niepokorna Francja), skrajnie lewicowa formacja Jeana-Luca Mélenchona.

Emmanuel Macron, którego popularność na początku września była mniejsza niż popularność jego poprzednika i mentora François Hollande'a po tym samym okresie prezydentury, zmaga się z kolejnymi problemami. Jego ewentualna przegrana w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego staje się coraz bardziej prawdopodobna, a to utwierdziłoby Francuzów w przekonaniu, że on

wania kampanii wyborczych francuskich formacji politycznych w bankach spoza Europejskiego Obszaru Gospodarczego. To oznacza, że Zjednoczenie Narodowe ma zamkniętą drogę do pieniędzy rosyjskich, a także np. funduszy amerykańskich.

W dodatku w ubiegłym roku dwa francuskie banki, w których FN miał swoje konta – Société Générale i francuska filia brytyjskiego HSBC, zawiadomiły władze partii, że zamierzają zrezygnować ze współpracy i zamknąć wszystkie ich rachunki. Ponieważ istnieje we Francji instytucja taka jak prawo do posiadania rachunku bankowego, narodowy Banque de France nakazał innemu bankowi, Crédit du Nord, przyjąć tego niewygodnego politycznie klienta. Bank go przyjął, ale odmówił FB możliwości posługiwania się czekami oraz

sądowego wezwania do psychiatry Le Pen ma już trzecią, oddzielną sprawę w prokuraturze.

Le Pen zapowiedziała, że nie zamierza poddawać się badaniom psychiatrycznym. Decyzja sędziego była zresztą głośno krytykowana przez większość polityków, również z partii prezydenckiej i ze strony skrajnie lewicowego Mélenchona. To o tyle ciekawe, że wcześniej nie miał nic do zarzucenia władzy i sędziom w sprawach dotyczących Marine Le Pen czy kandydata centroprawicy w ostatnich wyborach prezydenckich – François Fillona. A bez pomocy prokuratorów z paryskiej prokuratury finansowej mianowanych przez socjalistów, którzy tę prokuraturę powołali do życia za czasów Hollande'a, i bez pomocy znanych ze swoich lewicowych poglądów sędziów śledczych wybranych przez tychże prokuratorów, Emmanuel Macron najprawdopodobniej nie byłby dzisiaj prezydentem Francji, a socjaliści nie byłoby tak licznie obecni w rządzie i w szeregach partii posiadającej większość we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. W przeciwieństwie do Mélenchona Marine Le Pen i jej zwol-

nicy jednoznacznie krytykowali sposób, w który wyeliminowano z gry o prezydenturę głównego faworyta wyborów prezydenckich.

Marine Le Pen głośno krytykuje dziś postępowanie francuskiej prokuratury i sędziów śledczych wobec samego Mélenchona. 16 października przeszuka-

dostał podwyżkę w wysokości 57 proc. obejmującą pensję także już wypłacone (bo od stycznia). Anticor, francuska organizacja pozarządowa zwalczająca korupcję, zakwestionowała niezależność Logerota od władzy wykonawczej w związku z przyznaniem mu tak znacznej podwyżki w czasie trwania jego kadencji. Tak się

Nasz kraj staje się autorytarnym reżimem – wyznała Marine Le Pen w październikowym wywiadzie dla telewizji LCI

no jego mieszkania, siedziby partii oraz lokale należące do posłów FI. Śledztwa w sprawie partii lewicowego trybuna dotyczą m.in. sposobu wykorzystywania asystentów parlamentarnych opłacanych przez Parlament Europejski oraz wydatków z ostatniej kampanii prezydenckiej.

Warto zauważyć, że François Logerot, przewodniczący komisji CNCCFP odpowiedzialnej za weryfikowanie prawidłowości ksiąg partii politycznych w ramach przeprowadzonych kampanii wyborczych, w maju dzięki rozporządzeniu rządu

akurat składa, że skargi Anticor na wydatki partii Macrona na ostatnią kampanię są systematycznie odrzucane.

Marine Le Pen w wywiadzie udzielonym telewizji LCI 17 października zwróciła uwagę, że wszystkie postępowania prowadzone przeciwko RN i FI pozwalają prokuratorom zakładać podsłuchy liderom opozycji oraz mieć dostęp do wszelkich dokumentów i komputerów partii opozycyjnych. – Nasz kraj staje się autorytarnym reżimem – stwierdziła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
i MIESIĘCZNIKA HISTORIA „DO RZECZY”

W PREZENCIE
KOSZULKI PATRIOTYCZNA
„POLSKI ORZEŁ” + EWYDANIE

Cena: 289 zł
Oszczędność: 394 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



NALEŻY PODAĆ
ROZMIAR KOSZULKI



WIELKA DEMASKACJA

Rosyjski odpowiednik naszego ZUS zdemaskował dane i adresy rodzin agentów GRU. Bo gdy szpiedzy wyjeżdżają na placówki, ich rodziny mieszkają w specjalnych internatach w Moskwie. Ujawniono ich tak, że przy meldowaniu dzieciom równano wiek do stu lat. Fundusz emerytalny nagle wyłapał domy pełne stulatków i podejrzewając oszustwo, zawiadomił policję. Dane rodzin agentów GRU trafiły do publicznego rejestru.

ZNISZCZYLI JEDYNY LOTNISKOWIEC

W Rosji ostatnio w ogóle nie mają dobrej passy. Ich jedyne lotniskowce, który przechodził właśnie remont w suchym doku w okolicach Murmańska, został uszkodzony. Podczas prac serwisowych na statek spadł wielki dźwig portowy ważący ok. 70 ton. Na pokładzie miało pojawić się po tym wielkie pęknięcie. Lotniskowiec ma zostać przeniesiony do innego doku. Dlatego dok zalano. I znów coś poszło nie tak – teraz nurkowie mają ocenić szkody.

BO ZDRADZIŁ KONIEC KSIĄŻKI

Na antarktycznej stacji badawczej Belling-shausen na wyspie King George Island jeden rosyjski badacz wpadł w szal, bo jego kolega opowiedział mu zakończenie książki, które ten zamierzał przeczytać. Czytelnik dźgnął kolegę nożem kuchennym w serce. Teraz jeden badacz jest w szpitalu, a drugi w Petersburgu w areszcie domowym z zarzutem usiłowania zabójstwa.

NIEMCY SIĘ BIJĄ

Parlament kraju związkowego Saksonia-Anhalt został wciągnięty w spór między dwoma delegatami partii AfD. 48-letni polityk, były policjant, miał w toalecie zaatakować 21-letniego kolegę z tego samego ugrupowania. Oprócz słownych pogróżek przy pisuarze miał też uderzyć drugiego polityka w okolice nerek. Prokuratura sprawę umorzyła. Niewykluczony jest jednak proces cywilny.

MACRON KONTRA DZIENNIKARZE

W Polsce, gdy politycy tylko zapowiedzieli uporządkowanie poruszania się dziennikarzy po parlamencie, rozpętała się taka awantura, że do dziś niektórzy nazywają to próbą puczu. Tymczasem prezydent Francji zapowiedział właśnie likwidację sali prasowej w Pałacu Elizejskim, która funkcjonowała tam od 40 lat. Jeszcze w tym roku ma zostać zakończona budowa nowego pomieszczenia, do którego przeniesieni zostaną dziennikarze. ©©

Łukasz Zboralski

PIECZEŃ RZYMSKA

O ubogacaniu



**PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU**

Przez wiele dni Italia żyła makabryczną tragedią. W Rzymie 16-latką w poszukiwaniu narkotyków udała się do opuszczonych i zapuszczonych baraków koło największego uniwersytetu Europy La Sapienza, gdzie mieszkali i handlowali użytkownikami nielegalni migranci z Afryki. Nie miała pieniędzy, więc zapłaciła ciałem. Handlarze podali jej mieszaninę narkotyków, która zwałałaby z nóg konia. Potem gwałcili ją na zmianę przez 12 godzin. Dziewczyna zmarła. Sprawców złapano. Wszyscy jak jeden mąż przebywali w Italii nielegalnie.

Jak ujawnili okoliczni mieszkańcy, policja siedem razy robiła nalot na tę jaskinię bezprawia. Handlarze po kilku dniach wracali. Oznacza to,

że zostali zatrzymani i spisani, ale prokurator nie uznał za stosowne ich aresztować, nie mówiąc o deportacji. Właśnie dlatego, gdy wydarzyła się tragedia, policja wytropiła ich bez większego trudu.

Można, a nawet trzeba postawić pytanie o współodpowiedzialność włoskiej prokuratury i systemu prawa za śmierć początkującej narkomanki. Dziwić się jednak trudno. Niedawno w Rzymie, „legalny” Gambijczyk, choć bez stałego miejsca zamieszkania, wydarł z dłoni młodej Włoszki drogi telefon i wziął nogi za pas. Dziewczyna ruszyła w pogoń. Afrykanin się przewrócił, więc go dopadła. Zadał jej nokautujący cios i złamał nos, ale zatrzymali go przechodnie. Dostał trzy lata więzienia i tysiąc euro grzywny, ale

sędzia puścił go wolno. Ponoć zgodnie z prawem. I tyle go widzieli.

W związku ze śmiercią młodej Włoszki narkomanki ludzie wyszli na ulice. Odbłyły się dwie demonstracje. Uczestnicy jednej domagali się przykładowego ukarania sprawców. W drugiej udział wziął kwiat włoskiej lewicy. Protestowali przeciw stygmatyzowaniu przybyszów z Afryki i podnoszącemu głowę faszyzmowi. Na zaimprovizowanej estradzie afrykańscy migranci oraz aktywiści lewicy tańczyli i śpiewali na tle wielkiego napisu: „Witajcie, nielegalni”.

42 proc. zgłoszonych we Włoszech w tym roku gwałtów popełnili obcokrajowcy, głównie nielegalni imigranci. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Uszczelnienie systemu podatkowego uwalnia potencjał polskiej gospodarki

Kongres 590, którego III edycja odbędzie się 15–16 listopada w Jasionce koło Rzeszowa, stawia na gospodarkę. Omawiane będą liczne tematy związane z problemami małych i średnich przedsiębiorstw oraz barierami wynikającymi z niedoskonałości przepisów prawnych. Tegoroczny Kongres 590 wiele uwagi poświęci także problemom gospodarczym, których rozwiązanie przyniesie znaczne efekty dla rozwoju państwa. Jednym z ważnych wyzwań jest uszczelnienie systemu podatkowego, w szczególności dotyczącego VAT

Podczas tegorocznej, trzeciej już edycji Kongresu 590 wiele uwagi poświęcone zostanie kwestiom związanym z uszczelnieniem tzw. luki VAT. W specjalnie przeznaczonych na tematykę fiskalną panelach wystąpią eksperci, przedstawiciele instytucji publicznych oraz sektora prywatnego, ekonomiści, decydenci polityczni oraz prawnicy specjalizujący się w kwestiach finansowych.

W ciągu ostatnich trzech lat wprowadzono ponad 20 regulacji zapobiegających oszustwom podatkowym. Są to m.in. systemy śledzenia i kontroli przewozu paliw oraz innych wrażliwych produktów, uszczelnienie obiegu faktur – wprowadzenie jednolitego pliku kontrolnego, a także scalenie Krajowej Administracji Skarbowej. Ministerstwo Finansów zapowiada kolejne regulacje prawne, mające na celu poprawę wydajności polskiego systemu podatkowego, który wciąż cechuje się niespójnością i brakiem tak ważnej dla podatników stabilności. Stworzenie nowego systemu podatkowego, który cechować się będzie przejrzystością i efektywnością fiskalną, jest jednym z założeń polityki rządu. Istotne jest zwłaszcza uszczelnienie systemu podatkowego, co przełoży się na wzrost dochodów państwa.

W 2015 r. wpływy do budżetu z podatku VAT wynosiły 123 mld zł. Z raportów Komisji Europejskiej wynika zaś jasno, że w 2015 r. luka podatkowa wyniosła ponad 40 mld zł – tyle pieniędzy trafiło wówczas na konta przestępców podatkowych zamiast do budżetu państwa. Jeśli się weźmie pod uwagę najnowsze dane, to podejmowane do tamtej pory wysiłki na rzecz wyższych wpływów do budżetu nie przyniosły wymiernych efektów. Bieżące działania instytucji publicznych owocują zaś konkretnymi wynikami.



W tym roku planowany wpływ z podatków VAT do budżetu Skarbu Państwa szacowany jest na poziomie 180 mld zł. Oznacza to więc znaczne zwiększenie dochodów państwa z tego tytułu. Zwiększone wpływy budżetowe to wzrost możliwości inwestycyjnych Polski. Warto jednak wprowadzać kolejne narzędzia we współpracy z przedsiębiorcami. Wszystkim powinno zależeć na równych i przejrzystych zasadach. Oszuści VAT przynoszą bowiem w tym samym stopniu szkodę państwu co innym przedsiębiorcom, którzy uczciwie rozliczają swoją działalność.

Temat systemu podatkowego będzie jednym z diskutowanych podczas Kongresu 590 przez przedstawicieli wielu środowisk oraz branż. Wieloaspektowe podejście do kwestii gospodarczych pozwoli na wypracowanie konkretnych rozwiązań. W efekcie podsumowaniem wydarzenia będzie przedstawienie proponowanych do wdrożenia w system prawny zapisów, które mają w pełni uwolnić potencjał polskiej gospodarki.

Jak uwolnić potencjał polskiej gospodarki? Jakie bariery i ograniczenia wstrzymują polskich przedsiębiorców przed rozwojem? Co może być kołem zamachowym polskiej

gospodarki? Odpowiedzi na te pytania muszą powstawać w ścisłej współpracy polskiego biznesu i instytucji publicznych. Podczas Kongresu 590 w dniach 15–16 listopada br. w Jasionce koło Rzeszowa przedstawiciele polskiego biznesu będą wymieniać się doświadczeniami i wiedzą oraz wypracowywać propozycję rozwiązań instytucjonalnych, które przełożą się na rozwój polskiej gospodarki. Nie zabraknie czołowych postaci polskiej sceny politycznej, ekonomistów i ekspertów z wielu dziedzin gospodarki, prezesów i dyrektorów dużych firm, wśród których znajdują się Partnerzy Strategiczni Kongresu 590: PKO Bank Polski, PKN ORLEN, KGHM Polska Miedź, Grupa Cedrob oraz Grupa PKP, a przede wszystkim przedstawiciele polskiej średniej i małej przedsiębiorczości. Cel: połączenie działań środowisk biznesowych oraz przedstawicieli administracji publicznej na rzecz rozwoju gospodarczego na podstawie założeń zrównoważonego rozwoju i rosnącej roli polskiego kapitału.



Agnieszka Niewińska

Sinéad O'Connor, wychowana jako katoliczka, przeżyła zachwyt nad rastafarianizmem, była kapłanką sekty chrześcijańskiej, a skończyła jako muzułmanka. O ile skończyła

Jestem dumna z tego, że zostałam muzułmanką. To naturalna konkluzja podróży każdego inteligentnego teologa. Studiowanie ksiąg świętych prowadzi do islamu. W efekcie wszystkie pozostałe księgi święte stają się zbędne – napisała na Twitterze irlandzka wokalistka Sinéad O'Connor.

Konwersję O'Connor potwierdził irlandzki imam Umar al-Qadri. W sieci umieścił nawet wideo, na którym O'Connor składa wyznanie wiary po arabsku i angielsku. Napisał, że modli się, by wokalistka w islamie odnalazła pokój.

HIDŻAB I NOWE IMIĘ

Piosenkarka tuż po konwersji zmieniła zdjęcie profilowe w mediach społecznościowych na logotyp firmy Nike z napisem: „Wear a hijab. Just do it” („Noś hidżab. Po prostu zrób to”). Na swoim profilu pokazała się w hidżabie i przekonuje do noszenia go. W jednym z postów twierdzi, że długie włosy to zachodni odpowiednik hidżabu, więc jeśli kobiety Zachodu są przeciwko ich noszeniu, to powinny ściąć włosy.

– Kiedy usłyszałem o przejściu Sinéad O'Connor na islam, pomyślałem, że pięknie jest, jeśli komuś w jego sytuacji życiowej pomaga zmiana religii. Z rezerwą podchodzę jednak do osób, które dopiero co zmieniły wyznanie, a już zaczynają działalność misyjną, nawołują, dają wskazówki innym – mówi Musa Czachorowski, rzecznik Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP. Zwraca uwagę, że zmiana wyznania nie powinna się odbywać w świetle jupiterów. – Bóg nie lubi gwałtowności, jednorazowości. To wszystko powinno się najpierw sprawdzić w życiu, w codziennej pracy, w relacjach z innymi ludźmi. Za rok czy dwa lata zobaczymy, co zostało z konwersji Sinéad – uważa.

Gwałtowne zmiany w życiu to akurat specjalność O'Connor. Wokalistka nieraz



FOT. TWITTER/REEM/EAST NEWS

zaskakiwała swoich fanów. W 1992 r. zaistniała, gdy w amerykańskim programie na żywo „Saturday Night Live” podarła zdjęcie Jana Pawła II. Tłumaczyła, że to proces przeciwko pedofilii wśród księży. Kościół katolicki krytykowała zresztą wielokrotnie. Nauczanie dotyczące homoseksualizmu nazywała bluźnierstwem – kilkakrotnie deklarowała się w mediach jako lesbijka, ostatecznie pozostała przy biseksualizmie. Była czterokrotnie zamężna, ma czworo dzieci.

„Gdyby Jezus był z nami, spaliliby Watykan” – napisała w liście otwartym do irlandzkich dzienników po tym, jak irlandzki Kościół prosił wiernych o datki na wypłacenie odszkodowań ofiarom przestępstw seksualnych. Wzywała też do tworzenia alternatywnego Kościoła. W 1999 r. została nawet wyświęcona na duchownego Irlandzkiego Ortodoksyjnego Kościoła Katolickiego i Apostolskiego uznawanego za chrześcijańską sektę. Święceń udzielił jej Michael Cox, ekskomunikowany później biskup Kościoła Palmariańskiego. O'Connor, zanim przeszła na islam, przeżyła też fascynację rastafarianizmem.

Wraz z przyjęciem nowej religii piosenkarka zmieniła imię. Już w zeszłym roku poinformowała fanów, że nie jest już Sinéad O'Connor, ale Magdą Davitt (by ostatecznie odciąć się od rodziców). Po konwersji dostała nowe imię – Szuhada (po arabsku oznacza ono męczenników). – Zmiana imienia w momencie przejścia na islam absolutnie nie jest konieczna. Można się na to zdecydować, jeśli ma się jakieś poniżające czy budzące negatywne skojarzenia imię albo w sytuacji, jeśli ktoś nosi imię Prorok albo Mesjasz, ale to przecież bardzo rzadkie przypadki. Imiona takie jak Jan, Dawid i Zachariasz nadawane w kulturze europejskiej to także imiona uznanych w islamie proroków – tłumaczy Musa Czachorowski. Dodaje jednak, że przyjęcie nowego imienia jest często spotykane u osób zmieniających religię. – Chcą w ten sposób pokazać, że są w pełni po stronie wyznania, które przyjęły – dodaje.

SUKCES I UPADEK

Od lat O'Connor rzadko mówi się w kontekście muzyki. W mediach występuje głównie w kontekście życia prywatnego. W ubiegłym roku głośno było o dramatycznym nagraniu, które wrzuciła do Internetu. Zapłakana opowiadała o tym, że cierpi, została zupeł-

nie sama, a jedyną osobą, na którą może liczyć, jest jej psychiatra. Tłumaczyła, że cierpi na choroby psychiczne. Wcześniej w mediach przyznała, że ma chorobę dwubiegunową, w której okresy depresji przeplatają się z okresem manii. Ostatnią płytę wydała w 2014 r.

– Wszystko, co Sinéad O'Connor miała do powiedzenia w muzyce, zawarła w albumie „The Lion and the Cobra” z 1987 r. Ta płyta to był powiew świeżości. Muzyka elektroniczna nawiązująca do nowej fali skrzyżowana z wpływami irlandzkiego folku – opowiada Hirek Wrona, dziennikarz muzyczny.

W 1990 r. pojechał nawet na występ O'Connor do Londynu. – To był bardzo dobry koncert. Pamiętam, że Sinéad O'Connor, mimo że towarzyszył jej zespół, miała na scenie magnetofon szpulowy, z którego puszczała podkłady. Formy, którymi się posługiwała, były nieoczywiste. Gdybym musiał wybrać 50 czy 100 najlepszych

Sinéad O'Connor nie tylko zmieniła wyznanie na islam, lecz także swoje imię i nazwisko na Magda Davitt, by odciąć się od rodziców

utworów muzyki brytyjskiej, znalazłby się wśród nich utwór O'Connor „Mandinka”. Kolejny krążek – „I Do Not Want What I Haven't Got” z 1990 r. – pociągnął cover utworu Prince'a „Nothing Compares 2 U”. Album odniósł gigantyczny sukces – mówi Hirek Wrona. I zwraca uwagę, że po pierwszym wielkim sukcesie, kiedy pojawiły się pieniądze, popularność, koncerty, O'Connor zaczęła eksperymentować. – Śledziłem to, co nagrywała, choćby przez sentyment, ale już żaden album O'Connor mi się nie spodobał – może trochę „She Who Dwells in the Secret Place of the Most High Shall Abide Under the Shadow of the” z 2003 r., ale żaden nie był ważny dla historii muzyki, nawet pod względem sprzedażowym. Miała swoje grono fanów, ale nie powtórzyła już sukcesu z 1990 r. Cały czas szukała swojego miejsca w świecie muzyki, tyle że nie przez pracę czy poszukiwanie najlepszych producentów, ale przez ciągłe zmiany wizerunku. Robiła na mnie wrażenie osoby rozchwianej emocjonalnie – opowiada dziennikarz muzyczny. I przywo-

łuje zdanie wypowiedziane przez Micka Jaggera, który stwierdził, że po drabinie sławy błyskawicznie wchodzi się na szczyt, ale jeszcze szybciej się z niej spada. – Duże pieniądze potrafią zrobić ludziom wodę z mózgu i trudno nad tym zapanować. Jednak drogi twórców są różne. Aerosmith w pierwszej połowie lat 70. byli muzycznymi bogami. Następnie wszystko przeheulali, by w połowie lat 80. powstać z kolan i nagrać najlepsze płyty. Prince z kolei stronił od sławy, zerwał wart 100 mln dol. kontrakt, a podczas ostatniej trasy chciał być bliżej publiczności, więc na scenie występował jedynie przy fortepianie. Bono angażuje się politycznie, a setki milionów funtów przeznacza na pomoc ubogim w Afryce. Tutaj nie ma żadnej reguły – kwituje.

WEZWANIE DO MODLITWY

Czy 51-letniej artystce wychowywanej w kulturze chrześcijańskiej uda się odnaleźć w muzułmańskim świecie? – Wiele osób utożsamia islam z jego wyznawcami w krajach arabskich, sądząc, że to skomplikowana religia. Tymczasem islam w tych krajach ma swoją otoczkę kulturową. Przyjmując religię, nie musimy przyjmować arabskiej kultury – tłumaczy Musa Czachorowski. – Islam nie wymaga niczego, co jest niecodzienne. Jeśli włoży się odrobinę wysiłku, to wszystko okazuje się proste. Chyba że ktoś zbyt restrykcyjnie podejrze do zmiany religii i postanowi np., że nie tylko nie będzie jadł wieprzowiny, lecz nawet nie zajrzy do restauracji, w której ją podają, by nie jeść na talerzu, na którym kiedyś wieprzowina mogła leżeć. Tyle że islam nie lubi przesady. To, że nie pijemy alkoholu, nie oznacza, iż nie można zrobić zakupów w sklepie, w którym alkohol jest sprzedawany. Oczywiście najlepiej trzymać się z daleka od wszystkiego, co jest w islamie zakazane, ale żyjąc w kraju niemuzułmańskim, musimy umieć dokonywać logicznych wyborów – dodaje.

O'Connor na razie bez reszty zaangażowała się w islam. Zamieszcza w sieci wersety z Koranu, opublikowała też wideo, na którym wyśpiewuje muzułmańskie wezwanie do modlitwy. Rzuca wyzwanie innym artystom, by też je wykonali i wrzucili do sieci, bo to jej zdaniem sposób na walkę z męczeństwem i terroryzmem. Czy Irlandka jest jeszcze w stanie zaskoczyć czymś swoich fanów?



Stefan Sękowski

To, jak się układa współpraca i konkurencja gospodarcza między Niemcami a Chinami, ma dla nas większe znaczenie, niż myślimy

Na początku października zdarzyła się sytuacja rewolucyjna. BMW jako pierwszy zagraniczny koncern dostał zgodę chińskich władz na objęcie większościowych udziałów w miejscowym joint venture w branży motoryzacyjnej – formalnie od 2022 r., w praktyce można powiedzieć, że już. Do tej pory Chińczycy, zazdrośnie strzegący wpływów w chińskich przedsiębiorstwach, na to nie pozwalali. W kwietniu zmieniono prawo. Już wcześniej BMW miał udział w państwowo-miejskim koncernie Brilliance, jednak teraz będzie miał większy wpływ – i będzie osiągał z niego coraz większe zyski, bo rynek chiński jest bardzo perspektywiczny. Już dziś BMW sprzedaje w Chinach prawie dwa razy tyle samochodów co w Niemczech. Część z nich produkowana jest w USA, jednak firma rozważa także przeniesienie tej części swojej produkcji do Chin – po wprowadzeniu 40-procentowego cełu na samochody produkowane w Stanach (w odpowiedzi na amerykańskie cła) eksport do ChRL stał się znacznie droższy.

GŁÓWNY PARTNER HANDLOWY

Bawarski koncern samochodowy to oczywiście niejedyna niemiecka firma, która inwestuje na chińskiej ziemi. Dziennik „Handelsblatt” opisuje miasto Shenyang, w którym BMW buduje swoje samochody, jako istnie niemieckie zagłębie, gdzie wszędzie widać reklamy nie tylko tej firmy, lecz także Volkswagena czy Lufthansy. A przecież to tylko jedno z wielu miast tego ogromnego kraju.

Chińczycy są największym partnerem handlowym Niemców. Głównie jeśli chodzi o import (o wartości ok. 100,7 mld euro w 2017 r., czyli 10 proc. całego importu – Chiny zajmują pierwsze miejsce), a także o eksport (86,2 mld euro, czyli ok. 7 proc. całego eksportu – trzecie miejsce Chin za USA i Francją). Chińczycy importują znaną głównie samochody, części samochodowe, narzędzia i maszyny zaawansowane technologicznie. Ich wzajemne relacje



Niemiecki sposób

mają duży wpływ na sytuację gospodarczą w Niemczech, a także u nas, bowiem za zachodnią granicę idzie 27 proc. naszego eksportu. Nasze firmy (lub przynajmniej firmy inwestujące w Polsce) są też podwykonawcami firm niemieckich, które tam eksportują. Gdy więc następują trudności na linii Berlin – Pekin, robi się gorąco także wokół naszej gospodarki.

I takie tąpnięcie nastąpiło wraz z wybuchem amerykańskiej wojny handlowej. Niemców (a w konsekwencji i Polaków)

dotyczy to o tyle, że USA uderzyły dodatkowymi cłami nie tylko w Unię Europejską (tu cła na stal i aluminium były wycelowanym m.in. właśnie w RFN rozwiązaniem), lecz także w Chiny. Jednym z efektów są straty niemieckich firm produkujących w USA i eksportujących do Chin – nie tylko BMW, lecz także Daimlera, który obniżył prognozę dotyczącą tegorocznych zysków. Także ok. 5,2 tys. niemieckich firm obecnych w Chinach dotykają nowe cła, choć nie zawsze bezpośrednio. Na przykład



FOT. IMAGINEHNA/ISTOCK

Dobrze to widać na przykładzie odpowiedzi na chińskie inwestycje w firmy niemieckie. W 2017 r. chińska firma przejęła niemieckiego producenta robotów, firmę Kuka. W tym roku inna firma – Geely – przejęła największe udziały w firmie Daimler. A trzeba pamiętać, że Geely nie jest wcale największą firmą motoryzacyjną w Państwie Środka, co znaczy, że także inne mogą mieć podobne możliwości. Ma to znaczenie nie tylko czysto rynkowe, lecz także polityczne. Chińskie firmy nierzadko są powiązane z władzami i oczywiście też ze służbami specjalnymi, a pozyskany kapitał może służyć nie tylko rozwojowi gospodarczemu, lecz także transferowi technologii, której można by używać w bardzo różny sposób. Pamiętajmy, że w przypadku Chin mamy do czynienia z państwem autorytarnym, które marzy o geopolitycznym „powrocie na swoje miejsce” (z reguły państwa o imperialistycznych zakusach swoje miejsce widzą m.in. tam, gdzie jest już ktoś inny).

Niemcy po chwilowym szoku postanowili kontratakować – przeciwstawiać się chińskim inwestycjom w te branże, które uznają za strategiczne. Przykładowo w lipcu tego roku niemiecki bank rozwoju KfW odkupił 20 proc. udziałów w operatorze systemu przesyłowego energii elektrycznej 50Hertz – po to, by nie mogła ich przejąć chińska firma państwowa SGCC. Nie chodzi tu o własność inną niż niemiecka jako taką, bo głównym udziałowcem pozostaje nadal belgijska firma Elia – tylko o to, by Chińczycy nie mieli wpływu na przesył prądu na terenie RFN. We wrześniu chińska firma Yantai Taihai zrezygnowała z próby zakupu producenta maszyn, firmy Leifeld, ponieważ rząd federalny chciał zakazu transakcji, powołując się na ochronę bezpieczeństwa państwa. Co więcej, w niemieckich kręgach rządowych pojawiają się plany stworzenia specjalnego funduszu mającego służyć wykupowi firm, które miałyby trafić w chińskie ręce.

KONKURENCJA W AFRYCE

Niemiecko-chińska rywalizacja wychodzi także poza granice obu państw. Gerd Müller, minister współpracy gospodarczej i rozwoju, pochodzi z zachodniej Bawarii, jest politykiem Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU), jednak jego zaangażowanie dotyczy głównie terenów znajdujących się daleko od południowych Niemiec. Swoje pomysły określa, nieco buńczucznie, jako „Plan Marshalla dla

Afryki”. Niemcy pracują nad tamtejszą infrastrukturą – m.in. budując mosty w RPA, tworząc montownie w Rwandzie (Volkswagen) czy udzielając pożyczek firmom w Kenii. Stawiają także na rozwój tamtejszego rolnictwa. Techniczny, ale i organizacyjny – promują tam m.in. spółdzielczość, która ponad sto lat temu pomogła rozwinąć się niemieckiemu (i nie tylko, polskiemu także) rolnictwu. Ma to powstrzymać exodus Afrykańczyków do miast, gdzie często zamiast znaleźć pracę i chleb, znajdują ubóstwo, przestępczość i prostytucję. Müller idzie w swoich propozycjach daleko, np. proponując, by UE zniosła cła na afrykańskie produkty rolne – choć na przetwory (co przyniosłoby Afrykańczykom większe zyski) już nie.

Chociaż Müllera można zaliczyć do ekologiczno-społecznego skrzydła swojej partii, nie robi tego bezinteresownie. Jeśli Niemcy nie chcą powtórzyć sytuacji sprzed ponad trzech lat, kiedy to do RFN przywędrowało (i przyjechało via Węgry) ponad milion uchodźców i imigrantów z Azji, a także Afryki, muszą działać – to, co robi polityk CSU, ale także niemieccy

Niemców (a w konsekwencji i Polaków) wojna handlowa dotyczy o tyle, że USA uderzyły cłami nie tylko w Unię, lecz także w Chiny

przedsiębiorcy, to właśnie „pomaganie na miejscu”. Jednak to nie wszystko, bowiem chodzi także o konkurencję z Chinami, które rozwijają swoje zaangażowanie infrastrukturalne w Afryce – czasem zresztą we współpracy z Niemcami, jak choćby budując most w Mozambiku. Tyle że niemieckie zaangażowanie na Czarnym Lądzie jest jeszcze w powijkach: Chińczycy w ramach swojej gospodarczej ekspansji są daleko przed naszymi zachodnimi sąsiadami.

Przykład niemiecko-chińskich relacji gospodarczych pokazuje, że na te kwestie nie należy patrzeć zero-jedynkowo. Pamiętając o tym, że jesteśmy w zupełnie innym miejscu, jeśli chodzi o dostęp do kapitału czy know-how, można się od niemieckiego podejścia do Chin wiele nauczyć. Zwłaszcza w coraz trudniejszych dla międzynarodowego handlu czasach.

Autor jest zastępcą dyrektora thinktine'u „Nowa Konfederacja”.

według Niemieckiej Izby Handlowo-Przemysłowej wielu przedsiębiorców odczuwa większą presję ze strony chińskich służb celnych, zwłaszcza gdy korzystają z półproduktów pochodzących z USA. W efekcie doszło do zbliżenia – w pewnym zakresie oczywiście – między ChRL a UE. Jeden i drugi podmiot chcą współpracować przy reformie Światowej Organizacji Handlu (WTO), co miałoby utrudnić USA arbitralne podnoszenie ciał. Dopóki nie da się jednak Stanów zmusić do zmiany polityki, dopóty pozostanie to tylko dążenie symboliczne. Chińska polityka jest korzystna dla UE w innych miejscach, np. w odpowiedzi na amerykańskie cła na własne produkty nie tylko podnieśli cła na produkowane w USA samochody, lecz także... obniżyli własne na samochody spoza USA – z 25 proc. do 15 proc., co pomoże Europejczykom (w tym oczywiście także Niemcom) znaleźć zbyt na swoje auta.

WROGIE PRZEJĘCIA?

Te wszystkie przykłady nie mogą nam jednak przesłonić tego, że mamy tu do czynienia z poważną konkurencją.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Skąd wziąć Polaków?

Dobrze byłoby mieć skuteczną politykę demograficzną – taką, która unieważniałaby skrajnie pesymistyczne prognozy dla Polski. A według nowego raportu ONZ w 2050 r. będzie nas – Polaków w Polsce, sytuowanej wśród państw najbardziej zagrożonych kurczeniem się ich populacji, zaledwie 32 mln, zaś według raportu GUS z 2014 r. – w zależności od wariantu – od 32 do 36 mln. Natomiast w 2100 r., według ONZ – i to jest dopiero wstrząsające – Polaków w kraju będzie już tylko 21 mln.

Dobrze więc byłoby mieć skuteczną politykę demograficzną, lecz skoro jej nie mamy, to wypadałoby co najmniej toczyć otwartą debatę o tym, jak wyludnianiu Polski przeciwdziałać. Bo chyba chcemy temu zaradzić, tak czy nie? Chyba nie chcemy zdawać się na przypadek?

Tymczasem na razie wychodzi na to, jakby to właśnie ślepy los miał zdecydować za nas o tym, kto i w jakiej liczbie – za 20, 40 i 80 lat – będzie zamieszkiwał Polskę. W każdym razie trudno inaczej zinterpretować niedawną decyzję premiera Morawieckiego, który właśnie za udział w debacie na ten temat zdymisjonował wiceministra inwestycji i rozwoju Pawła Chorażego. Czymże bowiem, jak nie udziałem w niej, było wyrażenie przez Chorażego opinii, że „napływ imigrantów do naszego kraju musi wzrosnąć, żeby utrzymać wzrost gospodarczy” albo że Polska powinna przyjmować imigrantów, bo to dzięki nim

budowany jest „dobrobyt państw, które osiągnęły sukces”?

Jeśli jednak ktoś nie chce lub nie jest w stanie przyjąć do wiadomości tak oczywistej konkluzji, że bez przyjmowania imigrantów (i to – w naszej sytuacji – raczej nie tysięcy, lecz milionów) nie mamy szans na zbudowanie dobrej przyszłości Polski, ten z pewnością nie jest gotów na przystąpienie do drugiej – kluczowej części zadania, które przed nami stoi. Czyli do rzeczowego określenia, kogo chcemy przyjmować w charakterze imigrantów, jak sformułować kryteria ich przyjmowania i wreszcie – jak zbudować mechanizm ich asymilowania się w Polsce.

Jasne, na czoło takiej listy powinni trafić Polacy, którzy z różnych względów mieszkają poza ojczyzną. Należy pilnie sformułować dla nich zestaw zachęt do powrotu i znaleźć na to pieniądze w budżecie państwa. Wiadomo jednak, że to nie wystarczy. Czym prędzej trzeba więc też zdecydować, ilu, z jakiego kręgu kulturowego, jakiej narodowości, w jakim wieku i jak wykształconych ludzi chcemy pozyskiwać i rozpocząć szeroko zakrojoną akcję werbunkowo-imigracyjną.

Tego wszystkiego nie da się zrobić bez uprzedniej ogólnonarodowej debaty – i bez zgody większości Polaków. Czy liderzy PiS i Platformy mają odwagę do niej stanąć? Do twardej debaty o tych imigrantach, których Polska potrzebuje, a nie o tych, których chce nam podrzucić kanclerz Merkel. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Algorytm nowej religii

Bóg stworzył człowieka. Dowolna religia jest algorytmem, który określa zbiór pożądanych zachowań i steruje życiem człowieka, który przyjmuje zasady tej religii. Elementem tego algorytmu jest na przykład zasada: „if” (świadomie zabijesz człowieka), „then” (pójdziesz do piekła). Człowiek stworzył instytucje wiary, takie jak kościoły, synagogi i meczety, które są swoistymi „serwerami” obsługującymi ten algorytm. Algorytmy życiowej klasteryzacji grupują podobnych ludzi – katolików, żydów, muzułmanów – według pewnych wspólnych cech, które w terminologii sztucznej inteligencji można określić jako tzw. embeddingi, instytucje wiary stosują zaś reguły komunikacji marketingowej dostosowane do rozpoznanych potrzeb i oczekiwań tych grup.

Potem człowiek stworzył big data i sztuczną inteligencję, które wprowadzają nowy zestaw reguł wpływających na nasze codzienne życie. Człowiek w swoim akcie kreacji poszedł dalej niż Bóg, ponieważ nowe reguły nie dotyczą grup ludzi, ale są dopasowane do każdego człowieka indywidualnie. Czyli czytasz, słuchasz, oglądasz, jesz i kupujesz to, co system uznał za odpowiednie dla ciebie. Człowiek osiągnął również możliwości skalowalności znacznie większe niż Bóg i religie poprzedniej generacji. Budowa miliarda wyznawców danej religii zajęła setki lat, a Facebook czy

Tencent (WeChat) osiągnęły to samo w ciągu zaledwie 15 lat. Podobnie w przypadku zaangażowania. O ile człowiek spędza godzinę w tygodniu na serwerach religii poprzedniej generacji, o tyle na serwerach Facebooka spędza kilka godzin dziennie.

Nic dziwnego, że pojawiły się już pierwsze formalne Kościoły sztucznej inteligencji, na przykład Way of the Future, którego wyznawcy wierzą, że inteligencja nie jest związana z biologiczną formą życia oraz że stworzenie niebiologicznej superinteligencji jest kwestią bliskiej przyszłości. Misją tego Kościoła jest przygotowanie człowieka na nadejście superinteligencji. Ciekawe, że skrót nazwy kościoła brzmi WTF, co ma pewne znaczenie w języku angielskim.

Jeżeli ktoś oglądał serial „Czarne lustro” na platformie Netflix, to może sobie wyobrazić, że nowa religia w przyszłości będzie miała miliardy wyznawców, czyli filmowe Ciasteczka, zwane w terminologii sztucznej inteligencji uploadami. Ciasteczka będą się komunikowały bezpośrednio z nadludzką (boską?) superinteligencją. Nagrodą za dobre uczynki będzie najnowsza wersja chmury Microsoft Azure, na wieczne potępienie za e-grzechy Ciasteczko będzie zaś skazywane na pętlę „for”, czyli od 1 do nieskończoności (obejrzyj film „Kler” – K.R.). ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: EPSON L4160

Niewielkie rozmiary urządzenia, niskie koszty eksploatacji, wysoka szybkość druku oraz łatwość obsługi – to zalety urządzenia wielofunkcyjnego z kolorową drukarką atramentową.

Solidnie wykonany sprzęt waży ok. 6 kg i ma kompaktową obudowę o wymiarach 187 x 347 x 375 mm. Mimo niewielkich rozmiarów umożliwia dwustronne drukowanie. W ręcznym podajniku papieru mieści się maksymalnie 99 stron.

Maksymalna rozdzielczość druku wynosi 5760 x 1440. Jakość wydruków, w tym kolorowych zdjęć, jest bardzo dobra. Minusem tego modelu jest jednak jakość wydruków zdjęć czarno-białych, na które niestety co jakiś czas wkrada się odrobina koloru.

Szybkość wydruku w trybie czarno-białym to ok. 30 stron A4 na minutę, a w przypadku drukowania stron kolorowych – 13 stron na minutę. Wydajność według producenta wynosi 7,5 tys. stron zadrukowanych przy użyciu czarnego tuszu oraz 18 tys. stron kolorowych (łącznie przy użyciu trzech kolorowych tuszów). Skanowanie jednego dokumentu zajmuje ok. 15 sekund.

Plusem tego modelu jest łatwość obsługi. Kombajn Epsona – umożliwiający drukowanie, skanowanie i kopiowanie – współpracuje z urządzeniami zarówno z systemem Windows, jak

i macOS, a także np. ze smartfonami z systemem Android. Urządzenie wyposażone jest w zestaw interfejsów: USB typu B oraz czytnik kart pamięci, który pozwala na drukowanie zdjęć bez konieczności przetrzymywania ich najpierw do komputera. Pliki przegląda się wówczas na kolorowym panelu LCD o przekątnej 1,4 cala. Wyświetlacz przydaje się też w trybie kopiowania, a także do wyboru ustawień, wprowadzania hasła do wi-fi etc.

Drukować czy skanować można też po bezprzewodowym połączeniu z urządzeniem

za pomocą sieci Wi-Fi – dzięki temu bez trudu można przesłać do Epsona np. zdjęcie ze smartfona (testowany model obsługuje m.in. takie technologie jak Apple AirPrint i Google Cloud Print). Wystarczy połączyć się z urządzeniem – nie trzeba instalować żadnych aplikacji ani sterowników.

A minusy?

Największy format obsługiwanej papieru to A4 – to dość typowe dla urządzeń przeznaczonych do

domu lub małego biura, ale jeśli ktoś potrzebuje drukować w formacie A3, to musi poszukać innego modelu. Oprócz tego drukarka jest stosunkowo głośna. Poza tym urządzenie pobiera prąd nawet, jeśli pozostaje w stanie spoczynku. Teoretycznie można je po prostu odłączyć, ale wtedy po dłuższym czasie nieużywania może się okazać, że dysze będą zabrudzone i np. na zdjęciach zacznie nagle brakować któregoś z kolorów.

Cena: 1049 zł. © ©

Jacek Przybylski

JAŚNIEJ NA ROWERZE



Zrobiło się jesienią, szaro, ponuro, mroczno... I mimo że kilka najbliższych dni ma być słonecznych, to jednak meteorolodzy zapowiadają szybkie pogarszanie się pogody i – co za tym idzie – widoczności. A oni wciąż tu są. We własnym przekonaniu – panowie życia i śmierci, władcy szos i – co gorsza – chodników. Kto? Oczywiście rowerzyści, wciąż jeszcze zbyt rzadko właściwie oznakowani i oświetleni w ruchu drogowym. Pomóc na to może LaserLight Core, czyli laserowa latarka montowana przy rowerowej kierownicy.

Producenci gadżetu przekonują, że dzięki niemu rower jest świetnie widoczny dla kierowcy nadjeżdżającego samochodu, a to dlatego, że urządzenie również w dzień może emitować białe światło o natężeniu 400 lumenów. W dodatku LaserLight Core na 6 m przed pojazdem wyświetla symbol... roweru, co ponoć ma niwelować tzw. martwe pole. Rdzeń LaserLight Core wykorzystuje opatentowaną technologię laserową, a według badań Transport Research Laboratory zastosowane w LaserLight Core światło zwiększa

widoczność rowerzysty nawet o 32 proc. Urządzenie jest oczywiście wodo- i kurzoodporne, wytrzymałe na wstrząsy i waży 100 g. Bateria, bez ładowania, wystarcza – w zależności od ustawionego poziomu nasilenia światła – na od 1,5 godziny do nawet 41 godzin używania. Cena na Kickstarterze to ok. 200 zł.

KOLEJNY BADACZ „WSZYSTKIEGO”

Jest ich już na rynku zatrzęsienie, ale producenci co chwila sięgają po nowsze, nieco tylko zmodyfikowane projekty. Niebawem do sprzedaży trafi Vela Smartwatch – zakładany na nadgarstek „trener zdrowia i kondycji fizycznej”. Vela, podobnie jak wiele innych smartwatchów monitorujących stan organizmu dzięki zestawowi czujników, analizuje m.in. poziom tlenu w organizmie czy poziom stresu i jakość snu. Gadżet może być także pomocny przy szacowaniu, czy jego użytkownik jest narażony na zaburzenia rytmu lub ryzyko wystąpienia innych chorób serca, a to wszystko na podstawie analizy zmienności rytmu serca (HRV). Zamawiać go można na Indiegogo za ok. 250 zł. © ©



Wojciech Wybranowski



Brudna jazda

W centrach dużych miast spaliny samochodowe, obok tzw. niskiej emisji, mają ogromny wpływ na zanieczyszczenie powietrza. W wielu europejskich metropoliach wprowadza się więc ograniczenia w ruchu pojazdów spalinowych

Raporty Światowej Organizacji Zdrowia oraz polskich instytucji są alarmujące: dopuszczalne limity stężenia szkodliwych pyłów zawieszonych w powietrzu w niektórych miejscach naszego kraju przekraczane są nawet dziesięciokrotnie. – Stan powietrza w Polsce jest na tyle zły, że w sposób ewidentny przekłada się na stan zdrowia Polaków. Działania w celu poprawy jakości powietrza są niezwykle trudne: lata zaniedbań, niska świadomość, niechęć do ponoszenia kosztów „czystego” opału. Bez

dobrych działań edukacyjnych opartych na systemie pomiarowym stan rzeczy w Polsce się nie zmieni. Jedynie działania edukacyjne mogą zmienić nastawienie szerszej części społeczeństwa do problemu zanieczyszczenia powietrza. Zła jakość powietrza w Polsce nie jest powodowana przez przemysł, ale przez domowe piece opalane węglem i drewnem często bardzo złej jakości. Dlatego też PZU wraz z firmą NASK przeprowadza akacje edukacyjne w szkołach dla nauczycieli, dzieci i rodziców. Jest to najlepszy sposób do prewencyjnych działań w celu poprawy jakości powietrza w Polsce, a przez to poprawy zdrowia Polaków. Akcja jest prowadzona w 33 najbardziej zanieczyszczonych miastach w Polsce – powiedział Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU.

W dużych miastach widać też duży wpływ zanieczyszczeń pochodzących z transportu drogowego. Zdaniem ekspertów zanieczyszczenia emitowane przez

samochody spalinowe są na drugim miejscu po tzw. niskiej emisji. Trzecim największym trucicielem jest zaś przemysł.

TRUJĄCE SPALINY

W niektórych miejscach, takich jak np. Warszawa, gdzie większość mieszkańców korzysta z sieci ciepłowniczej, spaliny z samochodów, ciężarówek i autobusów są zaś głównym źródłem emisji zanieczyszczeń. Inspektorzy NIK w raporcie z września obecnego roku stwierdzają zaś wprost: zanieczyszczenie powietrza spowodowane transportem samochodowym są równie groźne dla życia i zdrowia jak pyły pochodzące z pieców komunalnych.

Auta emitują m.in. dwutlenek węgla, dwutlenek siarki, tlenek węgla, benzen, ołów, platynę, ozon oraz wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne. Z zachodnich badań wynika, że spaliny samochodowe podwyższają m.in. ryzyko schorzeń nowotworowych, mogą też powodować bóle i zawroty głowy, skurcze oskrzeli,



wysokości. Poza tym w centrach miast z gęstą siatką ulic o dużym natężeniu ruchu samochodów oraz w obrębie kanionów ruchliwych ulic to właśnie emisja z samochodów jest czynnikiem w dużym stopniu decydującym o wystąpieniu przekroczeń dopuszczalnych wartości nie tylko dla dwutlenku azotu, lecz także pyłu zawieszonego (PM_{2,5}, PM₁₀).

Pojazdów silnikowych w Polsce przybywa zaś wyjątkowo dynamicznie. W 2000 r. po polskich drogach jeździło ich 6,2 mln, a w roku 2016 zarejestrowanych było już ponad 30 mln pojazdów, w tym zdecydowana większość aut napędzanych przez silniki benzynowe (61 proc.) lub silniki Diesla (37 proc.). Tylko w 2017 r. zarejestrowano aż 486,4 tys. nowych aut (wzrost o 16,9 proc. w porównaniu z rokiem 2016) i 869 tys. aut używanych, z których aż 90 proc. miało ponad cztery lata. Procentowo bardzo szybko rośnie również liczba nowych aut z napędem hybrydowym. W 2016 r. przybyło ich aż 68 proc., ale to wciąż zaledwie 16,9 tys. samochodów.

CZyste strefy

Aby ograniczyć smog wywołany przez spaliny samochodowe, władze wielu dużych miast europejskich oraz Ameryki Północnej zapowiedziały, że do 2025 r. wprowadzą zakaz wjazdu do centrów miast pojazdów z silnikami Diesla. Niektóre, takie jak Paryż czy Londyn, przestaną wpuszczać auta z jednostkami wysokoprężnymi już w roku 2020. Nawet najbardziej nowoczesne auta z silnikami Diesla nadal mogą bowiem mocno zatruwać środowisko.

Sprawdzoną receptą na uzdrowienie powietrza w miastach może być tworzenie w centrach stref ograniczonej emisji (LEZ). W Berlinie oszacowano, że po utworzeniu takiej strefy emisja sadzy z silników Diesla zmalała prawie o 60 proc., cząstek PM₁₀ – o 20 proc., a trujące dwutlenku azotu – o ponad 20 proc. Przy wyznaczaniu LEZ trzeba pamiętać o tym, aby były one wystarczająco duże. Pozwala to uniknąć wtłaczania ruchu samochodowego do dzielnic graniczących z LEZ, a także daje motywację do wymiany aut na nowsze w całym mieście.

W wielu miastach w tego typu strefach na cenzurowanym są nie tylko diesle, lecz wszystkie pojazdy, które nie spełniają wyśrubowanych norm. Już w tym roku władze Madrytu zapowiedziały, że po centrum miasta nie będą mogły jeździć żadne samochody poza tymi, które należą do lokalnych mieszkańców, pojazdami

zeroemisyjnymi oraz taksówkami i autobusami komunikacji publicznej. Jednocześnie hiszpańska stolica przygotowuje się do całkowitego wyłączenia z ruchu pojazdów na obszarze 50 tys. mkw.

Oslo już w 2019 r. planuje wprowadzić w życie zakaz poruszania się po centrum prywatnym samochodem. Również władze Hamburga, aby walczyć ze smogiem, chcą, aby w ciągu dwóch dekad dominującymi sposobami transportu w mieście stały się jazda rowerem oraz piesze spacerki. W duńskiej Kopenhadze już dziś ponad połowa mieszkańców codziennie do pracy dojeżdża rowerem. Z kolei w Paryżu od lipca 2016 r. w dni robocze obowiązuje zakaz poruszania się samochodów wyprodukowanych przed 1997 r. Nietypową kampanią społeczną zmierzającą do ograniczenia zanieczyszczeń, które powoduje ruch samochodowy, przeprowadzili w sierpniu tego roku władze w czeskiej Pradze: ratusz zachęcał mieszkańców, aby po pracy szli ze znajomymi na piwo, a do domu wrócili pieszo lub korzystając z transportu miejskiego.

W Polsce ustawa o elektromobilności daje radom gmin możliwość wyznaczenia stref czystego transportu. Opłata za wjazd samochodem do takiej strefy może wynosić maksymalnie 2,5 zł za godzinę oraz 25 zł za dobę. Dużym problemem dla środowiska mogą być nie tylko stare samochody, które nie spełniają najnowszych norm emisji spalin, lecz także np. auta pięcioletnie, z których, z powodów oszczędnościowych, właściciel kazał wyciąć filtr cząstek stałych (DPF). Co jakiś czas przeprowadzane są jednak ogólnopolskie akcje „Smog”, w ramach których kontrolowane są dziesiątki tysięcy pojazdów, a policja odbiera „trucielom” dowody rejestracyjne. I chociaż demontaż filtrów DPF jest nielegalny, to proceder ten jest tak powszechny, że wystarczy kilka sekund, aby w wyszukiwarce internetowych znaleźć dziesiątki tysięcy firm i warsztatów, które zajmują się ich usuwaniem. Pomóc mogłyby solidne kary dla kierowców i mechaników, a także rzetelnie realizowany obowiązek sprawdzania jakości spalin na stacjach diagnostycznych.

Władze miast coraz częściej zachęcają mieszkańców, aby ograniczyli jazdę samochodem, a do pracy lub do szkoły dostawali się np. miejskim rowerem lub komunikacją publiczną. W wielu europejskich – w tym w polskich – miastach, w dniach, w których ostro przekroczone są normy zanieczyszczenia powietrza, komunikacja miejska jest bezpłatna.

problemy sercowe, nudności, a także uszkodzenia centralnego układu nerwowego. Zanieczyszczenia te są szczególnie niebezpieczne dla dzieci i kobiet w ciąży.

Samochody emitują również trujący dwutlenek azotu, który jest przyczyną alergii, zaburzeń oddychania oraz ogranicza zdolności obronne na infekcje bakteryjne. Według danych Krajowego Ośrodka Bilansowania i Zarządzania Emisjami (KOBIZE) najwięcej tlenków azotu w 2016 r. emitowały przemysł (38 proc.) oraz właśnie transport drogowy (32 proc.).

Kolejny problem to emisja pyłów zawieszonych. Co prawda w przypadku transportu samochodowego nie jest ona – w skali całego kraju – aż tak duża jak z innych źródeł, ale inspektorzy NIK zwracają uwagę na sposób wprowadzania tych zanieczyszczeń do powietrza. W przeciwieństwie do fabryk, które są wyposażone w wysokie kominy, emisja trujących zanieczyszczeń z samochodów i ciężarówek odbywa się na niewielkiej



Z wiceministrem zdrowia Marcinem Czechem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Leczyć taniej i skuteczniej



KATARZYNA PINKOSZ: Na listach refundacyjnych pojawiają się nowe leki, jednak nie da się ukryć, że wciąż polscy pacjenci nie mają takich możliwości nowoczesnego leczenia jak w innych krajach. Jakie kroki zamierza podejmować ministerstwo, żeby to zmienić?

MARCIN CZECH: Rzeczywiście nie mamy tylu nowoczesnych terapii, ile jest np. w Niemczech, jednak trzeba zwrócić uwagę, że w Niemczech na zdrowie przeznacza się ponad 11 proc. PKB – w dodatku znacznie większego niż PKB Polski. Trudno więc nam się porównywać. Na refundację leków mamy połowę pieniędzy, które przeznaczają Węgrzy i Czesi. W Polsce udaje nam się wynegocjować – dzięki pracy komisji ekonomicznej ministerstwa – niższe ceny leków niż w innych krajach, ale nie są one dwa razy tańsze. Dlatego rzeczywiście polscy pacjenci często dłużej czekają na nowoczesne leki. Sytuacja jednak się poprawia.

Przed wszystkim staramy się, żeby było więcej pieniędzy na refundację nowoczesnych terapii. W Polityce Lekowej Państwa zaproponowaliśmy zapis, który jest wręcz rewolucyjny: na refundację leków musi być przeznaczone co najmniej 16,5 proc. budżetu NFZ.

To będzie wyższa kwota niż obecnie? Do tej pory był zapis, że 17 proc. budżetu NFZ powinno być przeznaczane na leki.

Teraz jest zapis „do 17 proc.”, czyli może to być teoretycznie tylko 13 proc., jeśli NFZ miałby inne potrzeby. W praktyce obecnie wydawanych było na leki niecałe 16 proc. budżetu NFZ właśnie dlatego, że nie było określonego dolnego limitu, który teraz chcemy wprowadzić. Nie będzie można przeznaczyć mniej pieniędzy. Szacujemy, że tylko dzięki temu już w przyszłym roku będziemy mieć o kilkaset milionów złotych więcej na refundację leków. Druga kwestia: w związku z ustawą o 6 proc. PKB pieniędzy na ochronę zdrowia będzie jeszcze więcej. Poza tym pensje Polaków rosną, tak więc rośnie składka zdrowotna, a więc również budżet NFZ.

Dostępność leków dla polskich pacjentów w dużej mierze zależy od tego, czy skutecznie negocjujemy z ich producentami, czyli z koncernami farmaceutycznymi. Bardzo pomaga nam to, że wygasają patenty leków oryginalnych. Pojawiają się generyki, równie skuteczne,

a tańsze. W ustawie refundacyjnej jest zapisane, że pierwszy lek generyczny, który wchodzi do refundacji, musi być minimum o 25 proc. tańszy od ceny stosowanego do tej pory leku oryginalnego. Komisji ekonomicznej MZ udaje się jednak często tak poprowadzić negocjacje, że cena leku generycznego jest niższa nawet o 70 proc. Obecnie jeden z leków biologicznych traci patent. Jeśli uda nam się dobrze wynegocjować cenę leku biopodobnego, to spodziewamy się miesięcznie nawet ponad 5 mln zł oszczędności.

Te pieniądze będą przeznaczone na nowe leki czekające na refundację?

Na powiększenie liczby leczonych chorych, refundację leków w kolejnych liniach leczenia, na nowe leki. Obecnie np. czekają na refundację terapie w przewlekłej białaczce limfocytowej, szpiczaku, innych nowotworach hematologicznych. Cały czas pracujemy nad rozszerzeniem programu lekowego w raku płuca oraz w innych schorzeniach.

Pacjenci z chorobami rzadkimi nie mogą doczekać się terapii od lat dostępnych dla chorych w innych krajach Europy. Czy jest jakiś pomysł, jak je udostępnić w Polsce?

Zwykle w chorobach rzadkich, sierocych, terapie są bardzo drogie, ponieważ pacjentów z danym schorzeniem jest niewiele. Producent tłumaczy się, że koszt wytworzenia leku musi „rozłożyć” na mniejszą grupę pacjentów, stąd tak wysoka cena. Dlatego chcielibyśmy, by został utworzony osobny budżet przeznaczony wyłącznie na terapie chorób rzadkich.

Chcielibyśmy mieć też możliwość podejmowania decyzji o ich refundacji na podstawie bardziej precyzyjnego mechanizmu niż obecnie. Na przykład, żeby w większym stopniu były brane pod uwagę takie argumenty, że w danym schorzeniu jest to jedyna forma leczenia albo że jest to lek ratujący życie.

Dlaczego musimy jeszcze raz oceniać leki, skoro w UE już zostały ocenione i pacjenci mają do nich dostęp? W większości krajów jest już refundowany np. lek w chorobie Fabry'ego, rdzeniowym zaniku mięśni (SMA). A w Polsce dopiero analizujemy, czy ma to sens.

Nawet w tych krajach, gdzie jest refundacja leku dla chorych z SMA, nie otrzymują go wszyscy chorzy, tylko np. nowo rozpoznani pacjenci albo ci z typem pierwszym tej choroby. Jak widać, inne kraje również długo zastanawiają się

nad terapiami i podejmują indywidualne decyzje. My też powinniśmy to robić.

Może pomogłoby negocjowanie cen leków wspólnie z kilkoma innymi krajami, o czym pan wspominał. O jakie choroby chodzi?

Ewentualne wspólne prowadzenie negocjacji cenowych może dotyczyć niektórych, wybranych leków, które stanowią wyzwanie finansowe dla systemów ochrony zdrowia.

Ile może kosztować roczna terapia, która jest takim wyzwaniem?

Na przykład 2 mln zł za roczną terapię jednej osoby – a lek trzeba przyjmować w sposób ciągły. Właśnie dlatego pojawił się pomysł prowadzenia wspólnych negocjacji cenowych. Działamy w ramach grupy V4+ razem z Węgrami, Litwą i ze Słowacją, Czesi mają status obserwatora. Będziemy się starać negocjować ceny i warunki refundacji dla kilku krajów jednocześnie, mając nadzieję, że dzięki temu uda się obniżyć ceny. Ten dialog to dopiero początek. Staraliśmy się zbudować relacje, podzielić się wiedzą, wymienić informacjami na temat systemów refundacji leków w naszych krajach oraz rozwiązań prawnych.

Wydaje się, że takie rozwiązanie będzie korzystne także dla firm farmaceutycznych, ponieważ będą mogły sprzedawać więcej leków. Wiemy, że podobnymi rozwiązaniami są też zainteresowane inne kraje: Estonia, Łotwa, Ukraina. To nie jest jedyna grupa, która zawiązała się w Europie. BeNeLuxAI (Belgia, Holandia, Luksemburg, Austria, Irlandia) negocjowała ceny jednego z leków sierocych. Na razie wspólną cenę i refundację udało się wynegocjować Belgii i Holandii.

Państwa chcą w ten sposób wywrzeć większy nacisk na firmy farmaceutyczne?

Jednoczą się, żeby mieć większą siłę negocjacyjną w stosunku do koncernów farmaceutycznych.

W UE pojawił się też wstępny pomysł stworzenia tzw. funduszu solidarnościowego, do którego wpłacałyby pieniądze wszystkie państwa Unii, a potem wspólnie negocjowały ceny. Dzięki temu dostęp do leków byłby taki sam dla wszystkich chorych w Unii. To na razie jeszcze bardzo mglisty pomysł, ale być może godny uwagi i zastanowienia. Jeśli tworzy się fundusze spójności mające na celu poprawę stanu infrastruktury drogowej, to czemu nie stworzyć podobnych funduszy poprawiających dostęp do terapii?

Podczas jednej z niedawnych konferencji na temat nowotworów pojawił się zarzut, że programy lekowe w Polsce łamią prawo do leczenia zgodnie z aktualną wiedzą medyczną, ponieważ może z nich korzystać tylko wąska grupa chorych. Inni nie mają takich szans.

Drogie leki zawsze na początku chcemy przede wszystkim refundować dla wąskich grup pacjentów, co do których mamy większą pewność, że odniosą z ich stosowania największe korzyści. To nie jest tak, że program lekowy wymyśla urzędnik w Ministerstwie Zdrowia. Zawsze pytamy ekspertów, konsultantów krajowych, którzy chorzy mogliby najbardziej skorzystać z danego leczenia.

Poza tym programy lekowe nie są na zawsze „zamurowane”. Zmieniamy je. Ostatnio przedłużyliśmy możliwość leczenia dla chorych z łuszczycą, ze stwardnieniem rozsianym. Przy okazji każdej listy refundacyjnej przeglądaliśmy programy lekowe, staramy się je zmieniać, również włączając możliwości leczenia większej liczby chorych.

Powodem ograniczeń w programach lekowych są tylko oszczędności?

Chcielibyśmy refundować te leki, które są najbardziej skuteczne. Wielokrotnie pacjenci, ale też eksperci, zwracają się o refundację leku, chociaż wiedzą, że nie ma on wysokiej skuteczności. Daje jednak chorym nadzieję. Nie chcielibyśmy jednak płacić za nieefektywne terapie albo za takie, które mają niekorzystny profil bezpieczeństwa.

Wiele osób wciąż nie stać na wykupywanie w aptece leków na receptę. Mimo że są one refundowane, trzeba do nich dopłacać. Nierzadko to nawet kilkaset złotych miesięcznie.

Rzeczywiście, Polacy, w porównaniu z pacjentami w innych krajach, dopłacają stosunkowo dużo do leków refundowanych. Jednak warto zwrócić uwagę na to, że w ostatnich latach poziom współpłacenia pacjentów coraz bardziej się zmniejsza.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Marcin Czech – jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia, profesorem nadzwyczajnym Politechniki Warszawskiej, absolwentem Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie. Posiada dwie specjalizacje: w zakresie epidemiologii oraz zdrowia publicznego.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pan Lubieniecki w Stambule

Zbigniew Lubieniecki, szlachcic polski, syn Jana Macieja, od roku 1665 sędzia grodzki włodzimierski, pochodzący z rodziny arińskiej, pozostawił niesamowity „Diariusz drogi tureckiej”. Jest to opis poselstwa do sułtana w 1640 r., pokazujący zarówno sarmacką fantazję autora, jak i jego barokową ciekawość świata. A ponieważ Lubieniecki nie był wielką osobą, w relacji znalazło się wiele szczegółów, na które nie zwracali uwagi dygnitarze ani posłowie. Nawet dziś przeglądając trasę tej podróży w Google Maps, można się zdziwić, jak wiele krajów przejechał, bo podróżował przez dzisiejsze: Rumunię, Mołdawię, Naddniestrze, Bułgarię i Turcję. Lubieniecki nie szczędzi opisów zabawnych sytuacji, pijatyk i zwad, uczt i przygód.

Przed samym wyjazdem w Kamieńcu Podolskim pije u jezuitów „nam dobrze znajomych i przyjaciół naszych dobrych”, którzy nie omieszkują przy okazji namawiać jego i brata na zmianę wiary (byli wszak arianami). Pokazuje to, że różnica w wyznaniu nie stanowiła przeszkody w zawieraniu znajomości z zakonnikami.

Po wyruszeniu w drogę uskarża się na sarmackiego kaca: „morzenie, parcie i krtuszenie”. Chwali gościnność Wołocha, niejakiego Strudze (dziś powiedzielibyśmy Rumuna), który „kazał dać obiad buczny od ryb, owoców rozmaitych, potem i wieczerzą u niego jedliśmy”. Narzeka na Jassy, wówczas stolicę Mołdawii, pisząc: „nic godnego widzenia nie było, bo słomiane i lada jakie mieścisko”. Krytykuje też hospodara Bazylego Lupu, który nie daje poselstwu stancji, oraz jego gospodarke rolną, widząc piękne pola leżące odłogiem. „Cóż temu rzec, kiedy chłopstwo nierobocze, dla lenistwa i niedostatek cierpią, wołą rozbijać, niż robić. Kiedy by takie pola u naszych Mazurów, cuda



by z nimi wyprawiali”. W Rybnikach jest świadkiem trzęsienia ziemi, a także niezwyklej gościnności miejscowych, z kolei w Buzowie ogląda ze zdumieniem, jak sługa gospodarzy bije kijem służebnicę, która nie chciała z nim pójść do łóżka. „I tak bez bojaźni Bożej żyją ci ludzie” – konkluduje.

Lubieniecki i jego kompani, przybywszy do Konstantynopola, zachowują się jak dzisiejsi turyści – zwiedzają miasto, dziwując się galerom, targom i obyczajom. Spotykają też miejscowych Polaków, niestety zbisurmanionych i ożenionych z Turczynkami. „Ten Królikowski rzekł, gdy go pytał, czy ma żonę, a on: pół żony, pół murwy”. Idą na bazar – kupują pamiątki, warcaby, podarunki, na koniec bohater nabywa konia tureckiego, czyli dzisiejszego araba. Wreszcie całym poselstwem, z ceremoniałem udają się do wezyra. Na Galacie próbują pomarańcz, kasztanów, piją wino muscat, oglądają więźniów spętanych na galerach i podejmują starania o uwolnienie niektórych z nich.

Wizyta u sułtana nie bardzo podobą się Lubienieckiemu, narzeka na wczesną porę i słabe jadło. Kiedy Polacy chcą wstawać od stołu, dochodzi do zabawnej sytuacji – oto jeden z baszów przestrzega

naszych: „Po jednym wstawajcie, bo wam janczarowie pobryzgają suknie”. „My po jednym wstawając, ledwośmy ustąpili z miejsca, zaraz czauszowie, janczarowie po półmiskach, cośmy nie dojedli, jeden drugiego pchali, aż czapki im i zawoje w polewkę z kaszą wpadały, jak psi i gorzej rwali”.

Pobył w Konstantynopolu jest także okazją do bankietów z wysłannikami królów chrześcijańskich. Dobrze podejmowany jest poseł angielski sir Sakville Crowe „osobą grzeczny, chłop wysoki i gładki, we francuskim habicie”. Tego „solenniter częstował P. Poseł i z jego wszystkim dworem, gdyż każdy pludra jego widział pijanego. Prosili na koniec, abyśmy ich puszczali zza stoła, ale my nie dali się uprosić”. Kolejny przyjeżdża do Polaków poseł wenecki i także wychodzi pod dobrą datą, aż jego świta mówi: „Ci Polacy i proszą, i grożą, a chcą wszystko razem wypić, na jutro się nie oglądają, żeby co było”.

Powrót do Polski jest okazją do podziwiania tureckiego wojska, z którego Lubieniecki pokpiwa, widząc sułtańskich spahisów: „Jednak ich tak mało i bardzo lada jakich było, że 100 chłopów, dobrych Polaków, hożych junaków, stłukliby to szmatłastwo wniwecz, bo tylko na łbie zawój, a ze łba to pudło zdjawszy, to chłop ni trznadel!”. Później dziwuje się zwierzętom, pisząc: „słoni dwu przyprowadzono, tak wielkich jak dwór w Nowodworze szwagra P. Matczyńskiego”.

Ojczyzna wita orszak pijaństwem i oczywiście awanturą w Kamieńcu, gdzie „niejaki P. Opolski, chorąży P. Potockiego, powadził się z P. Kosakowskim, towarzyszem naszym. P. Kosakowski dał mu pięścią w głowę, aż pod konie wpadł, bo też pijany był. Potem towarzystwo tego chorążego zeszło się – kupa wielka, bij! Zabij! Na P. Kosakowskiego”. ©

KUCHENNA DYSCYPLINA PANI MINISTER

Kiedy zaczyna się sezon na grzyby, w naszym domu ciągle coś się z grzybami robi – suszy, zamraża, gotuje i wymyśla najróżniejsze potrawy właśnie z grzybami. Uwielbiamy zwłaszcza podgrzybki, które są doskonałe zarówno do gotowania, jak i smażenia. Każdego roku jesienią zjadamy się zupą grzybową – taką niemal postną, wigilijną – na bulionie z warzyw, oczywiście z ziołami angielskim i liściem laurowym, zakwaszaną śmietaną. Taką zupę jemy tradycyjnie z łazankami.

Zawsze w sezonie szukam nowych ciekawych przepisów na dania z grzybami. Niedawno sprawdziłam przepis świetnego włoskiego kucharza Giancarlo Russo. To pappardelle mare monti. Danie jest wyśmienite, a jego przygotowanie trwa tyle, ile ugotowanie makaronu.

Pappardelle z krewetkami

Składniki:

- krewetki
- podgrzybki
- oliwa z oliwek
- dwa ząbki czosnku
- 100 ml białego wina
- natka pietruszki
- rozmaryn
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Rozgrzewamy oliwę z oliwek i podsmażamy kolejne składniki, robiąc trzuminutowy odstęp między wrzucaniem kolejnych z nich. Na rozgrzaną oliwę z oliwek wrzucamy czosnek, potem podgrzybki, a następnie krewetki. Wlewamy białe wino, dodajemy przyprawy, natkę, a po trzech minutach ugotowany wcześniej makaron.

Mieszmą całość i mamy gotowe danie. Uważajmy, by nie przesadzić ze smażeniem grzybów i krewetek. Kiedyś mniej tego pilnowałam, ale wybitni kucharze, których namiętnie oglądałam w telewizji, nauczyli mnie dyscypliny i trzymam się podawanych w przepisach czasów co do minuty. ©©

oprac. raw

Anna Zalewska jest ministrem edukacji narodowej.



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kuchnia Tessy

Porzuciła ojczystą Florencję i arystokratyczną rodzinę, zakochała się w Polaku i zamieszkała na warszawskim Mokotowie. Została ambasadorką włoskiej kuchni w Polsce – i nie ma osoby bardziej do tego uprawnionej. Tessa Capponi-Borawska w tradycji włoskiej kultury wyrosła, zna ją, rozumie i kocha. Opowiada o niej gawędziarsko, erudycyjnie, z temperamentem, poblyskując historyjkami z życia, wspomnieniami, anegdotami. To wszystko jest w książce „Smak kwiatów pomarańczy – rozmowy o kuchni i kulturze” (wyd. Czarne) napisanej w dialogu z Agnieszką Drotkiewicz.

Ta książeczka to silva rerum. O gotowaniu, ale i o literaturze, historii, sztuce, kucharzach, o marnowaniu jedzenia, roli kobiety w kuchni (ciekawe i wcale nie oczywiste), o miejscu kuchni w domu.

To ostatnie szczególnie mnie zainteresowało, jako że sama w kuchni spędzam sporo czasu, a gdy zwiedzam zabytkowe budynki mieszkalne, zawsze babski instynkt prowadzi mnie do kuchni... „W średniowiecznych domach kupieckich we Włoszech kuchnia z paleniskami zawsze była położona na najwyższym piętrze. W drewnianych domach ryzyko pożaru było zbyt duże, bo ogień bucha w górę, więc w ostateczności ryzykowano spalanie tylko góry [...]”. Inaczej w pałacach renesansowych. W pałacu Montefeltro w Urbino ogromne pomiesz-



TESSA CAPPONI-BORAWSKA, AGNIESZKA DROTKIEWICZ
„**SMAK KWIATÓW POMARAŃCZY – ROZMOWY O KUCHNI I KULTURZE**”
CZARNE 2018

czenia kuchenne znajdują się nawet nie na parterze, tylko na półpiętrze pod parterem, obok stajni. Od tego momentu zaczynamy obserwować tendencję do sytuowania kuchni na niższych piętrach. W związku z tym pojawiają się rozmaite konstrukcje wind, które służyły do transportowania dań z kuchni do jadalni. W filmie Viscontiego „Ludwik», o królu Ludwiku Bawarskim, jest bardzo piękna scena: w pewnym momencie otwiera się podłoga i wyłania nakryty stół”.

W domach bogatej burżuazji z lat 50., 60. i 70. XX w. kuchnie nadal miały służbówki – mówi Tessa. I to nikogo nie dziwiło. „Zwrot w stronę open space nastąpił dopiero, gdy gotowanie stało się codziennym elementem współżycia wszystkich albo większości członków rodziny. Ten model dotarł do Europy Zachodniej z Ameryki, gdzie wielkość mieszkania nie pozwalała na oddzielny salon, jadalnię i kuchnię. Jada się w tym samym pomieszczeniu, w którym się gotuje”.

No i tu przechodziśmy do współczesnych kuchni high-tech z ich „insygniami” – robotem KitchenAid, lodówką Smeg. Skąd my to znamy?

Ach, ta globalizacja... ©©

NASZ TEST: INFINITI Q60

Czerwone sportowe coupé od razu rzuca się w oczy. Śmiała aerodynamiczna sylwetka nie budzi wątpliwości: to zabawka dla dużych i bogatych chłopców, którzy chcą odróżnić się nie tylko od posiadaczy tradycyjnych aut, lecz także od tych kolegów, którzy wolą jeździć niemieckimi maszynami. Luksusowo wykończony auto od zera do pierwszej setki przyspiesza w 5 s. Jazda nim wciąż nie jest jednak aż tak ekscytująca jak typowo sportowymi autami z Niemiec.

W KABINIE

Skóra. Dużo skóry. To główny element wykończenia kabiny. W środkowej części deski rozdzielczej znajdują się dwa kolorowe dotykowe ekrany. To za ich pomocą ustawia się nawigację, a także poszczególne elementy systemu multimedialnego.



Przednie fotele są komfortowe i bardzo dobrze podpierają ciała kierowcy i pasażera podczas dynamicznej jazdy na zakrętach. Wygodniejsze mogłyby być jednak pasy bezpieczeństwa.

Miejsca z przodu jest wystarczająco dużo. Tylna kanapa nadaje się tylko do przewożenia dzieci, torby na laptopa lub bardzo nie lubianego kolegi z pracy. Również bagażnik oferuje jedynie skromne 342 l.

JAZDA

Ważące 1800 kg Infiniti Q60 z automatyczną skrzynią biegów oraz trzylitrowym silnikiem V6

z podwójnym turbodoładowaniem o mocy aż 405 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 475 Nm od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 5 s. Prędkość maksymalna to 250 km/godz.

Auto bardzo dobrze trzyma się drogi nawet w warunkach słabej przyczepności. Japończycy zainstalowali w nim bowiem inteligentny system napędu na wszystkie koła.

Testowane Infiniti oferuje elektronicznie sterowane zawieszenie oraz system bezpośredniego kierowania adaptacyjnego (DAS). Technologicznie to najwyższa półka. Zamiast tradycyjnego mechanicznego układu znajdziemy tu zapożyczony od samolotów układ, w którym ruchy kierownicy zamieniane są na sygnał elektryczny, który doprowadza do skrętu kół. Dzięki temu reakcje na ruchy kierownicą są błyskawiczne. Brak fizycznego połączenia przekładni i kierownicy sprawia, że prowadzenie jest mniej męczące (zwłaszcza na wyboistych odcinkach). Jednocześnie początkowo trudniej jest „wyczuć” auto – opór kierownicy można jednak ustawić, wybierając jeden z trybów: własny, standardowy, jazdy po śniegu, ekologiczny oraz sportowy.

Trzeba przyznać, że system w Q60 zapewnia lepsze czucie kierownicy i daje więcej informacji zwrotnej niż DAS stosowany we wcześniejszych modelach Infiniti. W trybie sportowym auto świetnie spisuje się podczas dynamicznej jazdy po serpentynach.

Niestety, automatyczna skrzynia biegów jest nieco zbyt ospała. Q60 jeździ się więc przyjemnie, ale niemieccy konkurenci, tacy jak BMW M4 i Mercedes-AMG C 63 Coupé, budzą nieporównywalnie więcej emocji.

Na dużą pochwałę zasługuje za to system aktywnej redukcji hałasu, dzięki któremu w kabinie podczas jazdy panuje przyjemna cisza.



BEZPIECZEŃSTWO

Model Q60 oferuje wiele zaawansowanych systemów wspomagania kierowcy. Aktywny asystent toru jazdy nie tylko alarmuje w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa ruchu, lecz także automatycznie koryguje ustawienia kierownicy, aby zachować właściwy kierunek jazdy. „Tarcza bezpieczeństwa” pozwala z kolei na zmniejszenie ryzyka wypadku. Prewencyjny system hamowania awaryjnego w razie zagrożenia wypycha ku górze pedał gazu lub automatycznie uruchamia hamulce.

Na trasie przydaje się system ostrzegania przed pojazdami znajdującymi się w martwym polu lusterek, a na zatłoczonych parkingach elektroniczny asystent zapobiegający kolizjom z tyłu.

CENA

Najtańsze Q60 z czterocylindrowym turbodoładowanym dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 211 KM oraz napędem tylko na tylną oś kosztuje 184,6 tys. zł. Za sportowe coupé z silnikiem o pojemności trzech litrów i napędem na cztery łapy trzeba już zapłacić 276,1 tys. zł lub – w lepszej wersji wyposażenia – co najmniej 307,4 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A5 Coupé, BMW serii 4, Mercedes-Benz klasy C Coupé, Lexus RC

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



13:00-21:00 FESTIWAL NIEPODLEGŁA NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU

CAŁY TRAKT KRÓLEWSKI ŚWIĘTUJE NIEPODLEGŁĄ

Kancelaria Prezesa Rady Ministrów zaprasza 11 listopada na

100. URODZINY NIEPODLEGŁEJ

13:00-17:00 PIKNIK DLA DZIECI!

Al. Ujazdowskie 1/3

WSTĘP BEZPŁATNY!

11 listopada bądźmy razem! Pod białą-czerwoną flagą.
Pamiętając, że Polskę odbudowały podobieństwa,
a różnice zeszły na dalszy plan.

ATRAKCJE:

Pokazy Wojska Polskiego i służb mundurowych,
dmuchany plac zabaw, atrakcje dla dzieci,
zawody sportowe!



19:30

NAJWIĘKSZY POKAZ
FAJERWERKÓW W POLSCE
NA BULWARACH WIŚLANYCH

ORGANIZATORZY



niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



**POLISH
NATIONAL
FOUNDATION**



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Globalny marsz prawicy

MARCIN MAKOWSKI: Wybory prezydenckie w Brazylii wygrywa już oficjalnie Jair Bolsonaro, nazywany przez niektórych „południowoamerykańskim Trumpem”. W wielu mainstreamowych mediach przedstawia się go również jako „radykałnego prawicowca”.

MATTHEW TYRMAND: To normalne. Gdy nie wygrywa „nasz” kandydat, każdy inny, nawet gdy otrzymuje mandat demokratyczny, jest radykałem,

prawicy i populistów, którzy wygrywają albo osiągają dobre wyniki w kolejnych prounijnych oraz rządzonych przez globalistów państwach. Tak jak w Ameryce ta prezydentura nie przyszła znikąd.

To prawda, Luiz Inacio da Silva, były prezydent Brazylii, oskarżony o wzięcie milionowej łapówki siedzi obecnie w więzieniu z 12-letnim wyrokiem.

A przecież wcześniej, tworząc rozbudowane programy socjalne, był guru lewicy, dostał nawet Nagrodę im. Lecha Wałęsy. Na fali jego popularności wybory wygrała blisko z nim współpracująca Dilma Rousseff, która w wyniku kryzysu ekonomicznego w kraju straciła urząd w 2016 r. za sprawą impeachmentu. Ba, nawet jej następca, Michel Temer, również został oskarżony o łapówkę i o mały włos nie podzielił tego samego losu. Państwo oddało się od zwykłych ludzi, było całkowicie przeżarte korupcją i układami, które z władzą tworzyły wielkie koncerny. Czy można się dziwić, że wybory wygrał ktoś, kto obiecał walkę z podobnymi patologiami? Szczególnie cieszy to, że odbyło się to w regionie tak przesiąkniętym socjalizmem, co jedynie potwierdza skalę zmęczenia rządami hipokrytów.

À propos hipokryzji. Ostatnio w sieci króluje zdjęcie Merkel, Putina, Erdoğan i Macrona trzymających się za ręce. Z uśmiechem negocjujących „pokój w Syrii”.

Wszyscy tam siebie warcą. Kanclerz Merkel, która powoli traci władzę w aurze pogłębiania kryzysu migracyjnego. Putin, autorytarny dwulicowiec, podsycający konflikt w Syrii. Macron, który chwilę po wyborze na prezydenta zdążył zrazić

większość Francuzów, ale uwielbia pouczać Polskę, jak ma rządzić. Erdoğan, przejmujący w Turcji pełnię władzy przy okazji sfigowanego puczu. Trudno o jedno zdjęcie, które podsumuje dwulicowość elit europejskich, mówiących jedno, a robiących drugie. Kaczyński ma być przecież drugim Putinem i Erdoğanem, gwałcącym demokrację. Jednak przecież z nimi można się dogadywać, traktować jak równych sobie, zasiadać do stołu i uprawiać dyplomację. Gdzie tutaj ideały? Niemcy i Francja zawsze kierowały się własnymi interesami, pragmatyką (Nord Stream 2, sprawa pracowników delegowanych), ale odmawiają tego samego prawa innym.

Andrzej Duda skomentował to zdjęcie słowem: „Urocz”. Wypada prezydentowi grać w otwarte karty na Twitterze?

Co w tym złego? Miał nie pisać, co myśli, bo się Jarosław Kurski albo Radek Sikorski obrażą? Angela Merkel już zapowiedziała, że nie będzie się ubiegać o ponowne przewodnictwo w CDU i właściwie na naszych oczach kończy się jej era, o czym przekonywałem kilka miesięcy temu. Tym ludziom trzeba, oczywiście w granicach rozsądku i dyplomacji, wytykać dwulicowość, bo wszystko, co robią, okraszają narracją walki o wartości europejskie, troską o praworządność, solidarność. Polska powoli uczy się tej pragmatyki w geopolityce, dlatego wzbuja taki opór. Jeśli będzie robić to mądrzej i skuteczniej niż dzisiaj, to zmieni również postawę Berlina i Paryża wobec Warszawy. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



który chce podpalić własny kraj. Bolsonaro faktycznie przypomina Donalda Trumpa w charakterze prowadzonej kampanii, uderzaniu w obecne elity polityczne Brazylii, informowaniu o skali korupcji czy np. „kupowaniu kraju przez Chiny”. A mówimy o największym państwie Ameryki Południowej i jednej z największej gospodarek świata. Jego wybór, podobnie jak wszystkie zmiany, o których rozmawiamy na świecie i w Europie, to potwierdzenie trendu marszu

OKIEM JASTRZĘBIA

Paweł! W herbacie, nie w burbonie!

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Ileż to zawirowań mniej pojawiałyby się w naszych barwnych życiach, gdybyśmy znając literaturę, stosowali się do niej rygorystycznie? Weźmy historię Marcela i Pawła, który to o Marcelu zapomniał. Otóż, jak państwo doskonale wiedzą, Marcel poszukując straconego czasu, maczał magdalenkę w herbacie. Następnie smak herbaty z ciasteczkami wywoływał u niego bodźce natury wspominkowej i zanurzony dzięki temu w namacalnej wręcz przeszłości wszystko to Marcel przelewał na papier, tworząc arcydzieło siedmiotomowe. Marcel po spożyciu magdalenki z herbatą dużo pisał o ludziach, nie o wszystkich tak całkiem dobrze, ale o wszystkich kulturalnie. Podkreślam, proszę państwa, o wszystkich z kulturą. To doświadczenie oczywiście państwu polecam, ale na Trygława (!), nie

wolno przecież zamieniać herbaty z burbonem! Nigdy przenigdy, pod żadnym pozorem. A Paweł niestety zamienił!

W nocy z piątku na sobotę maczał Paweł magdalenkę w burbonie i to wywołało u niego co prawda proustowski namacalny powrót do przyszłości, ale jednak skrzywiony, asubtelny, ciosany silną deformacją emocji. I niczym Marcel zaczął Paweł przelewać na Twitter wzbudzone w sobie demony. Dzieło Pawła, aczkolwiek krótkie, stało się na kilka dni nad Wisłą szerzej komentowane niż cały ten przytęchły Proust, i to nie tylko przez ortodoksyjnych kukizowców. Stało się tak zapewne także z powodu dawki seksu lokowanej we wpisie Pawła (co też w ludziach siedzi!). Na całe szczęście wszystko dobrze się skończyło, bo kiedy zdradziecka magdalenka przestała działać, Paweł przyznał nieprecyzyjnie, że piątkowa noc przejęła nad nim kontrolę, i tu będzie proszę państwa ważne, zreflektowawszy się, Paweł napisał: jak nad kimś kiedyś nie przejęła, to niech pierwszy rzuci kamieniem. I nikt, ale to nikt, całkiem w ogóle nikt, proszę państwa, w naszym pięknym kraju nie rzucił kamieniem. Ja to się nawet po nie schylałem. Kończąc ten wątek, abyśmy wszyscy wynieśli jakąś naukę, proszę pamiętać (Paweł, Ty też), magdalenkę maczamy w herbacie, i bez burbonowych eksperymentów.

Zostawmy polityków i przejdźmy teraz do znanych celebrytów. Kazimierz Marcinkiewicz ma płacić Izabeli 5 tys. zł alimentów. Iza! Ja Ci powiem, że się z Ciebie śmiali, a Ty masz głowę na interesach, ten Kazek to była bardzo trafiona inwestycja. Kilka lat małżeństwa, z czego połowa

to już tylko zgłiszcza, i piątka co miesiąc. Nieźle! Obiektywnie rzecz biorąc, mało nie jest, skoro 5 tys. zł miesięcznie zarabia np. dwóch policjantów albo trzech młodych nauczycieli. Jednak trudno też powiedzieć, że się Izabel nie należy, skoro jej wkład w kulturę masową daleko wykracza ponad słynne i nagrane porady do męża: „Kazimierz, pamiętaj, być szczerym, jak

**5 tys. zł miesięcznie
zarabia np. dwóch
policjantów albo trzech
młodych nauczycieli**

zawsze, no!”. Czy w ogóle można sobie wymarzyć lepsze wsparcie i coaching? Trochę tak po ludzku Kazika jednak szkoda, bo przecież sobie przez chuci potwornie zaburzył finanse, o czym świadczyć może jego do żony wydrukowany przez prasę SMS: „Proszę przestać mnie straszyć i szantażować komornikiem. Nie może Pani już większej krzywdy mi zrobić, niż Pani zrobiła. Uciekłem od Pani ponad 5 lat temu, przed wypadkiem, który Pani sama sobie sprokrowała. I powtarzam: gdy mam pieniądze, dzielę się nimi z Panią. Pani utrudnia mi zarabianie nasyłaniem komornika. Nikt faceta z komornikiem na plecach nie chce zatrudnić. Mam w tej sprawie oświadczenia pracodawców”.

Ech... Kończąc: Izabelo, dałaś nam wszystkim dużo materiału do przemyśleń, do głębokich refleksji o samcach silnych, lecz słabych, i o kobietkach niby bździu fiu, lecz twardo stąpających po alimentach. Dziękujemy, Izo! ☺☺



FOT. ROBERT CARDIŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Trybun(alik) ludowy

GAZETA WYBORCZA: *Ten „Społeczny Trybunał” jest groteską. W ten sam sposób mogą powołać „Społeczny Trybunał Galaktyczny” skazujący na karę infamii za tupet i piramidalną głupotę. Ja będę sędzią, a szwagier – prokuratorem. Mam już nawet kilku kandydatów do osądzenia. „Społeczny Trybunał Narodowy” z rewolucyjną sprawiedliwością łączy pogarda dla sądów i sądowych procedur, które samozwańczy sędziowie uznają za niewystarczające. Prozaiczna, demokratyczna sprawiedliwość, w której winy trzeba dowieść ponad wszelką wątpliwość, nie spełnia ich oczekiwań. W ten sposób założycielom „Społecznego Trybunału Narodowego” jest mentalnie znacznie bliżej do komunistycznych sędziów.*

Za samozwańczego trybuna ludowego robi Sadurski, który od lat okazuje ludowi typową dla oderwanych od niego elit pogardę

Tak „Gazeta Wyborcza” przejechała się dwa lata temu po idei Społecznego Trybunału Narodowego, powołanego przez grupę obywateli, którzy postanowili wyręczyć wymiar (nie)sprawiedliwości i sami osądzić wybranych przez

siebie komunistycznych zbrodniarzy, skazując ich na infamię. Od tamtej pory Trybunał co jakiś czas się zbiera – ostatnie posiedzenie miało miejsce rok temu – i ogłasza kolejnych infamistów. Nic z tego nie wynika, bo wynikać nie może, ale jakieś tam potrzeby założycieli zaspokaja.

Społeczny Trybunał Narodowy nie jest jedynym tego rodzaju „obywatelskim” ciałem. Mało kto wie, że mamy też Trybunał Narodowy, a ten zajmuje się rozstrzyganiem spraw najwyższej wagi państwowej. Kilka dni temu wydał np. rozporządzenie, które pozwoli sobie przytoczyć w całości z uwagi na jego znaczenie. „Wybory samorządowe 2018 roku są nieważne z mocy ustawy zasadniczej. Są sprzeczne z art. 4 Konstytucji RP. Metoda D’Hondta jest niezgodna z art. 2 Konstytucji RP”. Jest moc, prawda?

Cieszy więc inicjatywa Wojciecha Sadurskiego, który postanowił wzbogacić naszą rzeczywistość o kolejny społeczny trybunał. Obywatelski Trybunał Stanu – bo tak się będzie nazywać – ma być alternatywą dla niewydolnego Trybunału Stanu i w imieniu obywateli osądzić rządy PiS. „My, obywatele Rzeczypospolitej Polskiej...” – tak brzmi preambuła

uchwały o powołaniu trybunału, a dalej jest już tylko wzniośle. W przeciwieństwie do Społecznego Trybunału Narodowego, który rozstrzyga symbolicznie wyłącznie o odpowiedzialności moralnej, trybunał Sadurskiego ma rozstrzygać w kwestii odpowiedzialności prawnej, czyli będzie najbardziej zbliżony do sądu ludowego. Zabawne swoją drogą, że za samozwańczego trybuna ludowego robi właśnie Sadurski, który od lat okazuje ludowi typową dla oderwanych od niego elit pogardę. „Kaczyński dał nieoświeconemu plebsowi poczucie dostępu do władzy” – mówił Sadurski, zanim uznał, że sam może dać „nieoświeconemu plebsowi” poczucie dostępu do władzy sądowniczej, i zaproponował mu trybunał, w którym przewidział dla nieoświeconego plebsu rolę Obywatelskich Rzeczników Oskarżenia. Trochę nawet żałuję, że inicjatywa Sadurskiego pozostanie tylko na gościnnych łamach mediów, które nagle polubiły samozwańcze sądy ludowe, moglibyśmy mieć z niej wiele radości. Niestety, w uchwale o powołaniu trybunału jego inicjator nie przewidział trybu podjęcia tej uchwały przez obywateli, więc się wszystko rozbija o banalny brak mandatu. ©©

PODSŁUCHANE

Trudna sztuka wyboru

Andrzej, musisz zdecydować. Mamy tydzień.

Ale Krzysiek, ja nie wiem. Ciągłe czegoś chcą ode mnie. Niech się już ten jedenasty przewali, dwunastego będę cały dzień spał.

Będziesz spał, jak będzie wolne. A czy będzie wolne, to musisz ty zdecydować.

No i co ja mam zrobić? Jak podpiszę, to się przedsiębiorcy wściekną i będzie, że mnie sterroryzowała partia. Jak nie podpiszę, to będzie, że nie chcę patriotycznych poprawin.

Trudno. Coś trzeba wybrać. Aha, i jeszcze – co z tym marszem? Idziesz czy nie idziesz?

Nie wiem, nie wiem. Jak pójde, to mi przykleją jakiś ONR czy coś. Jak nie pójde, to będzie, że lekceważy ludzi.

Ale powiedziałeś już, że pójdziesz.

Potem rzecznik powiedział, że nie pójde.

Nie wiem – kostką rzuć czy coś, ale musisz zdecydować.

To może monetą?

Dobra, może być i moneta, bylebyś decyzję podjął.

Niech będzie, zajrzę do portfela...

No zobacz, nie wiem, co wziąć. Złotówkę? Dwójkę? Piątkę? Nie wiem, no nie wiem.

Andrzej, decyduj w końcu!

No to idę poszukać kostki, żeby wylosować monetę. ©©

OD RZECZY

„[...] powinniśmy tam przestać jeździć na wakacje [...]. I powinniśmy też przestać kupować produkty pochodzące z Podkarpacia”.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ, reżyser, na Facebooku, komentując zapowiedź podkarpackich radnych z sejmiku w sprawie m.in. zakazu aborcji

fot. Jerzy Gumowski



Szkodnik

Tę sprawę komentowała wówczas cała prasa. Tygodnik „**Polityka**” (9/1993) uzasadniał moje wywalenie faktem, że „*Łysiak szkuluje bohaterów dawnej demokratycznej opozycji*”, tygodnik „**Spotkania**” (7/1993) precyzował, że ukarano mnie za wrogość wobec Adama Michnika, a Monika Olejnik spytała salonowego „rozgrywającego” we „**Wprost**” (41/1992) czy wytoczy mi sprawę sądową za szkalowanie. Michnik odparł, że nie wytoczy, gdyż nie chce tym dowartościowywać „trzeciorzędnego grafomana”. Tak oto wojenka przeniosła się na front jakości artystycznej, ściśle: literackiej. Michnik miał się za wielkiego pisarza, w czym utwierdzała go wtedy nowa jednotomowa encyklopedia firmy PWN (jako czołowych współczesnych literatów polskich wymieniła Michnika oraz pięciu innych pisarzy), więc do szwajskiej pasji doprowadzały go liczne wówczas peany pod moim adresem, exemplum tekst Olgerda Uziembły z „**Życia Warszawy**” (2–XI–1991): „*Niech kłasyką będzie to, co pozostanie na zawsze i wszędzie, choćby błyskotliwe książki Łysiaka*”. Oświadczył Monice Olejnik, że literacko deklaruje Łysiaka: „— *Żeby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać jego książki i moje. I porównać*”.

Porównania dokonywały przez kolejne lata czołowe „*cyngle*” red. Michnika. Laureat wyróżnienia SDP „*Hiena roku*”, Wojciech

„*Jak to na wojence ładnie...*”

Czuchnowski, wielkim (dwukolumnowym) tekstem próbował też oczerniać mój życiorys, co okazało się zadaniem trudnym, bo cel ataku miał w PRL-u okresowe zakazy druku, był publicznie karcony przez Wydział Kultury KC PZPR i przez głównego ideologa PZPR, towarzysza Andrzeja Werblana (na łamach firmowego organu PZPR „**No-we Drogi**”), wreszcie sam Kreml oprotostował via MSZ Łysiakovą twórczość (jedyne taki przypadek w PRL-u, mocno nagłośniony przez „Wolną Europę” oraz przez inne zachodnie media) — ale poradzono sobie, Czerska z niejednego piasku kręciła już bice. Stwierdzono, iż musiałem być pieszczochem reżimu peerelowskiego, bo „*po jego [Łysiaka] książki czytelnicy ustawiali się w długich kolejkach, a na czarnym rynku sprzedawano je za cenę kilkakrotnie wyższą*”.

Od karygodnej poczytności moich książek zaczął swój duży (pełnokolumnowy) „**GW**” — paszkwił również Antoni Pawlak: „*Łysiak stosunkowo szybko zdobył liczne rzesze wielbicieli (...) I tak oto rynek polski szturmem zdobył książki, których skomplikowanie intelektualne nie jest wyższe niż poziom froterki (...) I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w pewnym momencie Łysiakowi ta popularność przestała wystarczać. I poczuł, że ma do spełnienia Misję*”.

I stał się, przynajmniej w niektórych kręgach, jeszcze bardziej popularny”. Co skłoniło „*cyngla*” do zadania pytania: „*Skąd się bierze fenomen poczytności książek Łysiaka Nosiciela Misji Zbawienia Polski i Świata?*”. Pawlak odpowiedział sobie regulaminowo: bo Łysiak „*z lubością pisze, iż «triumfują Michniki» (...) Cóż, jednym z poważniejszych kosztów zlikwidowania cenzury jest to, że dziś każdy idiota, także Łysiak, może napisać i opublikować wszystko, co mu ślina na język przyniesie (...) I tak oto Łysiak został Lepperem polskiej literatury i publicystyki*”. Na końcu michnikoliz wypisał mi skierowanie do psychiatry: „*Panie Łysiak, powinien pan jak najszybciej rozejrzeć się za jakimś kompetentnym lekarzem. Zarówno dla swojego dobra, jak i dla bezpieczeństwa swego najbliższego otoczenia*”.

Kolejny „*cyngiel*” Michnika, Janusz Anderman, nazwał swój antyŁysiakowy referat: „**Król Łysiak I**”, nie chcąc być gorszym od autorów innych zjadliwych tytułów (jak „**Łysiak Zbawiciel**” Pawlaka, czy też „**Łysiak baron Münchhausen**” Czuchnowskiego, bądź „**Łysiak na Wawel!**” Jacka Zychowicza). Diagnoza doktora Andermana nie różniła się od diagnozy doktora Pawlaka: obłęd („*ten ogromny patriota i strateg może być postrzegany przez zachowawczą część publiczności jako człek niespełna rozumu*”, bo jego pisanina „*rodzi skojarzenia z niezliczonymi Napoleonami z zakładów zamkniętych*”), trzeba mu więc żyć, by „*z czasem jednak Łysiak dojrzał i stuknął się w dyńkę*”).

Inny jeszcze „*cynglowy*” michnikowlaz, Krzysztof Varga, pewną moją antysalonową książkę uznał za „*obląkańczą, szkodliwą, obrzydliwą*”, będącą „*wynikiem ewidentnej szajby, w sumie jeno emanacją obłędu*”, podkreślając, że „*z tej głątwy odór szamba wali niemożliwy*”. Za równie paskudną uznał całą moją literaturę („*wszystko, co Łysiak pisze, z gruntu jest przyziemne i pelzające*”), przyczynę widząc w chorobie umysłowej („*jego kontakt z rzeczywistością jest bowiem bardzo umowny, a myśl z tego chora w bólu się rodzi*”, bo wciąż „*coś Łysiakowi do opętanej głowy przychodzi*”). Wedle doktora Vargi przychodził tam z internetu, tworzy bowiem Łysiak „*głównie za pomocą Google*”. Tytuł tej diagnozy — „**Schiza Łysiaka**” — dwoma wyrazami mówił wszystko.

Kiedy kolejni medycy z latryny... pardon, z lazaretu Agory wypisywali sążniste orzeczenia w kwestii niedowładu umysłowego Łysiaka, ja z uporem maniaka vel klinicznego szajbusa batożyłem piórem ich ukochanego „**Adasia**”, zwąc go „*największym szkodnikiem III RP*”, itp. On, rzecz prosta, płacił mi „*pięknym za nadobne*” wzmiarkowanym wyżej kontruderzeniami swych janczarów, jak również opublikował (2008) wąską listę Polaków, których szczególnie nie lubi, plasując mnie tam wysoko. I tak się to kręci — Włoch Gramsci (duchowy praszczur Michnika) rzekłby: „*la lotta continua*” (walka trwa). ©©

Waldemar Łysiak

Felieton ten winienem pisać za dwa lata, gdy stuknie 30. rocznica wybuchu wojny Łysiaka z Michnikiem, lecz świat zmienia się tak błyskawicznie, iż nie wiem czy papierowe media przetrwają do 2020 roku (bądź czy ja przetrwam „*na lamach*”), więc wolę kronikę rzeczowej wojenki zamieścić już — preročnicowo.



FOT. GRZEGORZ RODKIN/REPORTER

Zwalczając herszta priwiślińskiego Salonu zacząłem A. D. 1990, rozwścieczony sejmową obroną majątku PZPR przez Michnika. Używałem do tego nie tylko publicystyki (tu wierzczołkiem był duży, wydrukowany w „**Tygodniku Solidarność**” i prezentujący gazetę Michnika jako kłamiwą gadzinówkę artykuł pod orwellowskim tytułem „**Ministerstwo prawdy**”, przedrukowany w polonijnych czasopismach Australii, Kanady i USA), lecz także beletrystyki (powieść „**Najlepszy**”, 1992). Nie minął miesiąc od wydania tej książki, a przy jazgocie krzyżujących mnie salonowych mediów zostałem zvendettowany urzędowo: po kilkunastu latach prowadzenia przedmiotu Historia Kultury i Wywilizacji na Wydziale Architektury PW wyłonił mnie z etatu ciupasem. „**Dziennik Katolicki SŁOWO**” cytował później (30–III–1993) protesty, jakie stowarzyszenia patriotyczne, kombatanckie i chrześcijańskie wystosowały do władz państwowych przeciwko owej represji, konkludując: „*Wiele środowisk podejrzewa, iż nie tylko prezentowane podczas wykładów poglądy oraz wykrywanie afer dziejących się na wydziale (związanych z zaliczeniami, egzaminami, itp.) przyczyniło się do usunięcia Łysiaka, lecz że ma ono wyraźnie charakter polityczny i jest związane z tekstami, w których Łysiak nie zostawia suchej nitki na lewicy solidarnościowej, a szczególnie na jej guru, Adamie Michniku. Uruchomiono mechanizm vendetty (...) Pikanterii całej sprawy dodaje fakt, że w latach 80. komuniści dwukrotnie próbowali zwolnić niepokorne go wykładowcę oraz wybitnego pisarza z pracy, jednak wobec groźby strajku studenckiego za każdym razem cofano decyzję. Teraz również studenci protestowali, ale «różowi» okazali się twardsi od «czerwonych» i nie anulowali zwolnienia*”.



**RAZEM BUDUJEMY
POLSKĘ!**



**100-LECIE
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**